

Dzisiaj się zakochałem. W napastliwie pięknej i ujmująco szalonej pacjentce własnej terapeutki.



ROBERT RIENT

CHODZIŁO O MIŁOŚĆ

ROBERT RIENT

CHODZIŁO
O MIŁOŚĆ



WYDAWNICTWO
SOWA DRACJA

Dla Inki<

*Ale dosyć już o mnie. Mów, jak Ty się czujesz
z moim bólem – jak boli
Ciebie Twój człowiek*

– Stanisław Barańczak

Rzeczywistość jest fikcją literacką.

– Kurt Vonnegut<

– Źle się czuję.

– Źle to znaczy jak? – zapytała terapeutka.

– Boli mnie głowa, prawie w ogóle nie spałem, dzisiaj mija rok od rozwodu, a wszystkie kobiety ostatecznie dochodzą do wniosku, że nie chcą ze mną być – powiedziałem na jednym wydechu.

– Wszystkie kobiety doszły do wniosku, że nie chcą z panem być?

Zanim odpowiedziałem, pomyślałem, że gdybym co chwilę pytał „co czujesz?”, a ostatnie usłyszane zdanie powtarzał w formie pytania, mógłbym pracować jako terapeuta.

– Każda z moich byłych w pewnym momencie oznajmiała, że nie chce ze mną być – doprecyzowałem.

– Ma pan pomysł dlaczego?

– Nie. A pani?

Potem miałem sobie wyobrazić, że na pustym krześle siedzi moja mama. Miałem jej opowiedzieć, co to znaczy czuć się niechcianym. Nie bardzo wyszło, ponieważ co chwilę widziałem kogoś innego: była żoną, szefową, Siostrę, a przez chwilę Angelinę Jolie uczesaną w koński ogon.

Wychodząc z terapii, tuż za bramą ośrodka Ulga natknąłem się na kobietę, która kucała na chodniku i przeszukiwała swoją torbę. Włosy miała czarne i w zupełnym nieładzie, do tego żółtą sukienkę i czarną skórzaną kurtkę.

- Masz zapalniczkę? – zapytała, gdy przechodziłem obok niej.
- Mam – odparłem.
- To daj – uśmiechnęła się.

Podąłem jej zapalniczkę, podniosła się, popatrzyła mi prosto w oczy, po czym zmierzyła od góry do dołu. Była o kilka centymetrów wyższa ode mnie.

- Justyna jestem, ale wolę Justa – powiedziała.
- Arek.
- Jeszcze papierosa.

Wyciągnąłem paczkę papierosów, poczęstowała się, zapaliła. Już miałem odejść, ale mnie zatrzymała.

- Poczekaj ze mną, zaraz mam sesję.
- Do kogo chodzisz? – zapytałem.
- Do Ewy Grudzkiej.
- Ja też!
- A myślałam, że tutaj pracujesz i podrywam terapeutę – zaśmiała się.
- Nie, nie. Chodzę do Ewy od kilku miesięcy.
- Czyli mamy wspólną terapeutkę, trochę to dziwne, co? Jak tam wejdę, znowu wszystko sprowadzi do dzieciństwa – spojrzała na mnie i zamilkła. Zareagowałem speszonym uśmiechem i potakującym ruchem głowy. – Co jeszcze mamy wspólnego poza terapeutką, Arku?
- Nie wiem, lubię filmy, kota mam – odpowiedziałem zbyt szybko.
- Ha! Lubisz filmy i masz kota! – Wydmuchnęła dym i popatrzyła na mnie z uśmiechem. – Na koty jestem uczulona – oznajmiła. – A od filmów ostatnio wolę seks, niepokoi to Ewę, ciebie

też?

– Mnie? Ewa? Znaczy się seks? Nie, nie, nic mnie nie niepokoi, nic teraz... nieważne.

– Ha! – zaśmiała się znowu. – Jak zobaczymy się tutaj za tydzień, to zapraszasz mnie na kawę albo do kina. – Puściła do mnie oko, nie podziękowała za papierosa i weszła do budynku.

1

Mam na imię Aureliusz. Do tego nazwisko: Kic. Aureliusz Kic. Wystarczy oba słowa wypowiedzieć na głos, by zrozumieć, że nie wszystko jest w porządku. Proszę spróbować. Piszę zupełnie poważnie. Proszę powiedzieć głośno: Aureliusz Kic... Prawda? Brzmienie pierwszego słowa, przepełnione godnością, nadzieją i obietnicą lepszego życia, połączone z odgłosem nazwiska szybko przemienia się w farsę i wizję małego zajączka, który przechadza się po łące. Przedstawiam się zazwyczaj jako Arek, nazwisko w miarę możliwości pomijam. Imię wybrała moja babka, bo „aureolus” znaczy złocisty, a gdy się urodziłem, miałem kępki złocistych włosów, które w dorosłym życiu zamieniły się w dosyć rzadkie, jasne nitki. Był oczywiście Marek Aureliusz. Gdy na lekcji historii dowiedziałem się o tym rzymskim cesarzu, zapytałem babkę, czy moje imię również pochodzi od niego. Roześmiała się, dotknęła moich włosów i z jawną dezaprobatą powiedziała: „Nie”. Taka była moja babka. Kiedyś w szkole podstawowej wychowawczynie zapytała mnie, czy znam pochodzenie swojego imienia. Odpowiedziałem z dumą, że od słowa „aureolus”, co wywołało rozbawienie w całej klasie. Od tamtej pory nazywano mnie albo „Złotym” albo „Aurelką”. Przez osiem lat szkoły podstawowej byłem Złocistą Aurelką, obiektem kpin. Niewiele

pamiętam z tamtych lat, terapeutka uważa, że to mechanizm wyparcia.

Żona przyjęła moje nazwisko i bardzo tego żałowała. Ja również. W ostatnich miesiącach naszego małżeństwa wypowiadała je z pogardą tak dużą, że jeszcze czasami czuję dyskomfort, gdy ktoś niespodziewanie odzywa się do mnie po nazwisku. Mówiła na przykład: „jak mogłam za Kica”, a gdy się kłóciliśmy i ona decydowała, że już więcej nie będzie ze mną rozmawiać, zwykła mówić: „Kicaj” i odchodziła. Magdalena, co zrozumiałe, powróciła do swojego nazwiska panieńskiego, nazywa się ponownie Dreszczyńska. Rozwód trwał zaskakująco krótko, mniej więcej dziesięć minut. Przyjechałem pół godziny wcześniej, znalazłem właściwą salę i zdenerwowany usiadłem na ławce. Magda przyszła dwie minuty przed czternastą, czyli wyznaczoną godziną.

– Cześć – przywitałem się.

– Cześć – ona na to.

– Co słyhać?

– Daj spokój – odparła – załatwmy to szybko i bezboleśnie, dobrze? – Taki miała od początku pomysł na rozwód.

– Dobrze – wycedziłem pojednawczo.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy powiedzieć przy sędzi, że na przykład mnie kochasz.

– Kocham cię, Magdo – powiedziałem z kilku powodów. Nie chciałem się rozwodzić, wydawało mi się, że to ostatnia szansa, by uratować małżeństwo, poza tym kochałem Magdę.

– Nie szkodzi, tam nic takiego nie mów, dobrze?

– Dobrze.

– Sprawa numer 38, państwo Kic – obwieściła kobieta, wychodząc

przez drzwi, obok których czekaliśmy. Widziałem, jak Magda przewraca oczami, gdy usłyszała „państwo Kic”. Zrobiło mi się smutno, przez jej oczy i przez rozwód. Po wyjściu z sali rozpraw na Magdę czekał jej nowy przyjaciel. Podaliśmy sobie ręce, on ją przytulił i pogratulował. Podziękowała. Popatrzyła na mnie.

– Do widzenia – rzuciła.

– Do widzenia.

Poszła, a ja usiadłem na ławce. Inaczej to sobie wyobrażałem, myślałem, że może porozmawiamy po albo przed. Oficjalnie stałem się rozwodnikiem. W dodatku za porozumieniem stron. Im dłużej siedziałem, tym więcej ludzi zaczęło przychodzić, siadali obok mnie i rozmawiali nerwowo, albo jeszcze bardziej nerwowo milczeli, więc wyszedłem. I chociaż tego dnia miałem wolne, poszedłem do pracy, ponieważ musiałem się znaleźć w bezpiecznym, znanym miejscu.

W pustej redakcji przywitałem się z Magu, asystentką naczelnej, i poszedłem do swojego biurka. Spędziłem trochę czasu na Facebooku, przeglądałem mejle, wydrukowałem list dyrektorki domu dziecka, której urzędnicy chcą odebrać wynajmowany budynek, i postanowiłem, że jutro napiszę o tym artykuł. Wpisałem w Google swoje imię i nazwisko i przejrzałem wszystkie wyniki. Nic nie przybyło. W tym momencie zadzwoniła Magu i powiedziała, żeby do niej przyszedł, to coś mi pokaże. Znudzony przemierzyłem siedem kroków prosto i trzy w prawo, by znaleźć się przy jej biurku. Wychyliłem głowę w sposób, który umożliwił mi dostrzeżenie małego, rudego kota śpiącego na jej kolanach.

– Naczelną pozwoliła go tutaj trzymać? – zapytałem.

– Tylko dlatego, że pada. Znalazłam go na tyłach, przy śmietnikach, ale jutro musi stąd zniknąć, ja mam psa, a ty się

rozwodzisz jakoś na dniach, prawda? – Wpatrywała się w moje oczy. Gdy nie zareagowałem, dodała: – To przecież żadna tajemnica, wszyscy o tym mówią.

– Dzisiaj – uściśliłem i spuściłem wzrok, licząc na odrobinę współczucia.

– Już jesteś po? – prawie krzyknęła, podekscytowana.

– Tak.

– To co tutaj robisz?

– Przyszedłem po listy.

– Zatem możesz wziąć kota, ja nie mogę, bo mam psa, przyda ci się towarzystwo, koty są bardzo niewymagające. – I rozbawiona dodała: – Zupełnie inaczej niż żony.

– Nie... – zacząłem.

– Masz mieszkanie – przerwała mi – kot potrzebuje tylko miski z jedzeniem, kuwety, śpi, gdzie popadnie, więc nie ma problemu. Masz wspaniałe serce, dziękuję ci bardzo.

– Magu, ja się dzisiaj rozwiódłem – powiedziałem tonem spokojnym i zdecydowanie smutnym.

– To jest prezent ode mnie z okazji rozvodu właśnie – ponownie się uśmiechnęła, kompletnie ignorując moją osobistą tragedię. – No, nie każ się prosić – dodała i odebrała telefon.

Patrzyłem na nią surowym wzrokiem, a ona uśmiechnęła się do mnie, dotknęła swojej klatki piersiowej tam, gdzie powinno być serce, i rozmasowała to miejsce. Przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha, podała mi kota. Wziąłem go na ręce i bez chwili refleksji zacząłem głaskać. Myślę, że to odruch bezwarunkowy, głaskanie małego kota, gdy ten jest na wyciągnięcie ręki. Postawiłem kota na biurku, a on zaczął chodzić niepewnym krokiem w tył i w przód. Przewrócił kubek Magu z resztką kawy, która wylała się na stos

papierów. Po raz pierwszy tego dnia się śmiałem.

Wróciłem do swojego biurka i pomyślałem, że większość moich przemyślanych, świadomych decyzji miała konsekwencje równie zaskakujące, co wszystkie inne, przypadkowe wybory. Na przykład małżeństwo. Posiadanie kota nie może być gorsze. Zadzwoiła Magu i zaczęła mnie namawiać. Kupiła już kuwetę i jedzenie na najbliższy tydzień, obdzwoniła znajomych i jeśli go nie wezmę, zwierzak wyląduje w schronisku. Szantaż zadziałał. Moja babka zawsze powtarzała: „Jeśli nie wiesz, dlaczego czegoś nie chcesz, to może właśnie tego chcesz albo po prostu jesteś tępą”. Niewykluczone, że chciałem tego kota. Chociaż babka z pewnością by stwierdziła, że jestem tępą.

2

Dziś mija rok od rozvodu i pojawienia się w moim życiu Dity, rudej kotki, oraz pani Ewy, wysokiej terapeutki. Zawsze chodziło mi o miłość. Jestem w połowie swojego życia, tak mówią liczby i tak się czuję. W moim wieku przyjemność spokoju miesza się z samotnością. Żyję – na szczęście dla mojej samotności – w czasach, w których wiele związków się rozpada. Nie chodzi już o to, by zakochać się od pierwszego wejrzenia na całe życie, ale by kolejny raz zakochać się od pierwszego wejrzenia. W minionym roku rozstały się trzy pary z bliskiego mi otoczenia, w tym ja i moja żona. Po pewnym czasie prawie wszyscy pośpiesznie związali się z nową, mniej lub bardziej przypadkową osobą. Ja również. Zakochałem się w Agnieszce, a przynajmniej wydaje mi się, że było to zakochanie. Rzuciła mnie tydzień temu, po sześciu dosyć przeciętnych tygodniach. Zawsze wybieram nieodpowiednie kobiety.

Włączyłem muzykę i wyszedłem na balkon, wymiary metr na półtora. Zapaliłem papierosa i poczułem się samotny. Patrzyłem na okna kamienicy naprzeciwko. Mężczyzna rozmawiał z kobietą. On miał w ręku wałek malarski, ona zieloną chustę na głowie. Zmieniali kolor ścian na niebieski, z białego. Niekiedy ich obserwuję, mieszkają ze starszym mężczyzną, myślę, że to jej

ojciec, czasami siedzą przy kuchennym stole i rozmawiają. Ona i starszy pan. Każdego wieczoru z ich okien uderza mętna poświata włączanego telewizora. Mężczyzna z wałkiem w ręku zamasyście gestykulował, ona stała z założonymi rękami i patrzyła w podłogę, coś mówili, coś krzyczeli. W pewnym momencie mężczyzna rzucił wałkiem o ścianę i wyszedł z pomieszczenia, kobieta wybiegła za nim. Po ścianie spływała strużka niebieskiej farby. Już ich więcej nie widziałem. Im dłużej stałem na balkonie, tym większą czułem w sobie pustkę, tę, która ma zawsze kształt człowieka.

Pomyślałem, że mimo wszystko chciałbym mieć powód, by rzucić wałkiem malarskim o ścianę, i postanowiłem zadzwonić do Magdy.

– Halo.

– Cześć, to ja – powiedziałem, bo przecież musi wiedzieć, że to ja.

– Ukochany! Jak dobrze cię słyszeć!

– I ciebie, Magdo!

– Od roku czekałam na ten moment, przyjedź do mnie natychmiast, nawet nie wiesz, jak tęskniłam!

– Oczywiście, kochana, już pędzę!

A było tak:

– Halo.

– Cześć, to ja – powiedziałem, bo przecież musi wiedzieć, że to ja.

– Co się stało?

– Nic, nie, nic się nie stało, co słyhać?

– Po co dzwonisz?

– Bez konkretnego powodu, po prostu chciałem cię usłyszeć.

– Mhm.

– Wiesz, że dzisiaj minął rok?

– Rok?

– Rok od rozwodu.

– O, proszę.

– I pomyślałem, że może moglibyśmy, może spotkać się, porozmawiać.

– Aureliusz – użyła mojego pełnego imienia, poczułem chłodny wiatr krążący gdzieś w brzuchu – to nie jest najlepszy pomysł, rozstaliśmy się.

– No tak, to może...

– Trzymaj się, pa.

I rozłączyła się. Myślałem jeszcze, żeby zadzwonić do Agnieszki, ale tydzień temu powiedziała: „Więcej do mnie nie dzwoń”.

Spędzała u mnie dni i noce, chociaż nigdy się nie kochaliśmy, bo twierdziła, że nie jest na to gotowa. Czekałem. Tak jak całe życie. Aż zdarzy się coś, aż pojawi się ktoś. Ten ktoś. Z Agnieszką, wysoką brunetką, poznaliśmy się na wernisazu organizowanym przez galerię, w której pracowała. Długo rozmawialiśmy, upiliśmy się. Kolejnego dnia poszliśmy do kina, potem na kolację. Na trzeciej randce wylądowaliśmy u mnie, powiedziała, że chce się przytulić i usnąć. Tak wyglądały wszystkie noce, przytulała się i zasypiała. Wstawiała pośpiesznie, jedliśmy śniadanie lub nie, spotykaliśmy się wieczorem, szliśmy coś zjeść albo oglądać filmy u mnie, nigdy u niej, całowaliśmy się, ale po chwili Agnieszka przerywała pocałunki i odwracała się plecami, mówiąc: przytul mnie. Przytulałem ją, marząc o tym, by w końcu i ona mnie przytuliła. Po sześciu tygodniach stwierdziła, że jednak nic z tego nie będzie, że nie może poczuć nic więcej, że jestem cudowny i wspierający, i w ogóle, ale to nie To. Nie To. A czym jest To? Magda w powieści rozwodowym napisała, że rozpad pożycia małżeńskiego nastąpił wskutek niezgodności charakterów. Jeśli zgodność charakterów nie jest wyborem, z pewnością jest iluzją. Właśnie w takich kobietach

się zakochuję, pięknych, zaradnych, odrobinę niedostępnych i zazwyczaj wyższych ode mnie. A one po pewnym czasie mnie porzucają. Czasami miałem wrażenie, że również w mojej terapeutce jestem zakochany. To mechanizm przeniesienia.

– Na czym on polega? – zapytałem panią Ewę na jednej z sesji.

– Widzi pan we mnie, a raczej przypisuje mi idealne cechy, których nie posiadała pańska mama – odpowiedziała bardzo spokojnym głosem, patrząc mi prosto w oczy.

– Czyli jakie?

– A jak pan uważa?

Ona naprawdę używała takiego języka i tak to się zazwyczaj kończyło. Moja terapia polegała na tym, że nie otrzymywałem odpowiedzi na pytania, które zadawałem, otrzymywałem natomiast dodatkowe pytanie. I płaciłem za to spore pieniądze. Ewidentną korzyścią było jednak to, że od ponad roku utrzymywałem się w stałej relacji z kobietą.

Z rozmyślań wyrwała mnie Dita, która miauknęła, patrząc na mnie oburzonym wzrokiem. Znaczący, że chce jeść. Nasypałem jej karmy, a sobie kawy do ekspresu. Postanowiłem nie być dzisiaj sam, bo bycie samemu, gdy jest bardzo smutno, powoduje, że smutek ma się dobrze. A to wcale nie jest dobrze. Zaprosiłem na wieczór Siostrę, Michała i Gosię, wobec których używam słowa przyjaciele. Przyjdą, pewnie wyczuli w głosie ukryte błaganie. Poszedłem po wino i coś do chrupania. Pomyślałem o tym, że bez miłości długo nie pociągnę, i zacząłem tęsknić za Agnieszką, by za chwilę mocniej zatęsknić za Magdą. Mam poczucie, że w moim ciele jest fizyczna przestrzeń, która ma kształt jej ciała. Przez chwilę uśmiechałem się na wspomnienie kobiety, którą poznałem dwa dni temu, po ostatniej

terapii. Obracałem w palcach zapalniczkę, którą ode mnie pożyczyła, zadowolony, że miałem ją wtedy przy sobie. Usiadłem na kanapie, otworzyłem *Rajski ogród* Hemingwaya i zawołałem Dite, która nie przyszła. Nie ma szans, by moja kotka zrobiła to, o co ją proszę, w chwili, w której o to proszę. Przychodzi wtedy, gdy zechce. Przypomina w tym wszystkie kobiety, z którymi byłem. Książka, którą czytałem, wywołała u mnie narastające poczucie frustracji seksualnej. Wystraszyłem się, że umrę nienasycony, głodny bliskości, dotyku, ciała. Myśli te doprowadziły mnie do łożenki i aktu masturbacji zakończonym sukcesem. Nie chciało mi się już czytać, otworzyłem wino, nalałem sobie lampkę, zapaliłem papierosa i wypatrywałem przez balkon przyjaciół.

Pierwsza przyszła Siostra, starsza ode mnie o cztery lata, pewna siebie mężatka. Kocham ją bardzo, a co może ważniejsze – lubię. W dalekiej przeszłości potrafiła znokautować kolegę, który zmuszał mnie, bym w szkolnym pisuarze szukał złocistej aureoli. Tłumaczyła mi świat, czasami dokuczała, ale w kryzysowej sytuacji zawsze była. I jest. Myślę, że stworzyliśmy w ten sposób opozycję wobec matki i babki, które nas wychowywały. Pamiętam również z dzieciństwa rozmowy z Siostrą: była dla mnie uosobieniem mądrości, podziwiałem ją. Dodatkowo miała piękne starsze koleżanki, które mogłem podglądać, gdy zostawały u nas na noc, co niestety nie działo się często, ponieważ babka moja powtarzała, że gość w dom to kłopot w dom. Prawie zawsze słyszeliśmy to zdanie, gdy wychodzili goście. Mnie i Siostrze robiło się smutno, a matka uśmiechała się pod nosem. Co nie było znowu takie częste. Wizyty gości i uśmiech matki. W każdą niedzielę babka zabierała całą naszą trójkę do kościoła, matkę, Siostrę i mnie. Podczas jednego z kazań, w którym ksiądz ponownie omawiał stworzenie człowieka,

Siostra zapytała mnie:

– A dlaczego Bóg ich naraz nie stworzył?

– Kogo? – zdziwiłem się.

– No, Adama i Ewy, przecież mógł od razu stworzyć kobietę i mężczyznę, dopiero po czasie zreflektował się, że „niedobrze jest człowiekowi, gdy jest sam”?

– No i co? – Nie bardzo zrozumiałem pytanie.

– No i nie mógł stworzyć ich naraz?

– Widać nie mógł, w końcu to Bóg – odparłem, ale Siostra nie była pocieszona.

Przerwała rozmowę i zapatrzyła się w dal, a ja poczułem się głupio. Działo się tak zawsze, gdy zapraszała mnie do rozmowy, z którą nie potrafiłem sobie poradzić. Milkła wtedy, wzrok jej nieruchomiał i na długo odpływała myślami. Gdy pytałem ją, o czym myśli, zbywała to stwierdzeniem, że o niczym albo że o niczym ważnym. Wiedziałem, że już za późno, że nie jestem dla niej partnerem. Miałem szansę i nie wykorzystałem jej.

Już w domu kontynuowała temat Boga z babką, Mesjaszem naszej rodziny.

– Babciu, ksiądz mówił, że Bóg stworzył nas na swój obraz i swoje podobieństwo, prawda?

– Tak, bardzo dobrze – babcia się rozpromieniła, podejrzewając zapewne nagłe nawrócenie wnuczki. Odłożyła nawet makutkę, w której ucierała ciasto.

– I to jest prawda, że nas tak zrobił? Na swoje podobieństwo?

– Oczywiście, że tak. Jeśli chodzi o uosobienie, miłość...

– ...I mnie właśnie zastanawia, że skoro uczynił nas na swój obraz, to uczynił nas wiecznie samotnymi.

– Samotnymi?

– Bóg jest tylko jeden, czyli nie ma nikogo, z kim mógłby się bawić, kogo mógłby podziwiać, żadnego autorytetu, towarzysza do rozmowy, musi przecież czuć się samotny.

– Co za głupoty opowiadasz, Bóg nic nie musi!

– Po prostu myślę, że samotny Bóg uczynił nas również samotnymi na swój obraz, bo inaczej nie mógł. Wiem, że nas kocha, w końcu jest Bogiem, ale myślę, że kocha, bo jest samotny, z litości kocha.

– Co też ci się stało?

– Nic mi się nie stało!

– Koniec dyskusji, a ty lepiej się pomódl i wyspowiadaj z tych bredni. – I chwyciła makutkę z takim impetem, że ciasto nie wypadło z niej jedynie wskutek cudu.

Wątpię, by moja Siostra się pomodliła. Pod koniec szkoły podstawowej przestała chodzić do kościoła, a na studiach twierdziła głośno, że Boga nie ma. O samotności napisała pracę magisterską, chociaż zawsze otaczał ją tłum ludzi. Wiecznie była czymś zajęta, pracą, spotkaniami, podróżami, czytaniem. Od wielu lat miała męża, z którym jednak nie lubiliśmy się wcale. Po kilku kłótniach nauczyliśmy się tolerować swoją obecność, unikając zarazem kontaktu. Uważałem Grzegorza za głupiego samca, który poza pieniędzmi nic do związku nie wnosi, a on mnie za nieudacznika. Zawsze zwracał się do mnie „Aureliuszu” i robił to z przyjemnością. Siostra moja, niepokieszona kształtem naszej relacji, przestała w nią ingerować i zakazała każdemu z nas żalić się na drugiego. Kochała mnie, kochała z jakichś powodów i jego, my kochać się nie musimy. „Za dużo miłości też niedobrze”, uważała moja babka i w tej konkretnej sprawie miała rację.

Michał i Gosia przyszli razem, poznaliśmy się na studiach i od

tamtej pory trzymaliśmy razem. Z Michałem przez trzy lata dzieliliśmy pokój w mieszkaniu studenckim, wybraliśmy się kiedyś na imprezę do akademika, w którym mieszkała Gosia. Zostawiła nas w swoim pokoju i poszła do sklepu. Za oknem na klamce wisiała reklamówka, zazwyczaj w taki sposób Gosia przechowywała owoce, które jadła namiętnie. Ściągnęliśmy reklamówkę, by się posilić, otworzyliśmy ją i okazało się, że w reklamówce jest kolejna reklamówka, w którą zawinięta jest kupa. Rozbawienie mieszało nam się z obrzydzeniem. Gdy przyszła Gosia, kupa wisiała już na swoim miejscu.

– Co masz w tej reklamówce? – zapytałem.

– Śliwki – pośpiesznie skłamała Gosia.

– Mogę? – zapytał Michał i podszedł do okna, Gosia zastąpiła mu drogę.

– Ee nie, mam mało, a wiesz, że jestem od nich uzależniona.

– Tylko jedną.

– Nie.

– Bo tam nie ma śliwek.

– Tam są śliwki! – odkrzyknęła bardzo przestraszona Gosia.

– Nieprawda – zakomunikowałem.

– Jak to nie? – Spojrzała na nas szeroko otwartymi oczami.

– Zajrzeliśmy tam. Dlaczego trzymasz kupę w reklamówce?

Gosia zrobiła się czerwona na twarzy, podeszła do okna, odwiązała reklamówkę i wyrzuciła ją przez okno, pewnie myśląc, że rozwiąże to kwestię wyjaśnień. W tym momencie przewróciłem się ze śmiechu na podłogę, a Michał drążył temat.

– No dlaczego, Gosiu? Wytlumacz nam swoje perwersje.

– Jakim prawem grzebiecie mi w pokoju, gnoje?! – krzyczała.

– Twoja kupa wisiała poza pokojem – powiedziałem na

usprawiedliwienie.

– Wszystkie kible były zajęte! – odkrzyknęła i wybiegła z pokoju.

Długo się śmialiśmy, wtedy i za każdym razem, gdy wspominaliśmy tę chwilę. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało z reklamówką wyrzuconą z dziewiątego piętra. Sprawdziliśmy pod oknami, nic. Poczulem wtedy, że nigdy nie chciałbym być z Gosią, ale marzę o tym, by zostać jej przyjacielem. Tak się stało. Z kolei ona i Michał pod koniec studiów przespali się ze sobą, próbowali nawet być razem, ale nic z tego nie wyszło. Na szczęście dla naszej trójki epizod ten nie poróżnił ich na długo i przyjaźń mogła trwać.

Wieczór okazał się bardzo udany, słuchaliśmy muzyki, wspominaliśmy stare dzieje. Wokół mnie byli najważniejsi ludzie mojego życia, brakowało tylko Magdy. Wznosiliśmy toasty za wolność, przyjaźń i przyszłość. Kończyliśmy trzecią butelkę wina.

– Hocham Magdę, hocham ją! – wyznałem moim gościom.

– Nie hochasz – odparła rozbawiona, zdecydowanie bardziej trzeźwa Gosia.

– Naprawdę hocham! – upierałem się.

– Może chciałbyś ją po prostu chuchnąć? – zapytał Michał, w tym samym radosnym tonie co Gosia.

– Albo chuchałeś na nią za bardzo przez te lata – dodała Siostra.

Wszyscy się śmiali.

– Hochany ty – przedrzeźniała mnie Gosia.

Widok głośno śmiejących się moich bliskich wywołał i u mnie salwę śmiechu. Całym sobą czułem, że kocham Magdę, że kocham ich wszystkich, że kocham Dite, Agnieszkę, panią Ewę, muzykę, która brzmiała, wino, które piłem. Mógłbym również pokochać kupę zza okna.

3

Obudziłem się z bólem głowy. Nieszczęśliwy i samotny. Przypomniało mi się, że przed pójściem spać wysłałem smsa do Agnieszki. Sprawdziłem w wysłanych jego treść i poczułem się znacznie gorzej: „Bardzo ładnie pachniałaś zawsze, spając obok mnie. Przyjedź do mnie, wszystko będzie dobrze. Zależy mi, więc będzie i miłość”. Szczególnie to „będzie” i „wiec” – straszna hańba dla kogoś, kto ma na wizytówce napisane „dziennikarz”. Agnieszka nie odpisała. Zauważyłem również, że wysłałem smsa do Michała o tym, że moja terapeutka jest piękna i bardzo wysoka i że może coś z tego będzie. Michał odpisał mi, żebym już spał.

Leżałem w łóżku, Dita spała na moich nogach, co było przyjemne. Starąłem się nie poruszyć, aby jej nie obudzić i w ten sposób nie zaczynać obowiązków dnia zbyt szybko. Przypomniałem sobie moją babkę, która była bardziej męska od wszystkich mężczyzn, których znałem. Spódnice wkładała tylko do kościoła i na pogrzeby, chodziła szybkim krokiem, za którym trzeba było nadążyć. Poza tym miała zwyczaj pluć. Ot tak, co jakiś czas splotała, do zlewu albo na chodnik. W liceum mieliśmy napisać wypracowanie zatytułowane „Moja rodzina”, omawialiśmy wtedy *Chłopów* Reymonta i zainspirowany tą prozą, pozwoliłem sobie na pewną dowolność. Wypracowanie, a bardziej reakcje babki po jego

przeczytaniu miały kluczowy wpływ na całe moje życie zawodowe...

„Moja rodzina” – Aureliusz Kic

Urodziłem się jako chłopiec, chociaż miało być inaczej. Miałem być dziewczynką, oddaną na służbę Państwu, którzy tylko za tę obietnicę pozwalali mojej rodzinie mieszkać w podwórzu. Za gotowanie, odśnieżanie, oporządkowanie zwierząt, sprząkanie domu i inne drobne usługi rodzina moja mogła korzystać z parterowej chaty, kawałka pola i jednej krowy. Gdy widoczne dla całego otoczenia stało się, że mama moja będzie miała młode, mój ojciec (zwyczajowo pijany) zawarł pakt z panem naszym, że w zamian za dziewczynkę, która się pojawi, pan odda na własność mojej rodzinie dom i ziemię, i krowę. O tym, że będzie to dziewczynka, ojciec wiedział na pewno z gwiazd, które czytała jego matka, babka moja. Gdy papo mój wytrzeźwiało, poszedł z panem rozmawiać, by sprawę odkręcić, ale dostał tylko kopię umowy spisanej dnia poprzedniego. Pożałował, wstydził się, ale i cieszył, że dom będzie własny. Żona początkowo zrozpaczona tym dziwkarstwem, jak to w wysypie emocji określiła, poczęła się radować. Bo przecież pan niedaleko, córę będzie można odwiedzać, a mieć dom własny i ziemię, i krowę to coś.

Pan na mnie czekał, na córę chłopów z podwórza. Miał tylko jedną nadzieję, że będę piękna i że żreć dużo nie będę. Faktycznie do garów mnie nie ciągnęło, jednak płęć okazała się niepożądana. Pan upadł w szal i rodzinie całej kazał wynosić się w las. Do wieczora miało nas nie być i nie

obchodziło Pana wcale, że noworodek w podwórzu był. Brat mój i ojciec postanowili do pana pójść błagać, żeby wziął mnie, mimo że gwiazdy się omyliły, że uciąć można, pókim młody, co zbędne i odstające. Pan orzekł, że ucinać nic nie będzie, że na kurtyzanę miałem być chowany, na imię Adela mieć i gotówkę do dworu i chłopców bogatych sprowadzać. A tak? To wciąż możliwe, rzekł mój brat rezolutnie, wystarczy na pederastę młodego wychować, takiego co będzie młodzieńców zuchwałych i bogatych mamit, a mamona do dworu spłynie. Pan pomysł rozważył, nogami tupnął i węsząc możliwość zarobku, zgodził się.

Dostałem lale do zabawy, nie wolno mi było krzyczeć, zachęcany do płaczu szybko począłem wykorzystywać go jako środek do celów różnych. Co dni kilka służba pana przebierała mnie w dziewczęce wdzianka, na które to zazwyczaj się cieszyłem. Gdy widział to pan mój, ponoć wielce się radował, w takich chwilach miał zwyczaj klaskać w ręce, podskakiwać i spluwać mi na głowę. Namaszczenie i wróżba zarazem: miałem nigdy nie wyłysieć, tako też się stało. Do końca mych dni miałem czuprynę bujną, a i łono swe raz po raz strzyc mi przykazano, gdyż obrodziło nad wyraz. Przez ślinę Pana wszystko.

Pani od polskiego poprosiła mnie, bym został po lekcjach.

– Skąd pomysł na takie wypracowanie? – zapytała.

– Od *Chłopów*.

– O jakich chłopcach mówisz? – pytała z rosnącą troską. – Czy chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie, proszę pani – odpowiedziałem już bardzo zmieszany.

– Dostaniesz trójkę, ale chcę, aby twoja mama przyszła do szkoły.

Wypracowania nie otrzymałem z powrotem, to był zły znak. Do szkoły przyszła babcia, mama źle się czuła.

– Gdzie jest ten idiota? – zakrzyknęła wzburzona, gdy wróciła do domu.

– Co się stało? – spytała mama.

– Masz i czytaj – babka podała jej wypracowanie.

– Boże mój drogi – jęknęła matka, gdy skończyła czytać. – Strzycono?

– No właśnie! A młody ma się spotkać z psychologiem szkolnym, co też go podkusiło, by takie brednie pisać! AURELIUSZ! Chodź tu! Przyszedłem oczywiście.

– Co to jest? – zapytała, podając mi wypracowanie.

– Wypracowanie.

– Wiem, baranie! Dlaczego to wszystko nazmyślałeś?

Chciałem powiedzieć, że przez *Chłopów*, ale bałem się, że podobnie jak nauczycielka, i te kobiety źle zareagują. Zapadło milczenie, matka moja z babką wymieniły spojrzenia.

– Ktoś ci coś zrobił? – odezwała się matka.

– Nie, ale co się stało? Dostałem trójkę, mogę poprawić.

– Co się stało?! – wydarła się znowu babka. – Twoja pani uważa, że masz problemy emocjonalne, wypytywała mnie o to, co się w domu dzieje, o twojego nieobecnego durnego ojca, i powiedziała, że masz iść do psychologa. Powiedziałam, że nigdzie nie pójdziesz, że dom jest normalny, że starego nie ma od dawna, że masz wszystko, czego ci potrzeba, tylko wyobraźnię zbyt wybujałą. Chcesz coś jeszcze powiedzieć?

– Nie.

– Nigdy więcej nie pisz już takich głupot!

– Dobrze.

Temat został zamknięty. Z pokoju słyszałem strzępki rozmów babki i matki... ojca brakuje... ojej... ostrzej trzymać trzeba... matko boska... lale do zabawy... takie słowa... Boże... ślina?

Gdy wspomnienie to do mnie wróciło, zacząłem obwiniać moją babkę o to, że nie jestem Prawdziwym Dziennikarzem, że reportaży nie piszę, wywiadów nie przeprowadzam, chociaż zawsze o tym marzyłem, a jedynie redaguje dział społeczny. Moje teksty zazwyczaj lądują na stronie dziewiątej dwudziestostronicowego dziennika lokalnego, który jest dodatkiem do wydania ogólnopolskiego. Na stronie dziesiątej są nekrologi, potem sport i ogłoszenia. Prawdziwi Dziennikarze gorzej traktują tylko stażystów. Myślę, że babka bezpowrotnie zabiła we mnie odwagę pisania i mówienia tego, co chcę. Opowiedziałem o tym pani Ewie na terapii. Zapytała, jak się czuję, odparłem, że bezradnie, bo nic nie mogłem wtedy zrobić poza słuchaniem babki i nie było nikogo, kto by mnie obronił albo nauczył, jak się bronić. Przed nią, przed kolegami ze szkoły, przed nieudaną miłością. I znowu powróciły myśli o ojcu, jak wygląda, gdzie jest, dlaczego odszedł. Jego temat w dzieciństwie pojawiał się tylko w kontekście wyzwisk lub informacji, którą otrzymywałem, że jak będę dalej TAK robił, to skończę jak ojciec.

– Czyli jak? – zapytałem kiedyś babkę.

– Czyli jak idiota – odpowiedziała.

4

Czas w pracy mija jak spotkanie towarzyskie, w którym uczestniczą współczesne małżeństwa trzydziestolatków, będące w trakcie budowy domu, szykowania pokoju dla dziecka albo awansu w pracy. Mężczyźni i kobiety, oddzielnie. Ci pierwsi stoją i rozmawiają o koszykówce, samochodach albo pieniądzach. Te drugie siedzą i rozmawiają o dziecie, kupie dziecka, promocjach na ciuchy. Utrzymywany jest odwieczny porządek: podział na to, co prawdziwe, twarde, czyli męskie i na to, co dodatkowe, lekkie, czyli kobiece. Gdy pada pytanie o glazurę do nowego domu, uaktywniają się wszyscy i opowiadają o swoich doświadczeniach, układając usta tak, jak robili to rodzice ich rodziców. Potem pojawia się temat pracy i tego, że nowa osoba w firmie jest dziwna, ponieważ jest młoda, stara, kolorowa lub nowa. Mężczyźni lekko się upijają, niektórzy, co czulsi, klepią swoje kobiety w pupę, te kręcą z dezaprobatą głową i uśmiechają się w zachwycie, wyłapując zazdrosne spojrzenia nieklepniętych. Wszyscy rozchodzą się w tym samym czasie, odjeżdżając własnymi samochodami na kredyt, od rodziców albo służbowymi, z błyszczącym lakierem. Domownicy podczas sprzątania oraz pozostałe pary wracające do domu wymieniają się uwagami o tym, kto gorzej wyglądał, komu – jak widać – najwyraźniej się nie układa. Pociężeni zasypiają. Ciuchy

do pracy nazajutrz są przygotowane.

Myślałem o tym wszystkim, siedząc znudzony na zebraniu redakcyjnym, na którym trzymała mnie konieczność zarabiania pieniędzy. Po pracy kupiłem dwa goździki i postanowiłem nie wracać do domu, lecz pojechać prosto na cmentarz. Czekając na autobus, usłyszałem, jak młoda dziewczyna mówi do telefonu:

– To ja jestem ptakiem, a ty ornitologiem!... Sama! No mówię ci, sama wymyśliłam... Sama... Nie, zostaw Google.... No dobrze, Orson Welles, właśnie przeczytałam na billboardzie.

Po czym rozłączyła się i ze smutną miną delikatnie tupnęła nogą.

Babka umarła sześć lat temu z powodu raka żołądka, a w trzy miesiące później zmarła matka. Siostra uważała, że jak ktoś źle żyje, to źle umrze, a w raka ona nie wierzy.

– Psychika ma kluczowe znaczenie w kwestii zdrowienia, musi mieć też kluczowe znaczenie w kwestii chorowania – głosiła. – Badania mówią, że na raka umierają częściej osoby, które nie mają optymistycznego podejścia do życia. Powiedziałbyś, że nasza babka była optymistką?

– Nigdy.

– No widzisz, wyhodowała sobie tego raka, całe życie była zgorzkniała i pełna pretensji, nie miała szacunku do nikogo, nawet do siebie.

– Ale geny... – próbowałem bronić nauki, a mimo wszystko również babki, której Siostra otwarcie nienawidziła.

– Geny, geny – westchnęła Siostra – każdy z nas ma w sobie komórki nowotworowe, ale uaktywniają się tylko u tych, którzy źle żyją.

– To niesprawiedliwe wobec tych, którzy dobrze żyją i umierają na raka.

– Nikt dobrze nie żyje.

Tutaj moja Siostra skończyła dyskusję i nie zmieniła zdania. Nie wiem, jak to jest z rakiem, ale wiem, że babka na niego nie zasłużyła, nikt nie zasłużył. Usunięto jej żołądek i dwunastnicę, stworzono zastępczy żołądek z jelita, co fascynowało i obrzydzało mnie zarazem. Przez sześć miesięcy swojego umierania schudła prawie trzydzieści kilo, często wymiotowała, spokorniała, napisała nawet list, który znaleźliśmy po jej śmierci, by w nim przeczytać, że nam wybacza i życzy, żebyśmy dobrze żyli, że jeszcze mamy na to czas. Siostra po odczytaniu listu prychnęła i wyszła z domu na długi spacer. Mama rozplakała się, a za chwilę, z tego samego listu dowiedziała się, że otrzymała w spadku po babce wszystko, co ta miała, czyli dom na przedmieściach, stare sukienki, piękną drewnianą szafę i ukryte w niej tysiąc dolarów. Nikt nie wie, skąd wzięła i po co trzymała dolary. Dwa miesiące przed śmiercią, po pierwszej chemii babka miała operację, ale zaraz po tym, jak ją otworzyli, to zaszyli z powrotem. Pamiętam, jak w poczekalni lekarka pokręciła tylko głową, moja mama usiadła na krześle i taką ją zapamiętałem z ostatnich dni. Cały czas siedziała i prawie nic nie mówiła. Przez ostatnie dwa miesiące swego życia babka karmiona była kroplówkami albo sondą przez nos, miała podpięte na stałe do swego ciała trzy worki. Patrząc na nią, zastanawiałem się często, czy wciąż jest człowiekiem. I co to znaczy nim być. Czy była bardziej ludzka, gdy pluła do zlewu i pełna oburzenia krzyczała do telewizora lub na nas, czy teraz – milcząca i sztucznie odbierana śmierci.

– Lepiej, żeby umarła – powiedziała wtedy Siostra. – Mimo wszystko lepiej być zapamiętanym przez to, jak się żyło, nawet jeśli było to parszywe życie, niż przez obraz worka na kał, który z ciebie

wystaje.

I myślę, że miała rację. Gdy babka umarła, podzieliliśmy się z Siostrą obowiązkami. Załatwienie wszelkich formalności wzięła na siebie, powiadomienie rodziny i znajomych zostawiła mnie i Magdzie, dostałem nawet bezpłatne miejsce w gazecie na umieszczenie nekrologu, który podpisałem „kochająca córka i wnuki”. Gdy Siostra to przeczytała, powiedziała tylko „gówna prawda” i wyszła z kuchni. Na pogrzeb przyszło około dwudziestu ludzi, najbliższa rodzina, sąsiadki, znajome z kościoła. Nigdy nie widziałem brzydszej i tańszej trumny, tak zatriumfowała Siostra. Cały pogrzeb spędziłem z matką, która nie wypowiedziała w ten dzień ani jednego słowa. Podnosiłem ją, gdy trzeba było wstać, sadzałem, gdy trzeba było usiąść. Siostra, trzymając swego męża za rękę, drugą ręką co jakiś czas dotykała moich pleców. Za nami stała Magda z Michałem i Gosią. W pewnym momencie usłyszeliśmy dramatyczny płacz dobiegający gdzieś z boku. Odwrócili się wszyscy oprócz mojej matki, której wzrok pozostawał zawieszony na czymś daleko nieistniejącym. Płakała nieznana nam starsza kobieta. Po kilku minutach, gdy jej płacz przybierał na sile, podeszła do niej Siostra, złapała za ramię i wyszczała: „Czy mogłaby pani już skończyć?”. Kobieta oburzonym wzrokiem patrzyła na moją Siostrę i palce zaciskające się na jej ramieniu. Chwila ta trwała kilka sekund, kobieta zamilkła. Siostra puściła jej ramię, które kobieta zaczęła sobie rozcierać. Znam moją rodzinę, wiem, że uścisk ten musiał boleć. W tym momencie Siostra przytuliła kobietę i coś wyszeptała do jej ucha. Później zapytana przyznała się, że powiedziała staruszce, że jak zacznie znowu płakać, chwyci ją za drugie ramię, mocniej. Bardzo kocham swoją Siostrę.

Po pogrzebie zrobiliśmy w domu matki stypę. Dalsza rodzina szybko wyszła, mamie podaliśmy środki nasenne, zostałem ja z Magdą, Siostra z mężem, Michał i Gosia.

– Martwię się o mamę – stwierdziłem. – Myślę, że zostanę u niej przez kilka dni.

– Możemy kogoś wynająć – zaproponowała Siostra. – Dla niej to będzie bez znaczenia, kto przyjdzie ją doglądać.

– Nie musisz się poświęcać – dodała Magda.

– To nie poświęcenie, mogę tutaj pracować, po prostu trzeba mieć teraz na nią oko.

– Za babkę – powiedział Michał i rozlał wszystkim wódkę.

Tego wieczoru, za każdym razem, gdy ktoś chciał się napić, musiał powiedzieć „za babkę”. Siostra, chociaż nie wzniosła ani jednego toastu, za każdym razem podnosiła kieliszek do góry. Kompletnie pijani poszliśmy do szafy babki i przebraliśmy się w jej stroje, w stare bluzki, kościelne sukienki, dziewczyny włożyły czarne buty na małym obcasie, Michał wcisnął na siebie kalesony. Włączyliśmy muzykę, podawaliśmy sobie butelkę wódki i tańczyliśmy, każdy z każdym. W pewnym momencie zauważyliśmy matkę, która stała w drzwiach uśmiechnięta. I był to ostatni uśmiech, jaki pamiętam na jej twarzy. Podeszła do nas, wzięła spory łyk wódki, włożyła na siebie płaszcz babki i zaczęła tańczyć z Gosią. Zostaliśmy tej nocy wszyscy razem. Gdyby babka żyła i nas zobaczyła, z pewnością siarczyście by splunęła.

Kolejne trzy miesiące zlały mi się w jeden obraz. Każdy dzień był podobny. Pobudka, przygotowanie śniadania sobie i matce, budzenie jej, zachęcenie do jedzenia, posadzenie przed telewizorem albo w ogródku, pisanie artykułów, przyjazd Magdy albo przyjaciół, sen. Nic się nie działo. Rozmowy z mamą zawsze wyglądały tak

samo.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Na co masz ochotę?

– Na nic – mruzczała. – Wszystko jest dobrze.

Pewnego razu, gdy szła do kuchni, przewróciła się i umarła. Tak po prostu. Serce przestało bić. Pamiętam, że nic nie poczułem, zadzwoniłem po karetkę i do Magdy. Przyjechali naraz, lekarz stwierdził zgon, Magda spakowała moje rzeczy i zabrała do domu. Przez kilka dni zachowywałem się jak matka, nic nie mówiłem, na nic nie miałem ochoty i wszystko było dobrze. W dzień pogrzebu podeszła do mnie Siostra i zaczęła krzyczeć.

– Co ty wyprawiasz?!

– ...

– Była takim wzorem dla ciebie? Przecież ona umarła na wiele lat przed babką, chcesz coś teraz udowodnić?

– ...

– Wykrzycz się, rozplacz, zniszcz coś, cokolwiek chcesz, ale, kurwa, żyj! Jesteśmy sami, tak jak byliśmy, Aruś, sami, nic się nie zmieniło, poza koniecznością pogrzebu.

– Nic się nie zmieniło? – zapytałem spokojnie.

– Nasza matka i babka nie żyją, znaczy to tyle, że nic już nie mogą nam zabrać, że nie musimy mieć nadziei, że coś od nich dostaniemy, to znaczy, że jesteśmy wolni, rozumiesz? Nie musisz już się nią opiekować, ja nie mam siły opiekować się tobą i patrzeć, jak zamieniasz się w jakieś monstrum.

– Nic się nie zmieniło – powiedziałem i poczułem, jak porusza się we mnie dziwna fala.

– Nic się nie zmieniło – powtórzyła i przytuliła mnie.

Zacząłem płakać, a ona cały czas trzymała mnie w ramionach. Płakałem tak długo, że w pewnym momencie osunęliśmy się na podłogę. Nie mówiła nic, usiadła za mną, trzymała mnie za brzuch i klatkę piersiową. Płakałem. Minęło z pół godziny i wszystko się skończyło, podniosłem się z podłogi, popatrzyłem na Siostrę, zobaczyłem ją, a ona widziała mnie. Czasami w życiu zdarza się taki człowiek, który nie pociesza i nie doradza, nie poklepuje po plecach i nie mówi, że trzeba się wziąć w garść, po prostu jest i pozwala być.

Na pogrzebie obok mnie stała Magda i Siostra, przestałem się przejmować czymkolwiek i kimkolwiek, podchodzili ludzie, ściskali mi ręce i przytulali do siebie, przyjmowałem to z ochotą, nikogo nie puszczałem pierwszy. Zauważyłem wtedy, że ludzie nie lubią długo przytulać ani się przytulać. Pamiętam dotyk, byłem cały swoją skórą, karmiłem się rękoma, które mnie ściskały, szyją, która dotykała mojego policzka, dłonią, która zatrzymywała się na włosach. Ciałem obecnym obok mnie. Zdarzyło mi się to raz, wtedy i nigdy potem. Tak zapamiętałem pogrzeb, nie wiem, kto i co mówił, jaka była pogoda, w co byłem ubrany, pamiętam swoje ciało, które stawało się coraz bardziej bezwolne i szczęśliwe. Śniło mi się później, że moja matka ucieka przede mną, że biegnie podwórkiem, na którym suszy się pranie, gonię ją, ocierają mnie rozwieszone ręczniki, poszwy, w pewnym momencie nie widzę już matki, a wokół mnie pojawia się coraz więcej ciepłych, przyjemnych kołder, w które wpadam.

Gdy stałem nad ich grobami, zalany tymi wszystkimi wspomnieniami, poczułem ręce na ciele, obejmowałem się sam i palcami dłoni dotykałem pleców. Miałem ogromną ochotę na przytulanie. Tu i teraz. Stwierdziłem, że wyściskam pierwszą

napotkaną osobę, bez względu na to, kto to będzie. Jestem człowiekiem, myślałem, mam prawo. Gdy wyszedłem z cmentarza, spotkałem mężczyznę, który pchał wózek z supermarketu. On też mnie zauważył i wyciągnął ręce po pieniądze. Bezdomny. To nic – stwierdziłem – obiecałem sobie, człowiek to człowiek. Dam mu coś znacznie cenniejszego od gotówki. Podszedłem do niego, przytuliłem mocno, oparłem głowę na jego ramieniu. Szarpał się i chciał wyrwać. Trzymałem mocno, wiedziałem, że walczy sam ze sobą jak ja kiedyś. Wciągnąłem powietrze, doleciał do mnie zapach potu, moczu i wilgotnej piwnicy. Puściłem bezdomnego, który postukał się w głowę i warknął: „Spierdalaj, zboczeńcu!”. Na spodniach została mi jakaś tłusta, śmierdząca plama, a zapach tamtego mężczyzny niosłem na sobie całą drogę do domu.

W tramwaju ludzie delikatnie, ale zdecydowanie odsuwali się ode mnie.

W domu podczas kąpieli przypomniała mi się Justyna, Justa i onanizowałem się z myślą o niej. Było to na tyle dobre, że z trudem utrzymałem równowagę na śliskiej podłodze brodzika. Zasnąłem i znowu śniły mi się kołdry.

5

Obudził mnie telefon.

– Kupiłam płytę Nosowskiej – usłyszałem radosny głos Siostry – na której śpiewa teksty Osieckiej.

– Aha – powiedziałem. – Śpię.

– Śpisz, no trudno, muszę ci to powiedzieć, tam ona śpiewa takie zdanie „czasem dzwonisz w nieważnej sprawie i to jest prawdziwy test” i stwierdziłam, że muszę do ciebie zadzwonić w nieważnej sprawie.

– Dziękuję.

– Wszystko dobrze u ciebie?

– Tak.

– To śpij dobrze.

– Dobrze.

Już nie usnąłem. Kiedy Dita zauważy, że się obudziłem, wskakuje mi na brzuch i miauczy, sugerując, że chce jeść. Wstałem, nasypałem kotce karmy, której nie tknęła, wykąpałem się i zrobiłem sobie śniadanie. Przeczytałem najnowsze wiadomości w Internecie, dołączyłem na Facebooku do grupy „Boję się, że Reni Jusis kiedyś mnie znajdzie”. Telefon od Siostry nastroił mnie bardzo pozytywnie, postanowiłem, że zadzwonię do Gosi i również jej sprawię taką niespodziankę. Zadzwoniłem.

– Cześć, Gosiu!
– Cześć.
– Co słychać?
– Dobrze. Właśnie zbieram się do pracy.
– A ja dzwonię do ciebie, chociaż nie jest to wcale ważne, i to jest test.

– ...
– Jesteś tam?
– Przyswajam, co usłyszałam. Nie rozumiem. Jaki test?
– No wiesz, dzwonię bez powodu, bo cię lubię, bo jesteś moją przyjaciółką i to jest prawdziwy test.
– To, że dzwonisz?
– Tak, bo to nie jest ważne! – Wciąż byłem pełen entuzjazmu.
– Co nie jest ważne? – zapytała bardzo powoli.
– To, że nie muszę do ciebie dzwonić tylko po to, by na przykład ci przypomnieć, że masz mi oddać książkę.

– O Boże, zapomniałam.
– Nie o to chodzi, tylko o to, że nasz test to to, że możemy rozmawiać o rzeczach nieważnych i że teraz dzwonię.
– Aha, rozumiem – powiedziała wyraźnie niepokieszona. – Nie, nie rozumiem, Arku, ale mam wrażenie, że powinno mi być miło. Zaraz wychodzę. Możemy o tym porozmawiać wieczorem? Zadzwoń do ciebie, dobrze?

– Dobrze.
Poszedłem do pracy, lekko zmieszany. Myślałem o Magdzie, zastanawiałem się, co robi i czy jeśli rozstanie się ze swoim obecnym partnerem, to mamy szansę znowu być razem. Napisałem do Agnieszki esemesa, że przepraszam za poprzednią pijacką wiadomość i że mam szczerą ochotę spotkać się z nią na kawę.

Odpisała mi, że kawę też rzuciła.

Na kolejnej terapii rozmawialiśmy, jak zawsze, o kobietach.

Opowiadałem o pogrzebie babki i matki.

– Co pan teraz czuje, gdy opowiada mi o tamtych wydarzeniach?

– zapytała pani Ewa.

– Nie wiem.

– Gdy mówi pan „nie wiem”, odrzuca pan siebie, swoje uczucia, ale również mnie, nie dając miejsca na rozmowę. Myślę, że pan wie.

– Nic nie czuję.

– Jak to możliwe? – zapytała i dodała: – Stracił pan dwie osoby, które pana wychowywały.

– Nie wiem, jak to możliwe, myślę, że musiałem coś zrobić z tymi uczuciami.

– Ma pan pomysł co?

– Nie mam, a pani ma?

– Myślę, że odciął się pan od nich.

– Pewnie tak, ale przecież do pani coś czuję – dodałem wyraźnie rozbawiony.

Wydaje mi się, że terapeutka przewróciła oczami, tak jak zwykła to robić moja była żona, ale nie mam pewności. Gdy siedzę na fotelu terapeutycznym, zazwyczaj tracę całą pewność. Pani Ewa powiedziała mi później, że odważam się wyrażać uczucia do kobiet wtedy, gdy nie zagraża mi realna intymna relacja. Tak powiedziała: „realna intymna relacja”. Zagrożony wcale się nie czuję, a na kawę z panią Ewą poszedłbym ponoć z chęcią tylko dlatego, że jest to nierealne. To jej, nie moje zdanie.

Gdy wyszedłem z terapii, czekała na mnie Justa. Usta miała umalowane na najczerwieńszy z czerwonych kolorów, w ręce trzymała dwa papierosy, podała mi jednego i zapaliła. Zakocham

się w niej, jak tak dalej pójdzie, to pewne.

– Tylko nie zakochaj się we mnie za szybko – powiedziała i dodała to swoje: – Ha! – I uśmiechnęła się.

– Nie, no co ty – zareagowałem z twarzą dziwnie wykrzywioną.

– Jak się ma nasza doktorowa?

– Dobrze, rozgrzałem ją dla ciebie.

– Ha! – Jej śmiech bardzo mnie ucieszył.

– Co masz dzisiaj dla niej? – zapytałem.

– Tatusia, ponownie i od zawsze tatusia – westchnęła.

– Co zrobił?

– Robił... bił, miał swoje rytuały, rano zapowiadał lanie, wieczorem przynosił pasek, kładłam się na łóżko, on kończył herbatę i czynił ze mnie twardą kobietę.

– Przykro mi.

– Daj spokój, to jej zadanie – znowu się uśmiechnęła. – Mam to już oswojone, wiesz, bicie nie było wcale najgorsze, to po prostu ból. Czekanie na bicie, wszystkie chwile i myśli były przepełnione tym paskudnym wyczekiwaniem.

– Masakra.

– Masakra – powtórzyła i zaciągnęła się łapczywie. – A twój tatuś?

– Tatusia nie mam, poszedł sobie, jak miałem cztery lata, nie spodobałem mu się.

– Może miał jaskrę – puściła do mnie oko i zaproponowała: – Usiądźmy na chwilę. – Wskazała na park, który był tuż obok, i ławkę.

– Nie spóźnisz się?

– Spóźnię – odparła – płacę za każdą minutę, ona poczeka, tatuś też poczeka, chcę spokojnie spalić.

Usiedliśmy na oparciu ławki, nogi postawiliśmy tam, gdzie zwykle się siada.

– Gdy miałam dziewięć lat, postanowiłam, że dostanę anoreksji – zaczęła opowiadać Justa. – Wiedziałam z telewizji, na czym to wszystko polega, wiedziałam, że mogę pić, ale nie wolno mi jeść, a jeśli zjem, to zwymiotuję. I już. Anoreksja miała być karą dla ojca, który będzie żałował i przeprosi mnie, ale będę miała tylko tyle sił, by spojrzeć na niego z łóżka i zaraz potem umrzeć. Pielęgnowałam te myśli przez cały dzień, zbliżała się siedemnasta, powrót ojca z pracy, a ja nic nie zjadłam. Okrutnie głodna, wyobrażałam sobie znikanie samej siebie. Widziałam oczami wyobraźni, jak jest mnie mniej i mniej, tato próbuje mnie uratować, ale oczywiście nie udaje mu się i żałuje do końca życia.

Młoda, obiad! Tak mnie wołał – kontynuowała. – Albo: Młoda, kolacja! Albo: Młoda, drzwi! Albo: Młoda, chodź! Nie jestem głodna, odpowiedziałam, a on na to, że jak zgłodnieję, to mam sobie podgrzać zupę.

– A twoja mama?

– Umarła, jak miałam siedem lat. Nie bardzo ją pamiętam, myślę, że też była ofiarą tego gnoja. Słuchaj dalej.

Do kolacji płakałam w pokoju, że nie ma już ratunku, że czas na mnie. Poszłam do łazienki i próbowałam zwymiotować, moczyłam długo rękę w ciepłej wodzie, wiesz, tak jak na tych dokumentach o bulimiczkach, one wszystkie mają rany od zębów na dłoni. Zrobiłam tak samo, namoczyłam dłoń, potem wsadzałam ją w przętyk, jednak nie przyniosło to skutku i okazało się bardzo nieprzyjemne. Próbowaleś kiedyś? – zapytała nagle.

– Nigdy.

– Nigdy nie wymiotowałaś? – bardzo się zdziwiła.

– Nie no, wymiotowałem.

– Więc wiesz, jakie nieprzyjemne jest czucie dłoni w ustach. To co mówisz, że nigdy?

– Nigdy bulimii nie próbowałem.

– Ha! To rozumiem – znowu się uśmiechnęła. – Wracając do tatusia, niczego nie zauważył, a ja cały dzień byłam głodna i wciąż myślałam o zupie. Wyobrażałam sobie, że ojciec wchodzi do pokoju i mnie ratuje.

– Jak? – zapytałem.

– Na przykład mógłby powiedzieć „Justynko, musimy porozmawiać, przepraszam cię, tak nie powinno być, ale od teraz wszystko będzie inaczej, bardzo żałuję. Widzę, że zaczynasz znikać, proszę cię, córeczko, zacznij jeść. Wiem, że nigdy tego nie mówiłem, ale kocham cię bardzo”.

– Potem zostajesz przytulona bardzo mocno i bardzo długo, i idziesz zjeść najlepszą zupę na świecie – dokończyłem za nią.

– Dokładnie. Jeszcze papierosa?

– Dobrze.

Zapaliliśmy. Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu przed siebie. Przed nami znajdował się biały budynek z zielonym dachem, do którego chodziliśmy na terapię, oraz ścieżka prowadząca przez park do chodnika. Obok nas przeszła para staruszków.

– Pobrudzicie ławkę, dzieci – powiedziała ona.

– Już bardziej pobrudzić jej się nie da – odparła Justa.

– Oj, nieładnie, nieładnie, nogi na ziemi się trzyma – kontynuowała staruszka.

– A chce pani tutaj usiąść?! – odkrzyknęła Justa i wydmuchnęła dym z papierosa w kierunku starszej pary.

– No nie, ale...

– Ta ławka jest cała obsrana przez gołębie – przerwała jej Justa.
– A tutaj leży zużyta prezerwatywa, proszę spojrzeć! No, proszę spojrzeć! – Staruszka spojrzała. – Nie będę na tym siadała, a skoro i pani nie chce, nie widzę problemu. I nie jestem pani dzieckiem – dodała. Staruszka chciała coś jeszcze powiedzieć, ale towarzyszący jej mężczyzna chwycił ją pod ramię i zaczęli się oddalać.

– Zła? – zapytałem lekko przestraszony i przepełniony poczuciem winy wobec staruszków.

– W sumie to cały czas, nic innego tak mocno jak złości nie umiem poczuć.

– To mam zupełnie odwrotnie.

– Układ idealny – zaśmiała się.

– A co z twoją anoreksją?

– A, tak – wydmuchnęła dym i kontynuowała opowieść. – Zrobiłam kolację, bo jak zawsze tatuś był zmęczony – słowo „tatuś” za każdym razem wymawiała głosem małej, obrażonej dziewczynki.
– Siedział przy stole, jadł i czytał gazetę, podczas gdy ja ślęczałam nad pustym talerzem. Nic nie zjadłam, chociaż bardzo chciałam, a on niczego nie zauważył. Wyobrażałam sobie, jak bardzo będzie żałował, gdy zupełnie zniknę. Po kolacji usłyszałam: „Młoda, sprzątać i spać”. Posprzątałam i położyłam się spać. Jak widzisz, byłam grzeczną dziewczynką. Nasłuchiwałam w nocy odgłosów płynących z pustego brzucha, pomyślałam, że to pewnie jakieś fragmenty wnętrza powoli znikają. Nic z tego, moja niezauważona anoreksja trwała do następnego obiadu, nie zostałam uratowana. Postanowiłam zjeść jedną łyżkę zupy, potem kolejną, a dalej nie mogłam już przestać. Głodna byłam, głodna jak nigdy. No, nic, lecę – nagle zeskoczyła z ławki – mam jakieś piętnaście minut obsuwy. Wiesz, o co mnie zapyta?

– Dlaczego się pani spóźniła? – zapytałem, naśladowując głos terapeutki.

– Wszystko przez pani pacjenta – odparła, opuszczając teatralnie głowę i chowając za sobą ręce. – Uwiódł mnie w parku i przeprowadził bezpłatną terapię.

– Kto powiedział, że bezpłatną?

– Ha! – roześmiała się. – Stawiam kawę, za tydzień.

– Za tydzień? Może wieczorem?

– Niegrzeczny – uśmiechnęła się ostatni raz i już jej nie było.

Zostałem na ławce. Myślałem o ojcu Justy, że go nie polubię, jeśli kiedyś będzie moim teściem. Taka myśl mi przyszła do głowy, chociaż nie znałem jeszcze nazwiska ewentualnej przyszłej żony. Nie widzę nic złego w byciu żonatym, szczególnie wtedy, gdy się jest rozwodnikiem. Miałem ochotę poczekać, aż Justa skończy terapię, i zaprosić ją na obiad, ale stwierdziłem, że mogłaby to potraktować jako narzucanie się. Nie chciałem niczego popsuć. Obok mnie przechodziła jakaś para z wózkiem i dwójką małych dzieci, które szły, trzymając się za ręce.

– Wczoraj, jak szedłem koło tego mostu, prawie bym wszedł na barierkę, wiesz... – powiedział mężczyzna.

– Yhm – odparła kobieta i oddalili się w milczeniu.

Posiedziałem jeszcze chwilę na ławce i stwierdziłem, że pójde coś zjeść. Opuszczając park, zauważyłem kilkanaście metrów przed sobą tamtą parę staruszków. Pomyślałem, że załagodzę nieporozumienie. Krzyknąłem: „Proszę państwa” i pobiegłem w ich stronę. Odwrócili się oboje, mężczyzna znowu chwycił kobietę pod rękę i również zaczęli biec. „Nie, nie” – krzyknąłem – „Proszę poczekać”. Spojrzeli jeszcze raz przez ramię i przyśpieszyli. Ja za nimi. Przebiegli przez pasy, podczas gdy mnie zatrzymało czerwone

światło. Wbiegli do autobusu, który właśnie podjechał, a kiedy ja dotarłem na przystanek, spojrzeliśmy na siebie przez szybę. Uśmiechnąłem się i aby wzmocnić ten przekaz, wskazałem palcem na swoje usta. Mężczyzna wystawił dłoń i pokazał mi środkowy palec.

6

Siedziałem w pracy i od ponad godziny oglądałem zdjęcia znajomych na Facebooku, dołączyłem do grupy „Gdy byłem mały, zdrapywałem strupy z kolan”, przeczytałem mejla od Michała, w którym napisał, że od wielu tygodni nie był tańczyć i że musimy iść koniecznie jutro, poza tym jest sobota i przyda mi się trochę rozrywki, tak napisał. Na imprezie byliśmy dwa tygodnie temu, ale Michał zawsze przesadza. Umówiliśmy się na dwudziestą pierwszą na starówce. Chciałem mu opowiedzieć o Juście, bo jest ekspertem w tych sprawach. Odwrotnie niż ja, to on porzuca kobiety, które notorycznie się w nim zakochują. Gdy idziemy razem do baru, a on akurat jest sam, a jest sam co kilka miesięcy (przez kilka miesięcy), zawsze flirtuje z jakąś kobietą. Od kiedy jestem rozwodnikiem, poderwał kilka panien dla mnie, zazwyczaj były to brzydsze koleżanki tych, z którymi sam flirtowałem. Nigdy nic z tego nie wyszło, poza jednym nieśmiałym, prawie seksualnym aktem zakończonym jej poranną ucieczką z łóżka. Jestem przyzwyczajony, że zazwyczaj pod koniec wieczoru Michał odwraca się w moją stronę i mówi, że idzie z nową wybranką do niego lub do niej, lub do hotelu i pyta, czy sobie poradzę. Tak mówi i czeka, aż odpowiem, jasne, idź się zabaw. On wtedy mówi, że to nie zabawa, że tym razem coś z tego może być, że tak czuje. Niekiedy faktycznie flirt

zamienia się w romans, kilkudniowy lub kilkumiesięczny. Jeśli kobieta jest mężatką lub ma chłopaka, szanse na to, by romans trwał dłużej, są większe. Wiele lat temu Michał był bardzo zakochany, ale po trzech latach jego Miłość umarła, a wtedy okazało się, że zdradzała go z kolegą z pracy. To temat zakazany, o którym Michał nie chce rozmawiać. Gdy kiedyś zapytałem go o Miłość, powiedział, że nie widzi sensu w drapaniu starych ran, że jest mu dobrze i że temat jest zamknięty, a jak będzie chciał porozmawiać, to da mi znać. Mimo wszystko co roku w rocznicę jej śmierci dzwoni do mnie i idziemy na cmentarz, chwilę posiedzieć, czasami zapalić świeczkę, położyć kwiaty. Ten rytuał trwa od dwunastu lat i pewnie będzie trwał nadal. Michał zawsze nad jej grobem opowiada mi o swoich ostatnich przygodach z kobietami. Mówi tak, że czasami myślę, że chce, by ona usłyszała. Jestem mu potrzebny jako niemy słuchacz, ktoś, kto nie będzie oceniał, a przeciwnie, czasami popatrzy z uznaniem, zazdrością.

Po pracy wróciłem do domu i znalazłem na łóżku mokrą plamę. Dita zwymiotowała jakąś cieczą oraz zwłokami dwóch much.

– Tak to się kończy – powiedziałem do niej. – Jeśli już musisz zabijać, zabijaj, ale nie zjadaj.

Nawet mi nie odmiauknęła. Pościel włożyłem do pralki, założyłem nową, z lodówki wyciągnąłem ser żółty i pesto, pokroiłem pomidory, po czym zjadłem trzy kanapki. Napiłem się herbaty i włączyłem muzykę z Internetu. Myślałem o Juście, zastanawiałem się, gdzie pójdziemy. Wyobrażałem sobie jej usta, które mnie całują, i zastanawiałem się, czy pozwala sobie na moment, w którym usta zatrzymują się przy ustach i nie dzieje się nic. Nauczyła mnie tego Agnieszka, z którą pocałunki były najmocniejszym, a przy okazji jedynym seksualnym

doświadczeniem. Mówiła mi czasami, spokojnie, schowaj język, uśmiechała się i kładła usta na moich ustach. I tyle. Okazało się, gdy nauczyłem się wytrzymać ten moment, że jest to bardzo przyjemne, a nawet wzruszające. Była pierwszą kobietą, która dała mi konkretne instrukcje, jak całować. Widziałem w tym ewidentną korzyść z tamtych sześciu tygodni. I znowu wróciła myśl o Juście, jej czerwonych ustach, że chcę poczuć ją na sobie, taki moment, w którym nie ma możliwości wypowiadać słów, usta na ustach, ciepłe powietrze wydychane z nosa spływa na wargi, można na chwilę, ale bardzo krótką chwilę, otworzyć oczy, by zobaczyć zamknięte powieki. Potem powinny się zacząć głębokie pocałunki, język w ustach, zabawa nim, dotyk. Te myśli zaprowadziły mnie ponownie do łazienki. Nakarmiłem Ditę tuńczykiem, bardzo lubi, ale kompletnie nie docenia, i poszedłem spać.

W sobotę wieczorem włożyłem świeże dżinsy, czarną koszulkę, ogoliłem się i wyszedłem na spotkanie z Michałem. Poszliśmy do Elku, miejsca, w którym mężczyźni w naszym wieku nie są rzadkością, a dodatkowo przychodzą studentki i kobiety prawie w naszym wieku. Michał właśnie rozstawał się z jakąś dziewczyną, którą widziałem tylko raz. Swoje partnerki przedstawiał znajomym bardzo rzadko, one miały o to pretensje, po kilku dniach czy miesiącach, gdy zaczynały oczekiwać od niego deklaracji albo nie daj boże przedstawienia rodzicom, Michał znikał. Podobnie reagował na wyznania miłości.

- Poznałem kogoś – powiedziałem mu.
- Zakochałeś się? – zapytał zupełnie spokojnie.
- Nie, znaczy nie wiem, ale to możliwe, że się zakocham.
- To pewne, że się zakochasz – Michał mnie znał – jest wyższa od ciebie?

- Tak – odpowiedziałem z uśmiechem – i ma czerwone usta.
- A ktoś nie ma?
- Ale ona ma tak czerwone, jak nikt nie ma, Justa.
- Gdzie się poznaliście?
- Mamy tę samą terapeutkę.
- Ożeż, a tak można?
- Nie wiem, dlaczego nie? Nic złego nie robimy.
- Jeszcze – zaśmiał się. – Chcesz ją puknąć?
- Ja nie pukam, chcę ją całować, za tydzień mamy randkę, prawdziwą randkę.
- Puknij ją.

Skończyłem temat. Gdy Michał stracił swoją Miłość, zaczął korzystać z usług prostytutek. Byliśmy świeżo po studiach, Michał powiedział mi, że chce spróbować. Zapytał, czy z nim pojedę, powiedziałem, że nie, zapytał dlaczego, wyjaśniłem, że wydaje mi się, że po seksie za pieniądze ciężko się potem z kimś kochać. Stwierdził, że to bzdura i dodał, że mogę z nim jechać dla towarzystwa, że po prostu przejedziemy się autem po mieście i już, poobserwujemy sobie. Zgodziłem się. Czułem się jak ktoś, kto swoją cichą obecnością ma udzielić rozgrzeszenia, nie przyzwolenia, ale rozgrzeszenia właśnie. Michał potrzebował mnie, tak jak początkujący alkoholik potrzebuje kompana do picia, chociaż czuje i wie, że niebawem przyjdzie czas, gdy będzie pił sam. Boi się tego, nie chce i potrzebuje zarazem. Gdybym nie zgodził się mu towarzyszyć, Michał i tak by pojechał, ale ze mną miał mniej czasu na analizowanie, zastanawianie się, po co to robi. Był początek nocy, wsiedliśmy do jego starej mazdy i pojechaliśmy obserwować prostytutki. Michał puścił muzykę, zwalniał przy każdej kobiecie, patrzył na nią, i ja patrzyłem. Zależnie od ulicy, skrzyżowania,

kobiety były różne, na Wieczornej na przykład stały tylko starsze i grubsze, przy Alejach bardzo młode, szczupłe, najpiękniejsze. Objechaliśmy trzy razy całe miasto, ponad dwie godziny w samochodzie.

– Chcesz? – zapytałem.

– Chcę – odpowiedział.

Wybrał wysoką blondynkę, podjechaliśmy samochodem, otworzyłem okno, Michał zapytał, ile, ona ze wschodnim akcentem zapytała, czy dwóch, pokręciłem szybko głową przestraszony i wlepiłem wzrok w swoje kolana. Michał zapewnił, że jeden, że tylko on, i usłyszał, że do buzi czterdzieści, a stosunek sześćdziesiąt. Pomyślałem, że to bardzo tanio. Przedstawiłem się, że jestem Arek, ona, że Nadia, zapytałem skąd jest, odpowiedziała, że z Ukrainy i że ma małe dziecko. Michał nie mówił nic, zapytał tylko, gdzie najlepiej jechać, pokierowała nim, wjechaliśmy do jakiegoś lasu. Michał miał mi puścić sygnał, jak już będzie po wszystkim. Poszedłem na spacer, podniecony.

Jeździłem tak z Michałem ponad rok, w końcu przestał dzwonić z propozycją przejazdki. To był nasz rytuał, jechaliśmy na kolację, zazwyczaj jakiegoś fastfooda, potem spędzaliśmy godzinę w samochodzie, słuchając głośnej muzyki, śmiejąc się, obserwując kobiety, tak jak się obserwuje karpie w wannie. Chciałem je poznać, te prostytutki, dowiedzieć się, kim są, dlaczego tak pracują, wiele razy rozpoczynałem rozmowę, ale w pewnym momencie okazało się, że wszystkie mówią to samo, pewnie bały się dwóch facetów w aucie. Imiona w stylu Sonia, Natasza, Monika albo Tak Jak Byś Chciał, prawie każda mówiła, że ma małe dziecko, a generalnie nie chciały rozmawiać. Przestałem więc pytać. Rozmowa jest trudniejsza od seksu, gdy się nie kocha.

Michał puścił mi sygnał, minęło jakieś osiem minut. Wypaliłem jednego papierosa, w miarę jak Michał nabierał doświadczenia, moje spacerowanie stawały się coraz dłuższe, takie do trzech papierosów. Wróciłem do samochodu, Nadia siedziała z tyłu, uśmiechnięta, Michał miał twarz bez wyrazu, w samochodzie czułem delikatny zapach przypominający palony na patelni słonecznik. Gdy odwieźliśmy Nadię, zapytałem, jak było.

– Normalnie, obciągnęła mi.

– I jak?

– No normalnie, zapytała, co chcę, powiedziałem, że do buzi, to mi obciągnęła.

– Przyjemnie?

– Lepiej niż samemu na pewno, ale dziwnie jakoś, chyba już nie chcę.

– Masz wyrzuty?

– Sruły tam, jakoś dziwnie mi po prostu, wracamy, spać mi się chce.

Po dwóch tygodniach zadzwonił znowu zapytać, czy z nim pojedę, pojechałem, nie miałem nic ciekawszego do zrobienia.

Teraz, w Elku, rozmawialiśmy przy swoim stoliku o kobietach stojących przy barze, ocenialiśmy, czasami podziwialiśmy, piliśmy, by za jakiś czas móc pójść tańczyć. Michał podrywał jakąś młodą brunetkę, którą zaprosił do stolika, przyszła ze swoją koleżanką, ani ładną, ani brzydką, tak bardzo zwyczajną, że nie sposób byłoby ją zapamiętać, gdyby przeszła obok na ulicy. Michał objął ramieniem brunetkę i puścił do mnie oko. Zwyczajna usiadła obok mnie, sączyła drinka.

– Arek – rozpocząłem.

– Basia jestem – odpowiedziała. No cóż, nikt nie jest doskonały – pomyślałem.

– Czy wierzysz w Boga?

Spojrzała na mnie uważnie, zapewniła, że tak, po czym stwierdziła, że musi do toalety, zabrała swoją koleżankę i wyszła.

– I co myślisz? – zapytał mnie Michał.

– Ładna – powiedziałem.

– No, ładna, kończy prawo, bardzo ciekawa, bardzo ładna, myślę, że coś może z tego być.

Wróciła już tylko ładna, spojrzała na mnie, mrużąc złowrogo oczy i usiadła obok Michała. Powiedziała, że Basia musiała wracać do domu. Dopiłem piwo i się pożegnałem. Michał zapytał, czy sobie poradzę.

W domu porozmawiałem chwilę z Ditą, zrobiłem sobie kanapkę i kilkadziesiąt razy odświeżyłem główną stronę Facebooka. Dwa komentarze. Nie dzieje się nic. Dołączyłem do grupy „Gdy byłem mały, bałem się wystawiać nogi za łóżko, by nie zjadł ich potwór”. Następnego dnia rano zadzwonił Michał, podekscytowany.

– Jest u mnie cały czas, kąpie się, mówię ci, to jest coś.

– Super.

– Wszystko w porządku?

– Tak, a co?

– Dlaczego wczoraj zapytałeś Basię, czy wierzy w Boga?

– Chciałem porozmawiać.

– W klubie o drugiej w nocy, pijany, chciałeś porozmawiać z nowo poznaną dziewczyną o Bogu?

– Tak.

– Wraca Maria, uważaj na siebie.

– Dobrze.

A zatem ma na imię Maria. Zacząłem czytać wiadomości w Internecie. W niemieckim mieście Bielefeld 33-letni mężczyzna zakradał się do więzienia, w którym przebywała jego dziewczyna. Wytrychem wykonanym z łyżki otwierał jej celę i wymykał się zawsze przed świtem. Został schwytany, gdy doniosły na niego zazdrosne więźniarki. Zauważyłem, że Agnieszka usunęła mnie ze znajomych na Facebooku. Wysłałem do niej mejla z pytaniem dlaczego. Napisała, że wszystko przecież się skończyło i żebym nie brał tego do siebie. Agnieszka nigdy nie zakradłaby się do mojej celi, nie mówiąc już o zrobieniu z łyżki wytrychu. Sprytny młody facet, oceniłem, z pasją, oddany. I jeszcze pomyślałem, że gdyby pani Ewa poprosiła, abym zakradał się do niej na wieczorne sesje, z pewnością bym się zgodził. Nikt nigdy dla mnie nie oszalał, a ja, jeśli nawet oszalałem kiedyś dla Magdy, nie pozwoliłem sobie nigdy na okazanie tego tak jak ten facet. Była łyżka, a jest wytrych. Chciałem oszaleć dla Justy. Tak bardzo chciałem zmienić dla kogoś rzeczywistość, nie bać się namiętności, wszystkie sztuczki przerobić na wytrychy.

7

Nie wiedziałem, co zrobić w taki dzień jak dziś. Moje myśli wracały do Magdy i Justy. Chciałem, żeby wydarzyło się coś spektakularnego, powódź w mieście, zaproszenie od prezydenta na bal maskowy, bomba podłożona w budynku redakcji albo seks z Justyną. Popatrzyłem za okno, ale w kamienicy naprzeciwko wszystkie okna były pozastłaniane. Zadzwonił telefon, Gosia właśnie wróciła z Londynu, gdzie promowała młode polskie zespoły, i zaprosiła mnie na kolację. Powiedziała, że ma dla mnie niespodziankę i coś do opowiedzenia, i że będzie Michał. Ucieszyłem się. Gosia pracuje przy organizacji koncertów, w związku z czym dużo podróżuje po świecie, zawsze w towarzystwie swojego asystenta lub asystentki. Zazwyczaj są to pełni zapалу studenci, którzy zmieniają się co kilka miesięcy i dla których wynagrodzeniem jest możliwość spania w autobusie koncertowym albo uściśnięcie dłoni Thoma Yorke' a czy Agnieszki Chylińskiej. Gosia wymyśla koncepcje, koordynuje działania oraz wydaje stosowne dyspozycje. Sporą część jej pracy stanowią rozmowy, podróże oraz picie. Moja przyjaciółka ma w życiu kilka celów, nie chce się nigdy zestarzeć ani urodzić dziecka, a jeśli jest zafascynowana jakimś wokalistą, robi wszystko, by zorganizować jego koncert w Polsce lub współorganizować za granicą. Jeśli

fascynacja zamienia się w zakochanie, a to w wieloletnią miłość, powtórnie organizuje koncert i stara się uwieść wybranka. Zrobiła tak cztery razy, twierdząc, że nie widzi w tym nic złego, że to chwilowe zatracenie, które zdarza się wszystkim zagorzałym fanom.

Rozmawiałem kiedyś na terapii o moich przyjaciółach, co wywołało we mnie poczucie winy. Wystraszyłem się, że mógłbym ich stracić, i postanowiłem już nigdy więcej nie poruszać ich tematu. Terapia zmienia nie tylko nastrój, ale również relacje, które się buduje. A nawet w najlepszych związkach psychoterapeuta znajdzie problem. Nie tylko dlatego, że na tym polega jego praca. Niewykluczone, że bycie dojrzałym oznacza nieustanny rozwój i zmiany na lepsze, jednak w imię tego nie chciałem tracić kolejnych ludzi ze swojego życia, ludzi, których kochałem, nawet jeśli byli tak bardzo niedoskonali jak ja. I miałem gdzieś to, że motywowany jestem strachem. Kiedy opowiedziałem pani Ewie o Michale i Gosi, powiedziała, że to smutne, co słyszy i zapytała, czy nie uważam, że oni podobnie jak ja doświadczają problemów z bliskością. Zapytałem ją więc, czy faktycznie jest to takie wyjątkowe dla mnie i moich przyjaciół, czy może jest to po prostu ludzkie – mieć problemy z bliskością.

Spotkaliśmy się. Gosia cała rozpromieniona podarowała Michałowi i mnie po wielkim brązowym i kompletnie bezużytecznym pluszowym misiu.

– Jesteście moimi misiami – stwierdziła, cedząc swoim zwyczajem słowa, po czym dodała: – W Londynie. Po koncercie. Przespałam się z Brianem Molko.

– Kto to? – zapytał Michał.

– Ignorant! – Gosia uderzyła misia, którego trzymał na kolanach.
– To ten z Placebo – pouczyłem Michała.
– Ach – powiedział. – I jak?
– Cudownie. W sumie przespałam się to za dużo powiedziane. Po koncercie była impreza. Bardzo się zrobiliśmy. Usiadłam obok niego i zaczęliśmy rozmawiać. Potem się całowaliśmy. Kocham go i tęsknię – zaśmiała się.

– A czy on nie jestem przypadkiem gejem? – zapytałem, bo przypomniały mi się opowieści Gosi na jego temat.

– Jest bi. Spałam u niego w apartamencie.

– Zabezpieczyłaś się? – dopytał Michał.

– Zawsze się zabezpieczam, ale nie było potrzeby. Nie było stosunku, tylko dotyk.

– I już? – Byłem niepokieszony.

– Można powiedzieć, że mieliśmy nieudane podejście. Do seksu oralnego. Nie szkodzi. Jestem zachwycona. Lecę na niego od trzech lat. Zaraz wam puszcze *Pure morning*.

Cały wieczór słuchaliśmy Placebo, Gosia co jakiś czas omdlewała z zachwyty. Piliśmy whisky, którą przywiozła z Anglii, i rozmawialiśmy o związkach, byłych i obecnych. Gosia powiedziała, że napisze do Briana mejla, na którego najpewniej on nigdy nie odpowie. Gdy kontakt ustanie, potęskni i pocierpi, po czym zadzwoni do Adama, swojego byłego partnera, z którym od czasu do czasu wracają do siebie.

– Kochasz Adama? – zapytałem zniienacka.

– Nie wiem – odparła zaskoczona – On mnie kocha. Chyba. Cudownie mi się do niego przytulać i zasypiać, ale nie chcę z nim mieszkać.

– To po co do niego wracasz? – włączył się Michał. – Od lat robisz

mu wodę z mózgu, kocha i czeka, chce sobie życie z tobą układać, a ty się nim pocieszasz.

– I mówię mu o tym wprost. To, że on chce układać sobie ze mną życie, ma oznaczać, że ja chcę tego samego? Spróbowaliśmy. Nie wyszło nam. Jak się czuję samotna, to tęsknię do niego. Właśnie do niego. To chyba coś, nie? Jest moim chłopakiem na przetrzymanie. Czasami się z tego śmiejemy. Adam wierzy, że mnie wyczeka, że kiedyś za niego wyjdę. Rozczuła mnie to.

– Przymulanie i seks to naprawdę wszystko, czego od niego potrzebujesz? – zapytałem.

– Dobrze mi ze swoim życiem. Mam was. Mam pracę. Mam gdzie mieszkać – Gosia swoim zwyczajem zdania budowała powoli i pozwalała każdemu słowu wybrzmieć. – I tak, brakuje mi przytulania i seksu. To takie złe?

– Nie złe – powiedział Michał – ale egoistyczne, wykorzystujesz go.

– Gdyby nie chciał być wykorzystany, nie godziłby się. To duży chłopiec. Gram w otwarte karty. Mówię jemu to samo co wam.

– O Brianie też mu powiesz? – dopytał Michał.

– Nie. Po co? Tylko by się zezłościł i nie zrozumiał. A jeśli miałabym w ten sposób ukoić poczucie winy, to dopiero byłoby egoistyczne.

– Mimo wszystko to dosyć okrutne – ocenił Michał.

– Co jest okrutne, Michał? Że nie chcę zostać żoną Adama i matką jego dzieci, bo on tego chce? Nie wiem, czy go kocham. Czasami czuję, że tak, ale nie wiem. Czekam gdzieś w środku cały czas na wielką miłość. Na uniesienia, zachwyty. Na pewność, że to jest to.

– Miałem tak na początku z Magdą – wyszeptałem.

– Ja z Adamem też, ale minęło. Pamiętasz, dlaczego się rozstaliśmy? Minęły trzy lata i on przestał się starać. Każdy dzień był taki sam. Przybywało tylko obowiązków, krytyki, niechęci. I złości na siebie nawzajem. Jasne, mogłam jak moja matka zagryźć zęby. I trwać. Bo przecież Adam mnie kocha. Ale poza tym, że mówił, że mnie kocha, nie robił wiele więcej.

– Dobrze pieprzy, z tego co mówiłaś – Michał podsunął komplement.

– No, pieprzy doskonale – uśmiechnęła się Gosia.

– Może to właśnie jest miłość, żeby zagryźć zęby i wytrzymać – kontynuował Michał.

– I mówi to ten, który co chwilę ma nową partnerkę! A na każde wyznanie miłości reaguje ucieczką!

– No to o co, kurwa, nam chodzi? – zapytał Michał.

Uznałem za stosowne podsumować, że o miłość. Wszyscy się zgodziliśmy. Rozważaliśmy przez chwilę, czy pogoń za wielką, namiętną miłością nie jest ucieczką przed prawdziwym, nieco cichszym uczuciem, które czai się tuż za rogiem, ale tezę tę odrzuciliśmy szybko jako zbyt smutną. Gosia stwierdziła, że niepotrzebnie rozprasza się chęcią zaspokojenia i przekłada się to negatywnie na jej pracę, którą uwielbia.

– Potrzebny mi jest związek na bezpieczną odległość – dodała.

– W miłości bezpieczna odległość kończy się w chwili, w której posiada się wspólną sypialnię – skomentował Michał.

Opowiedziałem im o Justynie, Gosię zachwyciła historia o przegonieniu staruszków i życzyła mi powodzenia. Michał uznał, że to wariatka i nic z tego nie będzie. Stwierdziliśmy z Gosią, że chociaż miłość jest bez sensu, to i tak zrobimy wszystko, by ją mieć. Zaczęliśmy wspominać najbardziej upokarzające doświadczenie

związane właśnie z miłością. Opowiedziałem im, jak na studiach bardzo zależało mi na pewnej dziewczynie. Umówiliśmy się pod pręgierzem, a gdy zauważyłem, że idzie w moją stronę, wyciągnąłem telefon i zacząłem udawać, że rozmawiam z redaktorem naczelnym dużej gazety. Po pierwsze – żeby jej zaimponować, po drugie – by sprawić wrażenie niedostępnego. Gdy dziewczyna podeszła, przepaszająco wskazałem na telefon i zegarek, uśmiechnęła się ze zrozumieniem i stanęła obok, by poczekać, aż łaskawie skończę rozmawiać. Wypowiadałem mądre słowa, umawiałem nieistniejący wywiad, telefonu nie wyciszyłem i niestety po kilku sekundach zadzwonił naprawdę, prosto w moje ucho. Dziewczyna spojrzała na mnie z politowaniem i zapytała, czy nie odbiorę. Była to najkrótsza randka w moim życiu. Bardzo sobą rozbawieni rozeszliśmy się do domów.

8

Na terapii powrócił temat ojca, mężczyzn i Boga. Wszystko w jednym.

Nie pamiętam swojego taty, zachowałem tylko jedno wspomnienie. Miałem siedem, może osiem lat, do domu przyszedł jakiś mężczyzna, a ja zapytałem mamę, kim jest ten pan. Okazało się, że to mój ojciec, który zezłościł się, gdy usłyszał „pan” zamiast „tata”. Wiem, że płacił regularnie alimenty, że ma rodzinę, z którą żyje, gdzieś na północy Polski.

– Co pan czuje, gdy o tym mówi? – Pytania na terapii powtarzają się regularnie, to momentami bardzo rentowna i niezbyt skomplikowana praca, pytanie: „Jak się czujesz?” pasuje praktycznie zawsze. Czasami myślę, że jeśli moja terapeutka nie wie, co powiedzieć lub gubi wątek, po prostu pyta o emocje, nawykowo.

– Czy przypadkiem nie przecenia pani uczuć? – zapytałem.

– A jak pan uważa?

– Myślę, że tak. Opowiadam o ojcu, nie czuję do niego nic, nie ma go.

– Wyobrażam sobie, że brak ojca, jego nieobecność może wywoływać różne uczucia, na przykład złość, tęsknotę.

– Ciężko tęsknić do kogoś, kogo nigdy nie było.

A złość wydała mi się zupełnie bezsensowna, ale tego już nie powiedziałem pani Ewie, by nie zapytała dlaczego. Na swój własny użytek uważam, że gdyby nikt się nie złościł, wszystkim żyłoby się zdecydowanie lepiej. Ale dzięki tej sesji poczułem, że chciałbym się z ojcem zobaczyć, przed śmiercią, jego albo moją. Być może go odwiedzę. Po wyjściu z budynku zapaliłem papierosa i czekałem na Justę. Przybiegła spóźniona, uśmiechnięta, umówiliśmy się na dwudziestą na starówce przy fontannie Pustelnika. Bardzo ucieszony zrezygnowałem z pracy w dniu dzisiejszym i poszedłem sprzątać do domu. Na odgłos odkurzacza Dita jak zawsze obraziła się i na długo schowała pod wanną. Potem ogoliłem twarz oraz skróciłem włosy pod pachami. Według Michała jeden centymetr w tym miejscu to długość idealna, najbardziej seksowna. Z jego doświadczeń wynika, że kobiety nie lubią nigdy niegolonej, dziesięciocentymetrowej, zmechaconej pachy, ale i kompletny brak owłosienia nie jest atrakcyjny. Jeden centymetr pod pachami u mężczyzny to długość idealna.

Justa spóźniała się kilka minut. Im dłużej czekałem, tym bardziej byłem przekonany, że nie przyjdzie. I faktycznie nie przyszła, przybiegła, dała mi buzi w policzek i zapytała, dokąd idziemy.

– A na co masz ochotę?

– Na długi wieczór – odpowiedziała.

– Zatem pójdziemy do Riksy. To moja ulubiona knajpa z włoskim jedzeniem.

– Doskonale.

Miała na sobie czerwoną sukienkę na ramiączkach, w ręku trzymała czarny sweter oraz czarną torebkę, a na nogach czarne trampki. Wyglądała cudownie. W tych butach była tylko

nieznacznie wyższa ode mnie. Mężczyźni i kobiety oglądali się za nami, za nią. Zamówiliśmy butelkę wina, zastrzegła już na początku, że płacimy po połowie. Rozmawialiśmy jak natchnieni, Justa opowiadała o swojej przeszłości, o ojcu, którego często odwiedza w domu opieki, bo choruje na alzheimera. Mówiła, że spotykała się z kimś, ale kilka dni temu skończyła tę relację, bo łączył ich tylko seks i nie mieli o czym rozmawiać. Opowiedziałem jej o rozwodzie, Magdzie i Agnieszce, o mojej babce. Powiedziałem, że chciałbym kiedyś odwiedzić jej ojca, stwierdziła, że to doskonały pomysł i że mogę się z nią wybrać. Bardzo się ucieszyłem.

– Jesteśmy sierotami – stwierdziła.

– Chociaż posiadamy ojców, którzy mają nas gdzieś – dodałem.

– Mają i mieli, za to mamy wspólną terapeutkę. Ewa pytała mnie na początku terapii...

– Pani Ewa – poprawiłem ją, udając oburzenie.

– Jakże mogłam? – uśmiechnęła się. – A zatem pani Ewa pytała, czy ktoś z moich bliskich leczy się u niej. Zastrzegła, że nie przyjmuje członków rodzin czy osób w związkach. Dzisiaj powiedziałam jej, że się poznaliśmy.

– Powiedziałaś? – Przestraszyłem się.

– Tak, mówię jej o wszystkim, po to tam jestem, nie?

– I co teraz?

– Nie wiem, ale będę robiła to, na co mam ochotę.

– To znaczy?

– To znaczy, że chcę cię poznać, Arku.

– I ja – wyszeptałem, chociaż miałem ochotę krzyknąć.

– Ha! – zaśmiała się i poprosiła kelnera o kolejną butelkę wina.

– Podobam ci się – stwierdziła nagle.

– Tak – znowu ten nieznośny szept, niezamierzony.

– A co ci się we mnie podoba?

– To, jak mówisz – zacząłem. – Oczy...

– Oczy to nic – przerwała mi. – To komplement, który zawsze przejdzie, gdy nie masz kogoś za co pochwalić, zawsze możesz powiedzieć, że ma ładne oczy.

– Masz piękne usta i palce u dłoni, jesteś piękna, ty, cała.

– Jestem?

– Jesteś.

– Ha!

Czułem w sobie wino i to uczucie, które znam tak dobrze, które przestrasza i zagarnia w całości. Poszliśmy na spacer nad rzekę.

– Nie śpijmy dziś wcale – zaproponowała.

– Dobrze.

To szczęście, wiedziałem. Patrzyłem, jak podbiega do rzeki i przegania kaczki. To szczęście – ta chwila, w której zaczyna się nadzieja. Podbiegła do mnie cała uśmiechnięta i zapytała, czy widziałem.

– Widziałem – potwierdziłem.

– Pójdziemy do mnie czy do ciebie? – zapytała i dodała, że uwielbia to pytanie.

– Często je zadajesz?

– Nie psuj tego. – Popatrzyła na mnie uśmiechniętymi oczami.

– Zapraszam, mam butelkę dobrego wina – odpowiedziałem speszony i zachwycony zarazem.

– Chcesz mnie pocałować? – spojrzała uważnie w moje oczy.

– Chcę.

Podszedłem do niej, dotknęła dłonią mojej twarzy, poczułem na sobie jej ciało, piersi i brzuch, ciepło. Usta również miała ciepłe. Oddała mi pocałunek, od razu czyniąc go namiętym. Poszliśmy do

mnie, otworzyliśmy wino, włączyłem muzykę. Justa zachwycona bawiła się z kotką, co chwilę krzycząc, że to pierwszy kot, na którego nie jest uczulona, ganiała Dite po kuchni, nie zabierała rąk, gdy ta ją drapała. Zapytałem ją, dlaczego chodzi do psychiatrii.

– Kontrolnie i po leki.

– Ale dlaczego?

– Ponoć mam afektywną dwubiegunową. Wystraszony?

– Nie, a powinienem?

– Powinieneś, przebywa u ciebie kobieta w myśl normy psychicznej chora.

– Czym jest ta norma?

– Norma? – Zdziwiła się i na chwilę zamilkła. – Cierpliwością, długim związkiem, regularną pracą, strojem, który pasuje, obiadem dwudaniowym, seksem w co drugą sobotę, dziećmi, rodziną, mężem i zachwytem nad nimi wymieszanym z lękiem. Nie wydaje się mi jednak najmądrzejsze, by o normie psychicznej opowiadała...
psychiczna.

– Czy rozwodnik w średnim wieku, z kotem i regularną terapią w czwartki pasuje do tej normy?

– Do mnie pasuje! – Zaśmiała się.

I pocałowała mnie. Usiadła mi na kolanach, patrzyła na mnie, dotykała dłonią mojej twarzy i całowała. Głaskałem ją po włosach, po plecach. Miałem erekcję, wyczuła to i przysunęła się jeszcze bliżej. Pospiesznie ściągaliśmy z siebie ciuchy, kochaliśmy się zachłannie, z krzykiem na ustach.

– Dobrze mi było – powiedziała po wszystkim.

– I mnie, cudownie.

Dita z obojętną miną przyglądała się nam z końca pokoju. Poszliśmy się wykąpać. Gdy znaleźliśmy się nago pod prysznicem,

powiedziała „nie patrz” i stanęła tyłem do mnie. Umyci położyliśmy się do łóżka, złapała mnie za rękę i rozmawialiśmy o kocie, o podróżach, jedzeniu. Pamiętam dokładnie, jak opowiadała o zupie szparagowej, jej wszystkich składnikach, o tym, że jak na końcu do garnka doda się podsmażoną na maśle czerwoną cebulę, to jest pyszna. Trzymałem ją za rękę, słuchałem i nie pamiętam kiedy – usnąłem. Gdy obudziłem się rano, miejsce obok mnie było puste i zimne. Otworzyłem oczy i przestraszyłem się, że to już, że jej nie ma. Wokół łóżka nie było jej ciuchów, ale pozostał zapach, na mnie, na poduszce, delikatny zapach ciała. Poszedłem do kuchni, siedziała tam, z kubkiem i papierosem w ręku.

– Nie chciałam cię budzić – uśmiechnęła się, podeszła do mnie i przytuliła.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Jak spałeś?

– Wyjątkowo dobrze, nic nie pamiętam.

– Masz na imię Arek, kotkę Dite i problemy emocjonalne, przeleciałeś mnie wczoraj – wyjaśniła.

– Dlaczego mam problemy emocjonalne? – rozbawiony podjąłem grę.

– Ponieważ uwiodłeś pacjentkę swojej terapeutki.

– To ja się leczę?

– Leczysz, ale robisz to z nudów, ponieważ jesteś rozpieszczonym i bogatym dzieckiem swoich rodziców, którzy niestety umarli, ale zostawili ci pokaźny spadek.

– A ty kim jesteś?

– Przywidzeniem, rozmawiasz wciąż ze sobą – podeszła bliżej i pocałowała w policzek.

Poszedłem umyć zęby i opłukać twarz, a gdy wróciłem, Justa

była już ubrana.

– Zrobię śniadanie – zaproponowałem.

– Dziękuję, kawa mi wystarczy, zrób sobie, muszę iść.

– Dokąd? – zapytałem zbyt szybko, zbyt głośno.

– Ha! Do siebie, miły, daj mi swój numer.

Podaliśmy, a ona zapisała w komórce.

– A twój?

– Zadzwoń.

– Jak to?

– Wystukam numer, a ty odbierz – uśmiechnęła się. – Nie bój się, zadzwonię.

– Dobrze.

– Odprowadź mnie teraz – chwyciła mnie za rękę i podeszliśmy do drzwi, dała mi buzi, szybkie buzi w usta.

– Do zobaczenia – powiedziałem, spojrzała na mnie i wyszła.

Włączyłem *Pure Pleasure Seeker* Moloko i śpiewałem na całe gardło „*Show me your trick I wanna go deeper*”. Dita była bardzo zdegustowana, co wyrażała spojrzeniem i ucieczką, gdy chciałem ją pogłaskać.

– Tatuś się zakochał, Dituś – wykrzyczałem jej.

Zjadłem śniadanie, myślałem cały czas o Juście, o jej chudym ciele, pięknych piersiach, o czarnych, gęstych włosach, o języku. Miałem ochotę zadzwonić i prosić ją o rękę, chociaż wciąż nie znałem jej nazwiska. Nie rozumiałem, dlaczego nie podała mi swojego numeru. Pomyślałem, że może nie zadzwoni, ale przecież powiedziała, że bym się nie bał, a to są słowa, które się bardzo dobrze słyszy.

9

Wszedłem do redakcji pełen uśmiechu.

– Cześć, Magu! – rzuciłem. – Co słyhać?

Podniosła wzrok znad monitora, zmarszczyła czoło i odparła, że cześć i że nic nie słyhać. To nic, że nic. Ukłoniłem się jej, na co odwróciła wzrok. Siadłem do biurka i zadzwoniłem do Siostry.

– Cześć, kochanie.

– Arek!

– Co słyhać?

– Wyjaśniam właśnie mojemu dziecku, dlaczego nie jest dobrze bić kolegów.

– I dlaczego nie jest dobrze?

– Bo mamusia jest potem wzywana do szkoły.

– Muszę ci coś powiedzieć...

– Kobieta?

– Kobieta! Justa, wspaniała.

– Zrobiłeś to dzisiaj.

– Wczoraj! Nie o to chodzi, to jest naprawdę to.

– Cieszę się, ale uważaj na siebie, co? Już zapomniałeś, że trzeba było cię zbierać po Agnieszce.

– Z Agnieszką po sześciu tygodniach nie zaszedłem nawet do połowy tam, gdzie jestem po jednej randce z Justą.

– Opowiadaj.

– Wysoka, czarne włosy, odważna i mówi, co myśli. Spędziliśmy wczoraj cały wieczór, kolacja, wino, spacer, potem noc, poranek.

– Cudownie, kiedy ją poznam?

– Jak ja ją poznam.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Na Facebooku dołączyłem do grupy „Rzeczywistość jest fikcją literacką” i zabrałem się za pisanie artykułu. Co kilka chwil sprawdzałem telefon, ale nie było żadnej wiadomości od Justy. Wróciłem do domu, nie planując nic na wieczór, z nadzieją, że Justa się odezwie. Pożaliłem się Gosi, że nie dzwoni, ona wyraziła swój podziw dla Justy, że nie dała mi numeru, i stwierdziła, że musi ją poznać. Michał uznał, że to podejrzane i nigdy nie było tak, żeby mu laska numeru nie dała, że mu to śmierdzi i lepiej, żebym sobie odpuścił. Zapytałem, jak z Marią, powiedział, że bardzo dobrze, ale że za długo się kąpie. To znaczy, że zaczyna się proces odchodzenia, za kilka tygodni się rozstaną. Poprzednia jego dziewczyna za głośno się śmiała, jeszcze innej pociła się górna warga. Zawsze znajdował powód, by odejść. Siostra zaniepokoiła się tym, że Justa bierze jakieś leki, wypytywała mnie dlaczego, ale nie potrafiłem powtórzyć, powiedziałem jej, że to nic takiego, że przecież ja też jestem w trakcie terapii, a jestem zupełnie normalny. Siostra nie skomentowała tego wcale. Gdy Justa nie zadzwoniła przez cały wieczór, zrobiło mi się smutno, ale nadzieja była zdecydowanie większa, w końcu powiedziała, że zadzwoni. Czekałem do północy, ale nie stało się nic. Przed snem pomyślałem, że ten początek to koniec i przestraszony usnąłem. Obudził mnie telefon.

– Puk, puk.

– Justa?

- Justa!
- Która jest godzina? – Wokół mnie było zupełnie ciemno.
- Poczekaj... siedemnaście po czwartej, obudziłam cię, tak?
- Tak.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi, co się stało?
- Nic, głodna jestem i jadę do ciebie.
- Jedziesz do mnie?
- Tak, dzwonię z taksówki, nakarmisz mnie?
- Nakarmię? Tak, nakarmię.

Chwilę leżałem bez ruchu, z otwartymi oczami. Powtórzyłem sobie w myślach przebieg rozmowy, uśmiechnąłem się do siebie i pośpiesznie poszedłem do łazienki. Jedzie do mnie Justa, jest środek nocy. Obok przeciąga się Dita. Otworzyłem lodówkę, by stwierdzić, że nie mam czym nakarmić Justy.

Gdy otworzyłem drzwi, stała w progu, podała mi białego tulipana, podziękowałem, po czym pocałowała mnie bardzo namiętnie. A ja się ucieszyłem, że umyłem wcześniej zęby.

- Myślałeś o mnie? – zapytała.
- Cały czas.
- Ha! To dobrze, lubisz tulipany?
- Nie wiem, lubię, pewnie, że lubię. Na co masz ochotę, mam w sumie tylko pomidory...
- Na ciebie. – Podeszła do mnie i powiedziała, żebym ją wziął na rękę. Zaniósłem ją na łóżko. – Nie zapalaj światła – poprosiła. Rozbierałem ją bardzo powoli, kochaliśmy się. Cały czas czułem jej zapach, jakby korzenny, a potem usnęła, trzymając mnie za rękę. Patrzyłem na nią, gdy przychodził sen. Nierealny.

Wstaliśmy późno, bardzo późno, tym razem – razem. To zawsze najtrudniejszy moment: obudzić się obok kogoś. Gdy rozmawialiśmy, patrzyłem w sufit, tak by nie oddychać w jej stronę, bo czułem się zabrudzony nocą. Przecierałem oczy tak, by nie widziała. Jak byłem mały, Siostra powiedziała mi, że to, co rano zbiera się w kącikach oczu, to resztki snów i że trzeba je wymieść, żeby było miejsce na nowe sny. Justa leżała obok, rozmawialiśmy, nie przejmowała się, jej ruchy były swobodne, patrzyła na mnie, oddychała na mnie i wcale mi to nie przeszkadzało. Chciałem ją całą.

W pewnym momencie podniosła się, przeszła przeze mnie, siadła mi na brzuchu, dała szybkie buzi w usta i powiedziała, że idzie zrobić kawę. Uśmiechnąłem się, wstałem i poszedłem wziąć prysznic.

Gdy wróciłem, Justa piła kawę i oznajmiła, że jedzie odwiedzić ojca. Spytałem, czy chce, bym z nią pojechał, ale powiedziała, że nie, że dziękuje. Dodała, że mam jej numer, więc wszyscy mamy wszystko. Poszła się umyć, po powrocie wtuliła się we mnie, powąchałem jej szyję i pogładziłem po plecach. Odsunęła się i pocałowała mnie. Na propozycję śniadania odpowiedziała, że śniadania jada na obiad.

- Kiedy się zobaczymy? – spytałem.
- Jak najszybciej. Gdy tylko zechcemy.
- Chcę już.
- Jestem przecież – uśmiechnęła się i wyszła.

Zamknąłem drzwi, długo stałem oparty o framugę, uśmiechnięty, zaczarowany. Po chwili poczułem lekkie ukłucie bólu w brzuchu. Niepokój pojawił się, gdy dotarło do mnie, że nie mam wpływu na to, co się dzieje pomiędzy nami. Zarazem to, co się dzieje, zakochuje

mnie. Włożyłem lniane spodnie i koszulę, chciałem wyglądać ładnie. Wszedłem kupić coś do jedzenia oraz solniczkę i pieprzniczkę, wszystko do nabycia w samie obok. Przy regale z serami słyszałem, jak jedna kobieta mówi do drugiej:

– Wszyscy mi mówią, że mi zazdroszczą, że tak mi dobrze w życiu, że tyle szczęście mnie spotkało, a wcale tak nie jest.

– Wiem, wiem – odpowiedziała jej ta druga – ja się śmieję, bo się śmieję, ale to wcale nie jest śmieszne.

Kupiłem ser, warzywa i szklane opakowania na przyprawy. Większość osób w sklepie to kobiety mające więcej niż 40 lat. Obserwują równie uważnie towary na półkach, co ludzie. Przychodzą tu regularnie, jak ja, wiedzą już, gdzie co znaleźć, więc stojąc w kolejce lub mijając się pomiędzy regałami, patrzą na siebie nawzajem, mierząc od góry do dołu, oceniając, podziwiając i odrzucając.

Wysłałem esemesa do Justy, że myślę o niej i zapytałem, co słyszczać. Wolałem postawić znak zapytania. Wczoraj opowiadała mi, że lubi się przytulać, ale czasami boi się być pochłonięta przez dotyk i dodała, że z dzieciństwa dotyku nie pamięta wcale, że pojawiał się bardzo rzadko, w sumie tylko wtedy, gdy była bita. Myślałem o tym, bo czułem, że chcę ją pochłonać. Wiem, że spotykamy się po to, by dać i zabrać, ale strasznie mnie męczyło, że za każdym razem trzeba tę granicę wyznaczać na nowo. Pomimo siedmiu lat z Magdą, kilku tygodni z Agnieszką, pomimo terapii czułem, że każdy krok, który stawiam w miłości, jest pełen obaw. Wyobrażałem sobie, że rozmawiam o tym z Justą, mówię jej, że chcę, by nam się udało i że będę się starał, i żeby nie uciekała, ona mnie pyta, co to znaczy i ja jej odpowiadam.

– Po prostu nie uciekaj.

- Nie uciekać? – zapytała mnie kasjerka.
- Nie, nic, przepraszam.
- Ale chciałabym, wie pan – uśmiechnęła się, przesuając automatycznie produkty po blacie z czytnikiem
- Chciałaby pani?
- Uciec, siedzę czwartą godzinę.
- Aaaa, to proszę to zrobić.
- Pan mi to powiedział.
- Mówiłem do siebie, w sumie.
- Mówi pan do siebie?
- Nie, nie mówię.

A ona zerknęła porozumiewawczo na kobietę, która stała za mną. Wymieniły uśmiechnięte spojrzenia. Z nadzieją, że się nie czerwienię, zacząłem udawać, że szukam czegoś w portfelu i robić bardzo poważną, wręcz dostojną minę, którą chciałem zasygnalizować, że wszystko ze mną w porządku.

Wróciłem do domu, sprawdziłem telefon, może coś się zacięło, włączyłem go i wyłączyłem, ale nie dostałem odpowiedzi. Chciałem zadzwonić, ale powstrzymałem się. Karmiąc Dite, pokazałem jej nową solniczkę i poprosiłem, żeby jej nie stłukła. W odpowiedzi kotka moja niedbale mruknęła, następnie postanowiła na moich oczach się podmyć. Justa w końcu odpisała, że jest u taty, że zadzwoni wieczorem, bo musi jeszcze nad czymś popracować i że posyła całusa. Ucieszyłem się, włączyłem muzykę. Czuję, że żyję, bo jestem zakochany.

10

Zadzwoił Michał z pytaniem, czy wpadnę na kawę, bo chce pogadać, bo strasznie dawno się nie widzieliśmy, co nie jest prawdą, ale Michał nieczęsto chce rozmawiać. Uznałem, że to może być ważne, więc powiedziałem mu, że w sumie nic nie robię, piszę jakiś tekst i czekam na telefon od Justy, na co on, że telefon przecież mogę wziąć ze sobą i że siedzi w garażu u siebie. Michał od wielu lat naprawia swój motocykl, którym zazwyczaj nie jeździ, bo to stary motocykl i często się psuje. Kiedy go zapytałem, dlaczego go nie sprzeda i nie kupi sobie czegoś nowego, powiedział, że to wyjątkowy sprzęt, bo jeździł nim ze swoją Miłością, poza tym lubi w wolny dzień przy nim grzebać. Wielu facetów ma samochód lub motocykl po to, by go naprawiać lub myć. To niezwykle kojące, gdy nie ma do stoczenia żadnej wojny ani syna do zrugania. Motocykl Michałowi bardzo się przydaje. Czasami spotykamy się u niego w garażu, tak jak teraz. Wyszedł wysmarowany olejem na rękach, powiedział, że nie ma kawy, ale piwo i czy chcę. Chciałem.

Przyniósł cztery puszki, usiedliśmy na murku.

- Nie wiem, co będzie z Marią – zaczął.
- A co się dzieje?
- No nic właśnie, wszystko niby jest dobrze, ale nie chce mi się.
- Czego?

– Rozmawiać z nią, ustalać, planować, seks jest cudowny, a poza tym czuję się zatrzymany, powiedziałem jej dzisiaj, że musimy na chwilę przystopować.

– Jeśli tego potrzebujesz...

– Widzisz, nie wiem czego potrzebuję, a czuję się coraz bardziej zmęczony – na chwilę zawiesił głos. – Coś wali w silniku – wskazał na motocykl. – Rozbiorę go całego, wyczyszczę i zobaczę.

– Pamiętasz, jak mi go dała?

– Wszyscy ci zazdrościliśmy.

– No – uśmiechnął się, po czym spuścił głowę.

Miałem ochotę go dotknąć, ale Michała się nie dotyka, szybko klepnałem go w plecy, pokiwał głową, zapytał, czy chce jeszcze piwa.

Gdy wróciłem do domu, Dita czekała przy drzwiach, miauknęła i ocierała się o nogi. Chciałem ją pogłaskać, niestety, uciekła do kuchni. Zadzwoiłem do Justy, ale nie odebrała. Czekałem na sygnał od niej, coś, cokolwiek. W Internecie przez dwie godziny czytałem listy pisane przez synów do ojców, taka akcja ogólnonarodowa. Pomyślałem o moim tacie, gdzie jest i kim jest. Zadzwoiłem do Siostry.

– Masz teczkę z papierami matki? – zapytałem.

– Jaką teczkę?

– Tę ze wszystkimi aktami, papierami.

– O domu?

– O domu, o ojcu.

I cisza. Siostra po śmierci mamy zamieszkała w domu, który wspólnie odziedziczyliśmy. Tak się umówiliśmy, dom był dla mnie za duży, poza tym lubiłem swoje mieszkanie. Wszystkie dokumenty, papiery trzymała Siostra, wydawało mi się to

bezpieczniejsze i wygodniejsze.

– Po co? – zapytała powoli.

– Nie wiem jeszcze, siedzę i myślę o nim.

– To przez tę twoją terapię – raczej stwierdziła, niż spytała.

– Też, ale nie tylko, sam nie wiem, zastanawiam się, dlaczego nie mamy z nim żadnego kontaktu.

– Bo nas porzucił, Arku! – powiedziała podniesionym głosem. – Bo wybrał inne życie, założył rodzinę, tyle wiem co ty, nie pojawił się nawet na pogrzebie matki, tylko wysłał kartkę.

– Masz tę kartkę?

– Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje, chcę się w końcu dowiedzieć, kto jest moim tatą.

– Eugeniusz Kic.

– Poszukasz tej teczki?

– To nie ma sensu, Arku.

– Poszukasz?

– Poszukam, kurwa, poszukam!

Oddzwoniła po kilkunastu minutach i podała mi adres taty sprzed szesnastu lat. Mieszkał w Jemotani, małej miejscowości nad morzem. Siostra uznała za stosowne podzielić się refleksją, że poszukiwanie ojca uważa za zupełnie bezsensowne i że bym sobie odpuścił, chyba że chcę mu dać w mordę. Powiedziałem, że nie biję ludzi, ona na to, że wie, ale uważa, że niektórych trzeba czasami walnąć. Opowiedziała mi, że jak wczoraj wysiadała z pociągu, jakiś młody chłopak zapytał, czy pomóc jej z walizką. Odparła rozpromieniona, że nie, bo jest lekka, a on na to: „No, tylko żeby mi pani tu nie poroniła”. Uśmiechnęła się zdawkowo i poszła, ale chciała dać mu w twarz. Nie zrobiła tego, ponieważ była w szoku

i mimo wszystko jest kulturalną osobą. Zapewniłem ją, że wcale nie jest gruba, na co usłyszałem, że kłamstwa nienawidzi.

Pomyślałem o Dicie, że nie mógłbym jej porzucić. Może gdybym umierał albo był tak biedny, że nie stać by mnie było na pokarm dla niej i siebie. Jeśli właściciel psa umiera w samotności, pies siedzi obok ciała swojego pana, aż sam umrze z głodu. W tej samej sytuacji kot zacznie z głodu posilać się człowiekiem. Zachowanie kota wydaje mi się i rozsądniejsze, i bardziej ludzkie. Wystarczy pomyśleć o tych, którzy przeżyli katastrofę samolotu i znaleźli się na jakimś odludziu. Koniec końców ludzie zjadają siebie nawzajem. Powiedziałem do Dity, że gdyby tak się stało, to mam w sobie zgodę na to, by mnie zjadła. Jestem prawie pewien, że dostrzegłem drwinę w jej oczach. Zacząłem się zastanawiać nad powodami, dla których tato opuścił nas, swoją rodzinę. Musiał mieć powód. Nie opuszcza się przecież ot tak kota, tym bardziej syna. Chociaż moja babka zwykła mówić, że mężczyzna to gatunek gorzej poczęty. Spytałem, co to znaczy, a ona odparła, że kiedyś zrozumie, bo jestem z tej samej gliny. Mój dziadek umarł wcześniej, nigdy go nie poznałem, babka była przekonana, że zrobił to specjalnie, że umarł na złość jej. Myślę, że może po prostu nie mógł wytrzymać. W Internecie znalazłem trzech Kiców w Jemotani: Joanna Kic, fryzjerka, zakład pogrzebowy „Kic i synowie” oraz Waldemar Kic, prawnik. Muszę sprawdzić w zwykłej książce telefonicznej, czy jeszcze gdzieś pojawia się nazwisko Kic, i zadzwonić.

Zrobiłem na kolację jajka sadzone, do tego ogórki i chleb z masłem. Zadzwoniła Justa.

- Dobry wieczór – powiedziała.
- Witaj – ja na to ucieszony.
- Byłam u ojca, nie rozpoznał mnie, myślał, że jestem

pielęgniarką, potem poszłam ze znajomą na zakupy, kupiłam sobie cudowną bluzkę, spódnicę i kilka dupereli.

– Dupereli?

– Jakies kosmetyki, gazety, co słycać?

– Myślę o ojcu – powiedziałem – chcę go odwiedzić.

– Doskonale, pojedę z tobą! – Zareagowała energicznie i natychmiast się ucieszyłem.

– Nie wiem, czy chcę jechać, myślałem, żeby zadzwonić, porozmawiać tak po prostu.

– Ile się nie widzieliście?

– Od kiedy skończyłem cztery lata – odparłem, chociaż już wcześniej podałem jej tę informację.

Rozmawialiśmy chwilę o ojcach, powiedziałem jej o tym, że kot by mnie zjadł, gdybym umarł. Stwierdziła, że to bardzo praktyczne, zrobiła swoje Ha i dodała, że wyprosiłaby u Dity jakąś część mnie na podwieczorek.

– Mów do mnie „usta, usta” – powiedziała pod koniec rozmowy.

– Jest taki teatr – informuję ją, bo kiedyś byłem na ich sztuce.

– Teatr?

– Usta, usta.

– Tak, miły?

– Tak nazywa się teatr. Usta, usta.

– Ja się tak nazywam. Do mnie tak mów – ona na to.

– Usta, usta!

– Ha!

Powiedziała, że jest śpiąca, ale żebym jutro gdzieś ją zabrał i mam nie zdradzać gdzie, ale nie kino, teatr, restauracja i takie tam, zastrzegła. Coś wymyślisz – dodała. Coś wymyślę, obiecałem.

11

Dziś w pracy panowało wielkie zamieszanie, miał nas odwiedzić premier. Prawdziwi Dziennikarze konkurowali o to, kto przeprowadzi z nim wywiad, zbliżały się wybory samorządowe. Zamierzałem przeszukać sieć i archiwum, by znaleźć wszelkie informacje o Kicach w Pomorskim, dlatego ten harmider bardzo mi nie pasował. Znalazłem jeszcze jednych Kiców, gdy Naczelna, zwana przez wszystkich Krzakiem, zwołała zebranie. Długo opowiadała o wizycie premiera, odpytała Prawdziwych Dziennikarzy z zagadnień, które chcą poruszyć, i zakazała im wyrażania własnych poglądów politycznych.

– Jako dziennikarz nie mam poglądów politycznych, chcę zachować zupełny obiektywizm – ktoś zażartował.

Naczelna się zamyśliła, potraktowała zdanie poważnie i zapewniła, że rozumie, bo ona również tak naprawdę nie ma poglądów politycznych. Rozejrzałem się po sali i natrafiłem na kilka par zdziwionych oczu, rozbawionych lub zawstydzonych przełożoną. Zdecydowana większość ze zrozumieniem kiwała głową. Krzak przedstawiała właśnie nowego pracownika z działu technicznego, od tygodnia pracującego nad programem, który ma ułatwić wyszukiwanie informacji.

– Proszę Państwa, oto Łukasz, właśnie kończy dziennikarstwo

i informatykę, nasz nowy redakcyjny kolega. Jeśli się sprawdzi, zabawi tutaj na dłużej, wszak nic nie wiadomo – rozbawiona Krzak wskazała na Łukasza, który uklonił się speszony.

– Panie Łukaszu, opowie nam pan o projekcie? – zapytała Krzak.

– Tak. – Nowy coraz bardziej czerwienił się na twarzy.

Zapanowało milczenie, wszyscy patrzyli na Łukasza, który niewyraźnie się uśmiechał.

– Zatem proszę mówić, proszę bardzo – zachęcała rozpromieniona Krzak.

– Ach, teraz. To bardzo ciekawy projekt, ułatwi wyszukiwanie informacji, jak pani powiedziała.

Wszyscy dziennikarze patrzyli na Łukasza, który najwyraźniej skończył wypowiedź. Naczelną z lekko otwartą buzią zamarła.

– Pan jest informatykiem, tak? – ratowała sytuację Magu.

– Tak – odrzekł Łukasz przepraszająco.

– Tak myślałam – dodała Magu – to może prześle nam pan informacje mejlem?

– O, to tak, tak chętnie, tak – pośpiesznie zadeklarował Łukasz i rozpoczął oglądanie swoich butów.

Krzak stwierdziła, że to dobry pomysł, i zaczęła opowiadać o planach na najbliższy tydzień, które kompletnie mnie nie interesowały. Otworzyłem laptopa i powróciłem do poszukiwania informacji o swojej rodzinie.

– Byłam kiedyś z informatykiem – siedząca obok mnie Magu szeptała na ucho swojej koleżance.

– I co? – dopytała tamta.

– Tragedia, największy problem miał z mówieniem właśnie, więc rozumiesz, nie?

– No.

Zapisałem w komórce cztery numery telefonów do Kiców.

– Jednak coś mnie w nich pociąga – to dalej Magu.

– Co?

– Nie kręci się, wiesz, po domu jak inni, siedzi za monitorem, mało przeszkadza, można ustawić w sumie...

– No, ale mało mówi – przerwała jej koleżanka.

– Właśnie – zamyśliła się Magu i zaczęła gryźć długopis, patrząc na Łukasza – za mało.

– No – przytaknęła jej koleżanka i skończyły dyskusję.

Powróciłem do rozmyślań o swojej zagubionej rodzinie i stwierdziłem, że jak znajdę się w domu, zadzwonię pod wszystkie numery, do wszystkich Kiców. Na tę myśl poczułem ukłucie w brzuchu, dokładnie takie jak podczas podróży samochodem, gdy nagle zjeżdża się ze stromej górki. Zebranie cały czas trwało, odpisałem na mejla Siostry, kątem oka widziałem Magu, która grała w sapera na laptopie. Co chwilę każdy z nas podnosił głowę, patrzył mądrym wzrokiem na Krzak i kiwał głową.

12

W czasie studiów spędziłem wiele wieczorów i nocy pod mostem Królowej Elżbiety. Spotykałem się tam ze znajomymi, przyjaciółmi, głównie z Gosią i Michałem. Miejsce otoczone było wysokimi trzcinami, za dnia przechadzały się tędy psy ze swoimi właścicielami, wieczorami nie pojawiał się nikt. Mieliśmy zwyczaj w każdy piątek siadać nad rzeką, pod mostem, dobiegał do nas szmer samochodów i tramwaj, które pędziły nad nami. Rozmawialiśmy, graliśmy w karty, piliśmy wino, czytaliśmy książki albo paliliśmy skręty. Pamiętam, jak kiedyś Gosia opowiadała nam o swoim wujku.

– Czy to dobrze, jeśli dorosły facet trzyma na telewizorze kolekcję opakowań? Po prezerwatywach?

– To się chwali – zażartował Michał.

– Nic nie wygląda dobrze na telewizorze, no chyba że biała serwetka – dodałem.

– Jak w dzieciństwie mówił mi „smacznego”, to jedzenie nie mogło mi przejść przez gardło. Miał wąsy. A na tych wąsach mnóstwo żarcia.

– Obrzydliwe – stwierdziłem.

– I on zawsze coś mówił. Na przykład, że mam zjeść dwie bułki, jak byłem już po śniadaniu – ciągnęła Gosia z taką powagą, że

straciłem ochoty na żarty.

– Zrobił ci coś? – zapytał Michał.

– Niby nie, ale pamiętam, że mnie kąpał. Inaczej niż mama i tata. Jak rodzice wychodzili na wieczór, zawsze on przychodził. Gdy mnie kąpał, to zawsze sam mnie rozbierał. Całą. Mył mnie wszędzie gąbką. I ręką. I patrzył tak, że teraz, jak o tym myślę, to chce mi się rzygać. Niby nic nie zrobił, ale czuję się zgwałcona.

– Żyje jeszcze? – zapytałem.

– Żyje. Byłam na jego urodzinach.

– Gnój! – Stwierdził Michał.

Ustaliliśmy, że trzeba go ukarać. Wymyśliliśmy z Michałem, że wyślemy mu kupę. Gosia początkowo bardzo się wzbraniała, ale Michał przekonał ją do pomysłu stwierdzeniem, że taka akcja na całe życie przebije historię z reklamówką pełną „śliwek”.

W następnym tygodniu, gdy umówiliśmy się pod mostem, przyniosłem styropianowy kartonik, Michał papier ozdobny, a Gosia własną kupę. Starannie opakowaliśmy prezent i poszliśmy na pocztę. Pamiętam poczucie wolności, szczęścia, czułem się jak ochroniarz gwiazdy filmowej, którą była Gosia. Kupę wysłaliśmy. Priorytetem. Nadawcą był Zygmunt Wrojd. Wróciliśmy nad rzekę. Gosia powiedziała nam, że już wie, jak to jest mieć przyjaciół. Wypiliśmy trzy nalewki i postanowiliśmy wykąpać się w rzece. Kiedyś było to normalne, ludzie przychodzili nad rzekę i się kąpali. Od tamtych czasów minęły lata, a miejska rzeka zaczęła przypominać ściek. Mimo wszystko weszliśmy nago do wody, pływaliliśmy. Rozciąłem sobie stopę, Michał też.

– Wiesz, bawią mnie takie historie – powiedziała Gosia, patrząc na nasze rany.

– Wiem – odparłem.

Nigdy nie czuliśmy się bliżej. Usiedliśmy na kurtkach i nakryliśmy się płaszczem Gosi, zmarznięci, szczęśliwi. Skończyliśmy nalewkę. Przestaliśmy rozmawiać, bo nie było już nic do powiedzenia albo nie było odpowiednich słów. Wiedzieliśmy, że wszystko ma sens, że to, co chcemy, będzie nasze. Przytuleni, pijani patrzyliśmy na rzekę. W pewnym momencie zaczęliśmy się całować. Nie wiem, kto zrobił pierwszy krok, ale pamiętam, że były to bardzo nieśpieszne pocałunki, głębokie. Czasami jest tak blisko, że przekroczenie wszelkich granic wydaje się bezpieczne. Wtedy robi się rzeczy najgłupsze. I najprzyjemniejsze. Nie rozmawialiśmy o tym wieczorze nigdy. To był ostatni raz, gdy we troje byliśmy w naszym miejscu pod mostem. Myślę, że zwyczajnie nie chcieliśmy ponownie dać się skusić. Na kąpiel w rzece.

Pomyślałem, że zabiorę tam Justę na randkę niespodziankę. Wyszedłem z domu po butelkę wina, oliwki, ser. Będzie piknik. Po powrocie zastałem Ditę nad resztką rolki papieru toaletowego. To jej ulubiona zabawa. Zapomniałem zamknąć drzwi od łazienki. Papier w bardzo drobnych kawałkach zaścielał podłogę całego mieszkania. Dita się uśmiechała. Posprzątałem, zrobiłem sobie kawę i kanapki. Chleb nie nudzi się nigdy, tylko dodatki do niego. Usiadłem na fotelu, trzymając w ręku telefon, Dita, wyraźnie zmęczona, zasnęła mi na kolanach. Trzymałem przed sobą kartkę z numerami telefonów do Kiców. Gdzieś tam jest mój tato, a ja go znajdę. Wykręciłem numer do salonu fryzjerskiego „Joanna Kic”.

- Salon fryzjerski Agawa, słucham.
- Dzień dobry – powiedziałem lekko zdenerwowany.
- Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – Kobieta miała przyjemny głos, co uznałem za dobry znak.
- Dzwonię, ponieważ szukam kogoś – zacząłem niepewnie.

– Aha, ale to salon fryzjerski, wie pan?

– Tak, wiem, wiem – powiedziałem pośpiesznie – chodzi o mojego tatę, Eugeniusza Kica.

– ...

– Jest tam pani?

– Tak, Kic to moje nazwisko, ale imienia nie kojarzę, pana tato był umówiony?

– Na co?

– Na strzyżenie.

– A nie wiem, to on musi się umawiać?

– Każdy musi się umawiać, chociaż w tygodniu mamy mniejszy ruch, można przyjść, ale zawsze lepiej się umówić.

– Chodzi o to, że ja szukam taty, a nie widziałem go od lat, myślałem, że może to pani mąż?

– Och, pan go nie zna? Mój mąż umarł pięć lat temu, ale na imię miał Julian.

– Czyli nie Eugeniusz? – Dopytałem inteligentnie.

– Julian, nie Eugeniusz.

– A przypadkiem nie zmieniał imienia?

– To jakiś żart?

– Nie, nie, naprawdę szukam taty.

– Bardzo mi przykro, synu, nie znam Eugeniusza Kica.

Rozmawialiśmy dłuższą chwilę o Kicach. Poszukiwaliśmy wspólnych znajomych, opowiedzieliśmy sobie skrócone wersje swoich rodzin i nie znaleźliśmy nikogo, kto byłby wspólny dla mnie i pani Joanny. Otrzymałem od pani Kic zaproszenie na darmowe strzyżenie, gdy będę w okolicy. Zachęciło mnie to do wykonania kolejnego telefonu, bo chociaż nie zrealizowałem celu, samo poszukiwanie okazało się przyjemne. To tak, jak z sensem

pomyślałem, poszukiwanie bywa ciekawsze od znalezienia.

Postanowiłem zadzwonić do zakładu pogrzebowego.

– Zakład pogrzebowy Kic i synowie – odezwał się męski głos.

– Dzień dobry, dzwonię w dosyć nietypowej sprawie, poszukuję Eugeniusza Kica.

– Taty nie ma – powiedział mężczyzna.

– Skąd pan wie?! – krzyknąłem i podniosłem się z fotela, a wystraszona Dita wbiła się pazurami w moje uda, przez chwilę tak pozostała, po czym zeskoczyła. Krzyknąłem „auuuuu” i rzuciłem słuchawką, po którą szybko sięgnąłem ponownie.

– Halo, halo? – słyszałem głos męczyzny.

– Nie żyje? – zapytałem.

– Kto? – odpowiedział spokojnym pytaniem.

– Tato.

– Bardzo mi przykro – powiedział mężczyzna.

– Nie, nie mój tato – musiałem wyjaśnić – pański tato.

– Mój tato? – Mężczyzna był wyraźnie zdziwiony.

– Pański tato – potwierdziłem.

– Mój tato jest w sklepie, żyje, kim pan jest?

– Szukam Eugeniusza Kica.

– Tato, jak mówiłem, jest w sklepie, będzie za dziesięć minut, czy coś się stało?

– Nie, chciałem zaproponować pogrzeb, ale to chyba nieaktualne – dodałem pośpiesznie i rozłączyłem się.

Zatem jest. Żyje. Mój tato prowadzi zakład pogrzebowy z synem, z synami – w myśl nazwy zakładu. Nie spodziewałem się, że będę rozmawiał ze swoim bratem. Nie wiedziałem, co zrobić. Poszedłem na balkon z papierosem. Dita nerwowo poruszała ogonem i myślała się w kącie pokoju, obrażona. Nie zadzwoniłem już do zakładu

pogrzebowego. Zacząłem się zastanawiać, ile lat ma mój brat. Sądząc z głosu, więcej niż dwadzieścia, mniej niż czterdzieści. Może rówieśnik. W sumie ucieszyłem się, że nie odebrał mój tato. Gdyby rozmowa wyglądała podobnie, może uznałby, że jego syn jest idiotą. Muszę to przemyśleć i lepiej rozegrać. W głowie wracało do mnie zdanie „chciałem zaproponować pogrzeb” i kompletnie nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób powstało. Niewykluczone, że mój brat był przyzwyczajony do dziwnych telefonów. Ludzie, którzy dzwonią do zakładu pogrzebowego, bywają przecież w szoku. Nie mogłem się uspokoić, wstawiłem wodę na herbatę i poszedłem się kąpać. Gdy wróciłem, wody w czajniku już nie było.

Uznałem, że jestem gotowy na wieczorną randkę. Zaproponowałem, że przyjdę po Justę, ale odparła, że ma ogromny bałagan i że spotkamy się na mieście. Bardzo chciałem zobaczyć, gdzie i jak mieszka, ale nie odważyłem się jej tego powiedzieć. Zapakowałem sery, wino, oliwki i winogrona do plecaka i poszedłem na spotkanie. Czekala już pod Pręgierzem, podbiegła do mnie, pocałowała i dała drewnianą głowę konia na patyku. Powiedziała, że kupiła na targu, żeby łatwiej mi było ją zabrać tam, gdzie mam ją zabrać.

– Wiesz, na co mam ochotę? – zapytała.

– Nie wiem – naprawdę nie miałem pojęcia.

– Żeby nagle wbiegło tutaj stado mustangów, żeby otoczyły nas kręgiem, a my kochalibyśmy się oparci o Pręgierz.

– Oooo – powiedziałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

Chwyła mnie za rękę i ponownie pocałowała. Usłyszałem, że ma nadzieję, że tam, gdzie idziemy, będziemy mogli się kochać. Potwierdziłem. Pomyślałem, że Magdzie nigdy nie przyszedłby do głowy nawet jeden mustang biegający wokół Pręgierza. Mnie zresztą również. Miałem niekontrolowaną erekcję, od samych

myśli. Jak w liceum.

Dotarliśmy pod most. Justa, zachwycona, zwiedziła wszelkie zakamarki, klasnęła w ręce i powiedziała, że to idealne miejsce na teraz. Stanęliśmy naprzeciwko siebie, Justa oparta o mur, całowaliśmy się, dotykaliśmy. Kochaliśmy się na stojąco, w ubraniu, nie miałem w głowie nic poza tym momentem. Justa głośno oddychała mi do ucha, otwartymi ustami. Idealnie. Usiedliśmy obok siebie, dotykając się ramionami, otworzyłem wino i oliwki. Opowiedziałem jej o tym, jak znalazłem tatę. Poradziła, żebym nie dzwonił tam już więcej, a po prostu pojechał z wizytą, bo uczucia najlepiej sprawdzać na żywo. Dodała, że uwielbia takie sytuacje i pojedzie ze mną. Przytuliłem ją mocniej, popatrzyła na mnie.

– Co, miły? – zapytała.

– Jestem szczęśliwy.

Pocałowała mnie w usta, chociaż chciałem powiedzieć więcej: że jestem zakochany, bo byłem zakochany. Czasami całuje się po to, by nie rozmawiać. I nie wydaje mi się to złym pomysłem.

Wypiliśmy wino, rozmawialiśmy o seksie i dotyku. Po raz pierwszy tak otwarcie i bezpośrednio.

– Co lubisz? – zapytała.

– Szyję i plecy, tam nad pupą.

– Tutaj? – Przejechała ręką wzdłuż pleców, pośladków.

– Tutaj – potwierdziłem. – A ty?

– Lubię czasami czuć się przyciśnięta całym ciałem, albo leżeć na boku, facet za mną, wiesz, na łyżeczkę, on mnie mocno trzyma, przytula, kochamy się.

– On? – zdziwiłem się.

– Ty! – poprawiła się uśmiechnięta.

– Musimy spróbować.

– Ha! – Zaśmiała się. – Nie inaczej. Szyja i plecy to bezpieczne, co jeszcze lubisz?

– Tak jak było teraz, było idealnie, ale lubię czasami, gdy kobieta siedzi na mnie – mówienie o tym zawstydzalo mnie i sprawiało przyjemność, byłem podniecony.

– I? – dopytała.

– I kochamy się, ona pochyła się nade mną tak, że piersiami dotyka mnie po twarzy, całuję je, bawię się nimi.

– Seksowne, potrafię dominować.

– Zauważyłem – zaśmiałem się – lubię też wspólny orgazm, synchronizację.

– Poćwiczymy – położyła mi rękę na spodniach, na moim penisie – to też lubię.

– To?

– Czuć penisa na swoim ciele, niekoniecznie w sobie, ale po prostu czuć go na udzie, na twarzy, w dłoni, w ustach.

Rozmowę przerwaliśmy dotykiem, pocałunkami rozrzuconymi po całym ciele, orgazmem. Czułem się zakochany, totalnie zakochany. Wracaliśmy, trzymając się za ręce, lepkie od oliwek, wina i potu.

– Chodźmy potańczyć – zaproponowała.

– Skąd masz tyle energii? – zapytałem zmęczony i pragnący jedynie wtulić się w nią i usnąć.

– Skąd ty nie masz? – odpowiedziała uśmiechnięta i dodała: – No chodź!

Weszliśmy do Platformy, powiedziała, że bym kupił jej wódkę z sokiem porzeczkowym, sobie wzięłem sok pomarańczowy. Gdy wracałem z napojami, Justa była już na parkiecie, tańczyła energicznie, zmysłowo. Widziałem mężczyzn, którzy przyglądają się

jej, próbują tańczyć dla niej, ale ona, poruszając się rytmicznie, uśmiechała się z przymkniętymi oczami. Leciał właśnie remix *Breathe me*. Podeszedłem do niej od tyłu, wtuliła się we mnie, nie sprawdzając, kim jestem, tańczyliśmy.

– Skąd wiesz, że to ja? – nachyliłem się do jej ucha.

– Nie wiem – odparła, odwróciła się do mnie i pocałowała.

Przytuliłem ją, ale po chwili odsunęła się i dalej tańczyła sama. Zwracała na siebie uwagę innych, ale nie korzystała z niej. Jeśli przyłapała czyjeś spojrzenie na sobie, odpowiadała uśmiechem i szybko zamykała oczy. Tańczyłem chwilę obok niej, co jakiś czas patrzyliśmy na siebie, ale po chwili poczułem się zmęczony, powiedziałem, że idę usiąść, że mam jej drinka, kiwnęła głową i wróciła na parkiet. Poruszała się w zgodzie z muzyką, całym ciałem. Dopilem swój sok, po kilku minutach podeszła do mnie, oddychała szybko, miała mokre od potu włosy, wypila duszkiem drinka i mój sok.

– Nie tańczysz – powiedziała.

– Patrzę na ciebie.

– I jak? – zapytała.

– Piękna!

– Ha! – uśmiechnęła się. – Chodź! – chwyciła mnie za rękę.

– Nie mam siły – zaoponowałem.

– Jeden taniec! – krzyknęła i pociągnęła mnie za sobą.

Tańczyliśmy przez chwilę razem, po czym Justa ponownie przymknęła oczy i sama poruszała się po parkiecie. Wróciłem na krzesło. Po kilkunastu minutach podeszedłem do niej i powiedziałem, że jestem śpiący.

– Dobrze, miły – powiedziała i pocałowała mnie, czułem jej ciepłą, mokrą skórą na policzku – ja zostaję tańczyć.

– Zostajesz? – zapytałem zdziwiony. Był środek nocy i miałem nadzieję na wspólny sen, na wspólny seks.

– Zdecydowanie!

– Dobranoc – powiedziałem zawiedziony.

– Dzień dobry – roześmiała się i wróciła do tańca.

Patrzyłem na nią przez chwilę i wyszedłem rozczarowany.

Mieszały mi się w głowie wspomnienia namiętnych godzin podczas pikniku z bolesną samotnością ostatnich minut. Nie rozumiałem, co się dzieje, ale czułem się jeszcze bardziej zakochany. Zachwycał mnie sposób, w jaki opowiadała o sobie, to, jak mnie dotykała, całowała. Cała była zaskoczeniem. Wykończony wziąłem taksówkę. Zasypiając, miałem przed oczami obraz wirującej Justy.

13

Do pracy wstałem niechętnie i bardzo zmęczony. Dita od piątej rano polowała na muchy, potem na papierki z podłogi, potem na duchy, przebiegła raz przez moją twarz i jestem przekonany, że zrobiła to specjalnie. W pracy zaatakowała mnie Magu.

– O co chodzi z wywiadem z Anną Dymną?

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Dzwoniła już trzy razy do Kica w sprawie wywiadu, za każdym razem bardziej oburzona.

– Nie byłem umówiony – powiedziałem.

– Może nie pamiętasz.

– Pamiętam, coś jej się pomyliło.

– Myślę, że mogłeś zapomnieć – nie poddawała się.

– Magu, o takich rzeczach nie zapominam – odpowiedziałem zdecydowanie.

Spojrzała na mnie z miną pełną wątpliwości, a ja potraktowałem to jako zwycięstwo. Poszedłem do biurka napisać mejla do Anny Dymnej, że jestem poważnie chory, mam zapalenie gardła i nie mogę rozmawiać i że przepraszam, kajam się i obiecuję zadzwonić w przyszły wtorek. Na Facebooku kliknąłem, że lubię Tori Amos, spaghetti oraz seks oralny. Następnie z pełnym zaangażowaniem napisałem tekst o pladze bezdomnych kotów w śródmieściu, które

należy wysterylizować za publiczne pieniądze. Taki apel.

Po czternastej zadzwoniłem do Justy. Pomyślałem, że najpewniej już odespała.

– Haaalo – usłyszałem jej radosny głos.

– Nie obudziłem?

– Ha! Nie spałam od dawna – zaśmiała się. – Arek, Aruś, to ty?

– Ja – odpowiedziałem – dzwonię z...

– Aruś! Przyjedź, miły, szybko do mnie! – Zdecydowanie była pijana.

– Jestem w pracy jeszcze chwilę, a ty gdzie jesteś?

– Gdzie jestem, poszekaj – usłyszałem czyjś śmiech i jak Justa pyta, gdzie jest, ktoś się zaśmiał i powiedział, że nad wodą. – Aruś, jesteś? Jestem... ja jestem nad jeziorem.

– Nad jeziorem? – zdziwiłem się.

– No – zaśmiała się. – Nad jeziorem. To przyjedziesz? To Arek dzwoni, dziennikarz – znowu odsunęła usta od słuchawki.

– Do kogo mówisz?

– Ha! Mówię do Jadzi, Krzysia i mhm... jak masz na imię, kolego? – telefon znowu powędrował dalej, usłyszałem śmiech i padające po kolei imiona. – Widzisz, nie wszystkich pamiętam. Ha, mówią, żebyś przywiózł jeszcze wódki.

– Justa, ja jestem w pracy. Nie spałaś w ogóle?

– Nie spałam, ty spałeś?

– Tak, ja spałem.

– I jak?

– Co i jak?

– Co ci się śniło?

– Nie mogę teraz rozmawiać, jestem w pracy, mogę po pracy przyjechać, ale nie wiem, gdzie jesteś.

– Nad jeziorem! – Usłyszałem salwy śmiechu w tle, Justa uciszała ich, mówiąc sza, sza, sza. – Aruś, słyszysz, jak mówię sza, sza?

– Słyszę.

– Ha! – I znowu śmiech w tle naszej rozmowy. – Dla ciebie mówię to sza, sza.

– Świetnie, co to za jezioro?

– Się dowiem, poszekaj – mniej więcej po dwóch minutach powróciła do słuchawki. – Jestem nad Drewdenkiem, na kempingu.

– To jakieś czterdzieści kilometrów od miasta! – krzyknąłem.

– Tego to ci nie powiem, Aruś, bateria mi siada, to szekam, pa, miły ty mój, sza, sza – nie rozłączyła się, odłożyła gdzieś telefon, nie mogłem jednak zrozumieć żadnej sensownej wypowiedzi, tylko pojedyncze słowa, moje imię nie padło.

Rozłączyłem się. I jakiś Krzyś. Ludzie, których nie zna nawet z imienia. Jezioro daleko poza miastem. W dzień pracy. Pijana. Kompletnie nie wiedziałem, co o tym myśleć. Pojadę. Gdy wychodziłem z pracy, zaczepiła mnie Magu.

– Jak się czujesz? – zapytała, wyskakując zza biurka.

– Dziękuję, dobrze – szedłem dalej.

– Dzwoniła Anna Dymna – spojrzała na mnie wyzywająco – potwierdziła przyszły wtorek i... poczekaj, zapisałam wiadomość... – Zrobiło mi się gorąco w policzki, byłem przekonany, że specjalnie wydłuża ten czas, szukając kartki z wiadomością. – ...O, mam, życzy ci, cytuję: „Szybkiego powrotu do zdrowia”.

– Dziękuję. – Spojrzałem na swoje buty i pośpiesznie wyszedłem z sekretariatu. Magu odprowadziła mnie wzrokiem do samych drzwi. Czuję na plecach jej spojrzenie.

Wróciłem do domu, nakarmiłem Dite i wsiadłem w moją starą

hondę, by pojechać po Justę. W drodze wciąż przychodziło do mnie pytanie: kim jest? Martwiłem się i byłem ciekawy. Słuchałem REM, okno miałem otwarte, słońce i wiatr prosto w twarz. Dobrze móc kogoś ratować – pomyślałem – być potrzebnym. Nawet jeśli stoi za tym chęć, by kiedyś zostać samemu uratowanym. Przypomniało mi się, jak nocą goniłem Michała po lesie. Kończyliśmy studia, wyjechaliśmy w ramach programu wymiany studentów do Niemiec. Kilku znajomych, w tym ja i Michał. Przyjechaliśmy do małego kampusu akademickiego. Po uroczystej kolacji kupiliśmy zgrzewkę piwa, usiedliśmy w salonie, słuchaliśmy muzyki i snuliśmy plany na życie po studiach. Mieliśmy być szefami, artystami, prezydentami, marynarzami i Markami Zuckerbergami. W pewnym momencie Michał odebrał telefon. Jego milczenie, bo ciszę ukryć najtrudniej, spowodowało, że przestaliśmy się śmiać, rozmawiać. Twarz miał pełną napięcia, powiedział, że nie, że to niemożliwe, potem dodał coś w stylu rozumiem albo aha i zapytał, czy coś jeszcze. Odłożył telefon i zaczął chodzić nerwowo po sali.

– Co się stało? – pytałem, chodząc za nim.

Nic nie mówił, chodził coraz szybciej, wszyscy zamarliśmy, ktoś próbował zażartować i sparodiować jego ruch, ale po chwili przestał. W pewnym momencie Michał zaczął się śmiać nienaturalnie głośno i powiedział, że umarła, że miała wypadek, że ponoć umarła, dzwoniła mama jego Miłości.

– Jak to? – zapytał jakiś chłopak i momentalnie dostał od Michała w twarz. Bałem się, nie wiedziałem, co zrobić. Podszedł do mnie, złapał mnie za twarz, puścił, usiadł na fotelu i dokończył piwo. Nic nie mówił i otworzył kolejne. zaproponowałem mu, żebyśmy poszli do pokoju, wstał i ruszył za mną. Zaprowadziłem go na łóżko, ale nie chciał się położyć. Powtarzał, że to niemożliwe, że

musi tam jechać i że niemożliwe. Śmiał się nerwowo lub płakał, potem wpadał w długie chwile milczenia, które kończył sporymi łykami piwa. Wyjaśniłem mu, że wyjedziemy rano, bo teraz jesteśmy w środku lasu i nie wydostaniemy się stąd w żaden sposób. Siedział, słuchał, płakał. Wtedy ostatni raz widziałem Michała płaczącego, podczas pogrzebu twarz miał martwą ukrytą za czarnymi okularami. Próbowałem go pocieszać, mówiłem jak najęty, pamiętam tylko, że potok bezsensownych słów wypływał ze mnie mimowolnie. Patrzył na mnie, na moje usta, i cały czas pił. Wyszedłem do toalety, a gdy wróciłem, nie było go w pokoju. Zbiegłem na dół, zauważyłem, że idzie w stronę lasu. Pognałem za nim. Na mój widok zaczął biec, przewrócił się, podniósł i biegł dalej, uciekał. Zatrzymałem go siłą, szamotał się ze mną i krzyczał, że musi do niej iść, że on jej pomoże, że nic się nie stało. Wyrwał mi się i biegł dalej, ja za nim. Potykał się o własne nogi, przewracał. Gdy próbowałem go podnosić, przeklinał i całą siłą odpychał moją rękę. Zaniechałem. Zacząłem biec obok niego, patrzyłem na jego twarz, na brudne ubrania, zakrwawioną rękę. Ilekroć się przewracał, czułem ogromny ból i bezsilność, nie umiałem nic zrobić. Biegł dalej. W pewnym momencie padł i zaczął krzyczeć, wyć. Trwało to dobrą godzinę, milkł tylko na krótkie chwile, by zaczerpnąć powietrza, bałem się, że straci głos. Siedziałem obok, przyciskałem dłonie do uszu, przez które i tak słyszałem jego nienaturalne spazmy. W pewnym momencie przestał, położył się na plecach i patrzył przed siebie martwym wzrokiem, oddychając szybko. Po chwili pozwolił się dotknąć, podnieść. Powoli wracaliśmy na kwaterę. Miał głęboko rozciętą skórę na ramieniu, na co nie zwracał żadnej uwagi. Obwiązałem mu rękę, położyłem do łóżka, drzwi zamknąłem na klucz, który schowałem sobie do buta. Nie

mogłem usnąć, słuchałem, jak śpi. Następnego dnia pojechaliśmy
busem do Polski, na pogrzeb.

14

Nad Drewdeniem był tylko jeden kemping, znalazłem go bez problemu. Justa spała na pomoście, obok niej leżeli jacyś ludzie. Nietrzeźwi. Nikt nie zwrócił uwagi na moją obecność, ciężko było również z kimś porozmawiać normalnie, większość miała po dwadzieścia kilka lat, pewnie studenci. Jakiś chłopak zapytał mnie, czy przywiozłem wódkę, powiedziałem mu, że nie spożywam alkoholu ze względów religijnych, uśmiechnął się, odparł, że to super i chciał przybić mi piątkę, ale zatoczył się, przewrócił na bok i bardzo tym faktem ucieszony, zaczął śmiać się do pomostu. Obudziłem Justę, uśmiechnęła się i nawet się nie odezwała, tylko ponownie zamknęła oczy. Bardzo niechętnie i z wielkim trudem podniosłem ją. Zataczała się, zaprowadziłem ją do samochodu, gdzie od razu usnęła. Patrzyłem na jej twarz, z jednej strony miała odcisnięty wzór desek z pomostu, z drugiej strony skórę zaczerwienioną słońcem. W pewnym momencie zapytała, czy popływamy, odparłem, że jedziemy spać, uśmiechnęła się i usnęła. Gdy dojechaliśmy na miejsce, zaprowadziłem ją do łazienki, by opłukała twarz.

– Wspaniała woda – powiedziała, zakładając mi ręce na szyję.
Zaniosłem ją do łóżka.

– Chcesz, żebym cię rozebrał? – zapytałem.

– Tak – otworzyła jedno oko, uśmiechnęła się i dodała: –
Przepraszam, ale jestem bardzo zmęczona, dobranoc.

– Dobranoc. – Pocałowałem ją w czoło.

Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, więc siadłem do pisania artykułu, ale nie potrafiłem sklecić ani jednego sensownego zdania. Zadzwoiła Gosia zapytać, czy chcemy jechać na koncert Keitha Jarretta, za trzy dni we Włoszech, dostała idealne miejsca, zabiera Adama i jeśli ja z Michałem byśmy chcieli, to mamy jej dać znać. Wspomniałem, że może bym chciał Justę zabrać, ona na to, że Michał to samo powiedział o Marii i czy to znaczy, że się stabilizujemy. Odparłem, że nie wiem. Do jutra i ja, i on mamy jej dać znać, załatwi w razie czego bilety dodatkowe. Zadzwoiłem do Siostry zapytać, czy chce jechać z nami, ale stwierdziła, że nie zna człowieka, poza tym ma pracę i dziękuje.

Po kilku godzinach, tuż przed północą Justa się obudziła. Chciała wody i żebym jej opowiedział, co tutaj robi.

– Nic nie pamiętasz? – zapytałem.

– Byliśmy na imprezie, zostałam, poznałam jakichś ludzi, coś paliliśmy.

– Co paliliście?

– Nie wiem, pewnie trawę.

– I pojechaliście nad jezioro.

– Jeju, faktycznie, a ty skąd się tam wzięłaś?

– Dzwoniłem do ciebie i chciałaś, żebym przyjechał.

– Chciałam, żebyś przyjechał – uśmiechnęła się. – Przepraszam, fatalnie się czuję, głupio mi.

– Nie szkodzi. Trochę się martwię, Justa.

– Czym?

– Coś mogło ci się stać. Pojechałaś z obcymi ludźmi nocą nad

jezioro, nietrzeźwa.

– Nic nie mogło mi się stać, przecież chciałam, żebyś przyjechał – wstała, podeszła do mnie i wtuliła się. – Przepraszam.

– Spać? – zapytałem po dłuższej chwili.

– Spać, a ty?

– Dokończę pisanie i przyjdę do ciebie.

– Dziękuję – pocałowała mnie i poszła spać.

Gdy wróciłem do łóżka, zamruczała, wtuliła się we mnie i złapawszy za rękę, ponownie usnęła. Długo męczyły mnie myśli: o tym, że nie pamięta, że może Krzyś, kimkolwiek był, może do czegoś doszło. Śniło mi się, że pływam pontonem po wielkiej wodzie, obok mnie przepływa wielki statek, na którym tańczy mnóstwo mężczyzn bez koszulek, doskonale umięśnionych, a wśród nich Justa, która macha do mnie i mówi: obrusy są do niczego niepotrzebne. Obudziłem się sam, minęła siódma, myślałem, że Justa jest w kuchni, ale znalazłem tylko kartkę.

Miły! Dziękuję Ci bardzo i jeszcze raz przepraszam. Czuję się jak mokra kromka chleba, wstałam przed świtem, wypita Twoją kawę. Patrzyłam chwilę, jak śpisz, pobawiłam się z kotką i stwierdziłam, że muszę zabrać się za swoje życie. Mam nadzieję, że wciąż mam pracę. Zadzwoń do Ciebie, jak tylko znajdę mój telefon lub – co bardziej prawdopodobne – kupię nowy. Dziękuję raz jeszcze. Justa.

PS. Gdy spałeś, miałeś erekcję, nie dało się nie zauważyć, gdybyś nie spał tak słodko, wskoczyłabym na Ciebie. Całuję mocno. Gdzie tylko zechcesz. Justa.

Żałowałem, że spałem tak słodko. Zaparzyłem kawy w kubku, z którego piła Justa, nieumytym. Oblizalem brzegi kubka, udając, że to pocałunek. Wybrałem do niej numer, ale włączała się poczta głosowa. Być może telefon został nad jeziorem, nie pomyślałem, by sprawdzić, gdy ją zabierałem. Pozostało mi czekać, miałem nadzieję, że szybko się odezwie. Jeśli nie, spotkamy się i tak dziś między jej terapią a moją. Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Po pracy poszedłem do sklepu uzupełnić braki w lodówce. Zastanawiałem się, co lubi Justa, i kupiłem kilka produktów podwójnie, sery, winogrona, salami, oliwki. To zazwyczaj poprawia nastrój, gdy kupuje się jedzenie nie tylko dla siebie. Obok stoiska z warzywami kobieta rozmawiała z mężczyzną.

– Rzodkiewek nam nie trzeba?

– Ja już nie jem rzodkiewek – odpowiedział mężczyzna.

– Dlaczego?

– Nie lubię – odrzekł i poszedł. Kobieta stała chwilę, spojrzała na rzodkiewki, odłożyła je i ruszyła za mężczyzną.

Bałem się iść na terapię, ukrywałem przed panią Ewą mój związek z Justą. Czułem, że to nie w porządku sypiać z pacjentką własnej terapeutki. Chociaż wiedziałem od Justy, że ona wszystko i tak wyznała pani Ewie, postanowiłem nie poruszać tematu naszego związku. Dodatkowo czułem się dosyć szczęśliwy, bo zakochany. Nie ubyło mi problemów, ale ich ranga spadła, a części w ogóle nie dostrzegałem. Przeszłość i dzieciństwo również przestały być aż tak ważne, bo właśnie zaczynała się przyszłość. Dobrze być zakochanym.

Na terapii rozmawiałem o moich telefonach do Kiców.

– Jak się pan czuł po rozmowie z bratem? – Jak zwykle zapytała

o to, co czuję.

– Niespokojny, trochę wygłupiony.

– Zastanawiam się, czy nie czuje pan złości do taty.

– Za co miałbym się złościć?

– Za to, że opuścił pana, gdy miał pan cztery lata, za to, że nie utrzymuje z panem kontaktu.

– Gdy pani to mówi, brzmi to bardzo poważnie, ale nie czuję żadnej złości, jestem ciekawy, jak wygląda. Babka była gruba, matka chuda, zastanawiam się, jak wygląda ojciec, czy łysieje, czy jestem do niego podobny, chcę go zobaczyć.

– Czego pan oczekuje po spotkaniu?

– Nie wiem, rozmowy, chciałbym... – i głos mi się załamał, pani Ewa patrzyła na mnie z uwagą, odwróciłem wzrok i spojrzałem w okno. – Ile nam zostało czasu?

– Co pan teraz robi? – Wyczułem troskę w jej głosie.

– Pytam o to, ile nam zostało czasu – odparłem.

– Przez chwilę, gdy był pan blisko swoich emocji, postanowił pan zwrócić uwagę na coś, co może pan kontrolować, czyli czas naszego spotkania, a to pozwoliło panu nie przeżywać emocji. Wydaje mi się, że ten mechanizm jest panu znany również z takich momentów życia, w których nie pozwala pan sobie przeżywać przy innych ludziach i zostaje sam z uczuciami, głównie ze złością. Zostało nam piętnaście minut.

– To mało czasu, nie zdążymy się niczym zająć – powiedziałem pośpiesznie – może dziś skończymy wcześniej? Bez sensu.

Patrzyłem na panią Ewę, ona patrzyła na mnie.

Zegar bardzo leniwie odmierzał kolejne minuty.

– No dobrze – podjąłem. – Chciałbym, żeby mnie przytulił...

Chciałbym, żeby mnie przytulił – powtórzyłem i zacząłem płakać,

po raz pierwszy przy pani Ewie. Cały świat zniknął. Wyciągałem kolejne chusteczki z pudełka i płakałem.

Leżały obok miejsca, w którym siedziałem i czekały na mnie od pierwszego spotkania. Chusteczki. Nikt mi ich nie podał. Podobnie jak fotel, dywan na podłodze i kwiat w oknie należały do stałych elementów wystroju gabinetu terapeutycznego. Każdy, kto tu wchodzi, będzie musiał kiedyś z nich korzystać. Pomyślałem, że może gdyby ich nie było, mniej osób u terapeuty by płakało.

W zachodniej Anglii, w Bristolu nad rzeką Avon znajduje się most Clifton Suspension, z którego każdego roku skakało średnio ośmiu samobójców. Władze miasta w 1998 roku zbudowały na moście dodatkową, wyższą barierkę i liczba samobójstw zmalała o połowę. Myślę, że podobnie jest z chusteczkami, trzeba płakać, gdy od roku się na nie patrzy.

Po wyjściu z ośrodka spotkałem Justę. Zaoferowała mi buzi i papierosa.

– Co się stało? – zapytała i przytuliła mnie.

– Tato.

– Wykrzyczałeś się?

– Wyryczałem.

– Gratuluję. Ja płaczę u niej prawie na każdej sesji.

– Ja po raz pierwszy.

– Naprawdę? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Rób to częściej, polecam, to nic nie zmienia, ale ulga jest niesamowita. Uwielbiam potem patrzeć na swoje oczy w lusterku, nigdy nie są tak zielone jak po sesji.

– A ty z czym dzisiaj?

– Z tobą, miły – odpowiedziała.

– Ze mną? – Przestraszyłem się.

– Tak, rozmawiamy o tobie.

– Ale co?

– Ciiiiiii – Justa przytknęła palec do ust – przecież obowiązuje nas tajemnica – zaśmiała się, pocałowała mnie i dodała: – Dziękuję, że po mnie przyjechałeś.

Opowiedziałem jej o pomysle wyjazdu do Włoch, podskoczyła w miejscu, powiedziała „Ha” i że jedzie z pewnością. Chwilę porozmawialiśmy i umówiliśmy się następnego dnia na spacer.

W drodze do domu myślałem o tacie. Kim jest? Uśmiechnąłem się na wyobrażenie, że padamy sobie w ramiona. Nie płakałem od wielu miesięcy, czułem przestrzeń w sobie. Wróciłem do domu. Nie wiedziałem, co zrobić z tęsknotą za kimś, kogo się nie pamięta, ani co zrobić z przytuleniem, na które się czeka całe życie.

Sprawdziłem Facebooka, skrzynkę pocztową, spojrzałem na telefon, pustka. Dita zafascynowana swoim ogonem kręciła się w kółko. Powiedziałem jej, że nie jest psem i że jej nie przystoi. Zignorowała mnie. Postanowiłem pozbierać w sieci materiały do artykułu na temat bezrobocia wśród osób niepełnosprawnych. Włączyłem muzykę i zjadłem kolację. Zadzwoiłem do Justy, ale nie odebrała. Chciałem, aby przyszła już noc, ta godzina, w której jest na tyle późno, że nie trzeba nic robić, żadnych zadań, obowiązków, można pójść spać. Spokój. <

15

Justa bardzo podekscytowana – nadszedł dzień wyjazdu do Włoch na koncert Keitha Jarretta. Michał postanowił zabrać Marię, ponieważ nie chciał jechać sam z dwoma parami. Wszyscy spotkaliśmy się na lotnisku. Byłem pierwszy, kupiłem zapas papierosów i prezerwatyw oraz jakieś gazety. Justa wbiegła na ostatnią chwilę, miała na sobie obcisłe džinsy i zieloną luźną bluzkę z długimi rękawami. Wszyscy się przedstawili i poszliśmy oddać bagaże. Gosia rozmawiała z Michałem, Adam z Marią, podczas gdy ta cały czas spoglądała na Michała, wyraźnie zakochana i chyba dumna, że poznała jego przyjaciół i jadą gdzieś razem. Michał, gdy poszliśmy do toalety, powiedział mi, że to raczej głupi pomysł, że powinien z nią zerwać i że wkurza go obecność Adama, który zachowuje się jak obśliniony kundel, i jeszcze że najlepiej by było, gdybyśmy pojechali tylko we troje. Odparłem, że cieszę się, że Justa leci ze mną. Mruknął coś i przyznał, że jest faktycznie niezła.

– Mam nadzieję, że bramka zapiszczy, gdy będę przechodziła – wyszeptała Justa przy odprawie lotniskowej, gdy wkładaliśmy do plastikowych pojemników zawartość kieszeni.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo wtedy musisz rozłożyć ręce, wszyscy na ciebie patrzą i ktoś

pośpiesznie cię dotyka.

– To zostaw coś w kieszeni – zaproponowałem.

– Ha! – zaśmiała się, wyjęła z pudełka monetę i wsadziła ją do kieszeni.

Przechodziła przez bramkę pierwsza, zapaliła się czerwona lampka i rozległ się alarm. Została poproszona na bok, popatrzyła na mnie uśmiechnięta i rozłożyła ręce. Wzrokiem pokazała mi, żebym się rozejrzał. Wszyscy patrzyli na Justę, ta triumfowała.

– I jak? – zapytałem, gdy znalazłem się obok niej.

– Lepiej zrobić coś, niż nie robić nic – odparła i złapała mnie za rękę.

Okazało się, że nasz lot jest opóźniony, samolot nie wyleciał jeszcze z Mediolanu, więc na jakieś cztery godziny zostaliśmy uwięzieni na lotnisku.

– To straszne – jęknął Adam.

– Dlaczego? – zapytała Gosia.

– Siedzieć tutaj cztery godziny?

– Śpieszysz się gdzieś? – odparła.

– Napijmy się – zaproponowała Justa.

– Lepiej nie – zaproponowała Maria – może przyleci wcześniej.

– No to co? – włączył się Michał. – Napijmy się, co chcecie?

– Pójdę z tobą, wybierzemy niespodzianki. – Justa wstała i poszli.

Adam patrzył na Gosię, która zaczęła malować paznokcie, Maria smutnym wzrokiem odprowadzała Michała, gdy złapała moje spojrzenie. Przysiadła się bliżej.

– Jak długo jesteście razem? – zapytała.

– W sumie dopiero zaczynamy.

– Och, wyglądacie na bardzo zakochanych. Ja sama nie wiem,

o co chodzi, cieszę się, że jedziemy razem, ale Michaś tak mało mówi o sobie, jesteś jego przyjacielem, prawda?

– Jestem – przyznałem.

– Pewnie wiesz więcej niż ja – popatrzyła mi w oczy.

– Możliwe.

– Na pewno rozmawiacie o wszystkim, jestem ciekawa, co mówił o mnie – ponownie popatrzyła mi w oczy, cała uśmiechnięta.

– Będzie dobrze – czułem, że muszę coś powiedzieć, chociaż nie miałem ochoty.

Uśmiechnęła się, a ja ogłosiłem, że muszę iść do toalety, na co Gosia stwierdziła, że idzie ze mną.

– Jak to, razem? – zapytała Maria.

– Muszę go podtrzymywać – Gosia była bardzo poważna. – Czasami z nerwów zaczyna krzyczeć.

Maria otworzyła szeroko oczy.

– Albo sikam sobie na buty – dodałem.

– Aaaaa, żart – Maria uśmiechnęła się histerycznie i machnęła ręką.

Gdy zostaliśmy sami, zapytałem Gosię, o co chodzi. Powiedziała, że Maria chyba jest trochę głupia, taka maskotka. Wyjaśniłem, że chodzi mi o Adama, że warczy na niego. Usłyszałem, że przed wyjazdem z domu odbyli poważną rozmowę o stabilizacji, o tym, dokąd zmierza ten związek. Adam oczekuje deklaracji i obietnic, a Gosia czuje się przytłoczona, co ją wkurza, bo miała ochotę na relaksujące trzy dni i żałuje, że go zabrała. W drodze powrotnej natknęliśmy się na Justę z Michałem, szli roześmiani, Justa podbiegła i pocałowała mnie.

– Co macie? – zapytała Gosia.

– Whisky i wiśniówkę – odparła Justa. – Wszystko, co można

odkręcić w palarni i ładnie wygląda w papierowej torbie.

– Chodźmy zatem – powiedziała Gosia.

W palarni Justa oparła się o mnie plecami, odkręciła butelkę, wzięła łyk i podała mi. Przycisnęła pupę mocno do mojego krocza, delikatnie się poruszała, złapałem ją za biodra, nie przestała, odwróciła się do mojego ucha i delikatnie pocałowała. Odgłos pocałunku złożonego w środek ucha brzmi jak obietnica. Maria zaczęła opowiadać dowcipy, ale po braku reakcji zaprzestała. Patrzyliśmy, jak za oknem jakiś strażnik idzie z owczarkiem niemieckim.

– Piękny pies, każdy ma swojego opiekuna – powiedział w naszą stronę stojący obok starszy mężczyzna. – Dostaje psa, by się nim opiekował i szkolił, ale co jak strażnik dostaje psa, a jest kawalerem?

– Jak to co? – zapytała Justa.

– No jeśli to jest suka, to dobrze – mężczyzna zaśmiał się rubasznie.

– Uważa pan, że świat dzieli się na mężczyzn i suki? – zapytała Gosia.

– Nie o to mi chodzi – zarzekł się mężczyzna.

– O to panu chodzi – odpowiedziała Justa.

– Mówiłem o psie – bronił się mężczyzna.

– Nie. Mówił pan o tym, że facet powinien mieć sukę. I dobrze ją wyszkolić. – Gosia pociągnęła spory łyk wiśniówki.

Mężczyzna zgasił papierosa i wyszedł z palarni.

– Dlaczego milczeliście? – Gosia popatrzyła na mnie, Michała i Adama.

– Co mieliśmy powiedzieć? – zapytał Adam.

– Cokolwiek – odparła Justa.

– Nie rozumiem, o co tyle hałasu – odezwała się na to Maria.

– O to co zawsze – powiedziała Gosia. – O język. O posiadanie swojej suki. Jako kobieta powinnaś rozumieć.

– Przesada – skwitował Michał i wyszedł z Marią z palarni.

Długo rozmawialiśmy o kobiecości i męskości. Justa powiedziała mi, że chce, bym zabierał głos podczas takich rozmów, bez względu na to, co myślę, bo chce mnie słyszeć, gdy dzieje się coś ważnego. Adam, stojąc z boku, dłubał w nosie, spojrzął na swój palec i wytarł go w wewnętrzną stronę krótkich spodenek. Gosia to zauważyła i skwitowała spojrzeniem pełnym pogardy.

– Idę się napić – oznajmiła i wyszła z palarni, a zaraz za nią poczłapał Adam.

– Jesteś zła? – zapytałem Justę.

– Nie wiem. Twoim zdaniem było to w porządku?

– Nie było.

– Ale milczałeś.

– Wy mówiłyście.

– Zawsze my musimy mówić. Wiesz, jest Polak i polka, taki taniec, Hiszpan i hiszpanka, taka grypa, Węgier i węgierka, taka śliwka, Japończyk i japonka, taki sandał. Jest też sędzia, kierownik, wódz i prostytutka, nauczycielka, sprzątaczką.

– Jest też francuz – dorzuciłem – taki lód.

– Taki klucz, jak już!

Patrzyła na mnie srogo i bardzo się starała nie uśmiechać, ale nie udało jej się. Odwróciła się do mnie plecami, po chwili jednak spojrzała na mnie.

– Weź mnie na rękę i zanieś do toalety, chce mi się siku.

– Mam cię wziąć na rękę?

– Masz mnie wziąć na rękę i zanieść do toalety, taka kara.

- Wszyscy będą patrzeć – próbowałem się wykręcić.
- Mam nadzieję.

Wzięłem Justę na ręce i zaniósłem do toalety, a gdy mijaliśmy ludzi, uśmiechała się i mówiła wszystkim, że ten mężczyzna musi zostać ukarany. W toalecie natknąłem się na lekko pijanego Michała.

- No i powiedz, jak ja mam mieć do niej szacunek? – zapytał.
- Do Marii szacunek?
- No, do Marii.
- Przecież nie masz do niej szacunku.
- Bo ona nie ma szacunku do siebie, swojej kobiecości.
- I dlatego ty nie masz do niej szacunku?
- Za dużo razy wypowiedzieliśmy słowo szacunek, idę sikać.

Kolejne dwie godziny upłynęły nam na rozmowach. W poczekalni na ekranach oglądaliśmy program przyrodniczy, pokazywali lasy tropikalne, na dole ekranu przesuwał się napis „mrówkojad nie ma zębów”. Maria powiedziała, że nie wiedziała tego i że to bardzo ciekawe, jak on żuje te mrówki. Justa poszła do sklepu, wróciła z perfumami i kilkunastoma buteleczkami różnych alkoholi. Uwielbiam je – powiedziała – to są takie małe łyki. Samolot miał niebawem się pojawić. Justa zapytała mnie, czy kochałem się kiedyś w toalecie na lotnisku, odparłem, że nie, a ona na to, że ma wielką ochotę. Poszliśmy, trzymając się za ręce, i myślałem, że to najlepsze opóźnienie samolotu w moim życiu. Całowaliśmy się, Justa stanęła na muszli klozetowej i powiedziała, że zupełnie nieśpiesznie mam ją przygotować na wszystko, co za chwilę zrobimy. Trzymała mnie za głowę. Słyszeliśmy kogoś za ścianą, Justa śmiała się, powróciliśmy do pocałunków, miałem erekcję, odwróciła się do mnie tyłem i powiedziała, żebym się nie śpieszył.

Kochaliśmy się długo, mój telefon dzwonił kilka razy, nie odbierałem. W toalecie nagle zrobiło się zupełnie cicho. „Złap mnie za rękę i pieprz jak dżentelmen” – poleciła Justa, teraz mocniej, wolniej, wydawała mi instrukcje. Nie pozwoliła mi skończyć, w pewnym momencie odwróciła się przodem do mnie, usiadła i doprowadziła do orgazmu ustami. Na koniec pocałowała i powiedziała: tak smakujesz.

Gdy wyszliśmy z toalety, nikogo nie było przy naszej bramce. Podbiegliśmy do wyjścia, okazało się, że wzywano nas kilka razy, w samolocie właśnie wyczytują wszystkie nazwiska. Pokazaliśmy karty pokładowe, kazano nam szybko przejść przez barierki. Idąc środkiem samolotu, łapaliśmy pełne złości spojrzenia obcych ludzi, szedłem z przodu, trzymając Justę za rękę, a gdy odwróciłem się do niej, posłała mi buziaka. Uśmiech nie zniknął mi z twarzy. Gdy usiedliśmy, Michał powiedział, że wydzwaniali do nas kilka razy i że gdyby nie oni, samolot by odleciał.

– Gdzie byliście, do cholery? – zapytała Gosia.

– Kochaliśmy się – wyjaśniła Justa.

Pokręcili głowami, ale już bez złości. Usnęliśmy. Obudził mnie głos stewarda, poza tym suchość w ustach, lekki ból głowy i potworne zmęczenie. Gdy wysiedliśmy z samolotu, zalała nas fala gorącego, suchego powietrza. Justa zdjęła buty i szła bosą, zachwycona. Pojechaliśmy busem do hotelu, a tam zanieśliśmy rzeczy do trzech różnych pokoi. Ja położyłem się na łóżku, Justa zaś poszła się kąpać. Po chwili wróciła w samym ręczniku i położyła się na mnie mokra, chciałem ją pocałować, ale powiedziała: nic z tego, miły, umyj zęby, wykąp się grzecznie i wróć do mnie. Tak też zrobiłem. Nigdy nie byłem z nikim, kto lubiłby seks bardziej niż ja. Wszystko jest możliwe, tak pomyślałem,

a moje życie właśnie się zaczyna. Po raz kolejny. Przypomniało mi się, jak w liceum zakochałem się w Alicji Monroe, cudownej dziewczynie, wyznałem jej uczucie podczas lekcji matematyki, listem. Odpowiedziała, że porozmawiamy podczas przerwy. Poszliśmy po lekcjach do parku, pocałowała mnie na do widzenia. Wtedy również zaczynało się moje życie. Bo jeśli nie miłość, to nie wiedziałem, cóż innego mogłoby to być. Do teraz nie wiem. Chodziliśmy ze sobą od tygodnia. Wracałem do domu jak zawsze pociągiem. Byłem szczęśliwy, myślałem o Alicji, naszym domu, dzieciach, o tym, jak składam przysięgę małżeńską. W tym wieku chłopcy masturbują się często i wszędzie. Nie odbiegałem w tym względzie od normy. Siedziałem sam w przedziale, zasłoniłem zasłony i zacząłem się onanizować. W finalnym momencie drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich Alicja ze swoimi koleżankami. Patrzyliśmy na siebie kilka sekund, Alicja spojrzała na mojego penisa, na którym wciąż tkwiła zaciśnięta ręka, po czym wyszła z przedziału. Nie chciała się ze mną więcej spotykać. Otrzymałem przewisko Koń Pociągowy, które ciągnęło się za mną do matury. Wtedy moje życie się skończyło. Kolejny raz.

Wieczór spędziliśmy, spacerując po Mediolanie. Przed północą w pokoju hotelowym złapałem Justę za rękę.

– Zakochałem się w tobie – wyznałem.

Długo patrzyła mi w oczy, przytuliła się do mnie i powiedziała:

– Tęsknię za tobą, chociaż cię mam, więc i ja jestem zakochana.

Pocałowałem ją i długo się przytulaliśmy.

– Czyli jesteśmy razem? – zapytałem.

– Przecież jesteśmy.

– Ale czy...

– Czy możemy to nazwać, przypieczętować, ogłosić, tak? –

przerwała mi ze złością.

– Tak – przyznałem speszony, w mojej głowie brzmiało to zdecydowanie przyjemniej niż w ustach Justy.

– A do czego ci to potrzebne? – zapytała, puszczając moje ręce i sięgając po papierosa.

– Żeby wiedzieć.

– A nie wiesz? – podniosła głos. Wstała z łóżka i z papierosem w dłoni zaczęła przechadzać się po pokoju. – Nie wiesz, że jestem tutaj obok ciebie, że trzymam cię za rękę, przytulam, że pieprzę się z tobą?

– Wiem, wiem to wszystko, nie o to chodzi, po prostu... – nie wiedziałem, co powiedzieć. – Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

– No tak, chcesz się czuć bezpiecznie i ja mam ci to dać, mówiąc, że jestem twoja, użyć kilku słów, które staną się ważniejsze od tego, co się dzieje pomiędzy nami. Mieszkam na Karłowatej siedem przez trzy, zapraszam.

– Justa... – chciałem załagodzić, nie tak miało być.

– Co, Arku? – przerwała mi. – Chodzi o akt własności! Jeśli to spowoduje, że poczujesz się lepiej – otworzyła okno i zaczęła przez nie krzyżeć: – Proszę państwa, ja, Justyna Kowalik, jestem z Aureliuszem Kicem, jesteśmy razem! – I zaczęła bić brawo.

Odwróciła się, zobaczyła, że siedzę ze spuszczoną głową na łóżku. Podeszła.

– Nie próbuj mi się teraz smucić – powiedziała. – Jesteśmy razem i zostało to nazwane, zatem ciesz się, jestem twoja, a ty jesteś mój, ale musisz wiedzieć, że małżeństwo nie jest moim pomysłem na życie.

– Nie jest?

– Nie jest – potwierdziła i zaczęła się ubierać.

- Gdzie idziesz?
- Przejsz się – spojrzała na mnie oczami pełnymi złości. – Wolno mi?
- Przestań, proszę cię.
- Co przestań?! Twoja Justa ma czelność pójść na spacer i nie prosić o pozwolenie.
- Pójdę z tobą.
- Rób co chcesz, ja właśnie wychodzę.

I wyszła, trzaskając drzwiami. Podbiegałem do progu, nie wiedziałem, co robić. Włożyłem bluzę i podszedłem do okna, nie zauważyłem Justy, musiała wyjść z drugiej strony. Chciałem pędzić za nią, ale bałem się, że zezłości się jeszcze bardziej. W końcu położyłem się na łóżku, analizowałem całą rozmowę setki razy. Co chwilę sprawdzałem zegarek, aż minęła północ. Wykręciłem numer do Justy, usłyszałem sygnał jej komórki dobiegający z łazienki. Poszedłem się wykapać, martwiąc się o nią, o nas, zastanawiałem się, czy to koniec i jak sobie poradzę. Wyobrażałem sobie, jak informuję moich przyjaciół, Siostrę, znajomych, że nie jesteśmy razem, aż rozbolała mnie głowa. Strata jej byłaby wielką porażką, chciałem dobrze, to sobie powtarzałem, że chciałem dobrze. Później przyszły myśli, że może zbytnio naciskam, że niepotrzebnie.

Długo nie mogłem usnąć, pograżony w trawieniu tego, czego od niej chciałem, i każdego spojrzenia, gestu, słowa, które od niej dostałem. Byliśmy razem, to prawda, ale musiałem to usłyszeć. Powiedziałem, że jestem zakochany, z nadzieją, że usłyszę to samo, ale czy to złe – zastanawiałem się. Nawet od Dity potrzebuję odrobiny uwagi. Potrzebuję nazywać rzeczywistość, by zaistniała, bo za bardzo się boję, że wszystko zniknie, jeśli nie zostanie wypowiedziane. Gdy jem czereśnie, mam ochotę powiedzieć głośno,

jakie są pyszne. Muszę nazwać ich smak, opisać kolor, ubrać w słowa zapach i sok spływający po palcach. Wtedy smakują jeszcze lepiej.

Justa wróciła po pierwszej w nocy. Wykąpała się i położyła obok mnie, a ja udawałem, że śpię. Przytuliła się, a po moim ciele rozlało się ciepło, odwróciłem się do niej, położyła mi rękę na ustach. Dobrze, pomyślałem, nie musimy rozmawiać, jesteś.

Następnego dnia zapytałem, dlaczego tak ją rozzłościła nasza rozmowa. Powiedziała, że gdyby mogła usunąć jedną cechę wszystkim ludziom, byłaby to zazdrość. Bo wszystko sprowadza się w końcu do tego. Posiadanie, oczekiwanie, wyrzuty. Bycie czyjąś kojarzy jej się z byciem córeczką tatusia, który potrzebował jej tylko wtedy, gdy był zbyt nawalony, by sięgnąć po piwo. I powiedziała, że ma w dupie małe miasteczka. Zapytałem, co to znaczy, powiedziała, że tak pisał poeta, Bursa, i że ona go doskonale rozumie, i że nie chodzi wcale o miasteczka. Cały dzień spędziliśmy, spacerując starymi uliczkami, gubiąc się, Justa kupiła sobie trzy sukienki, korale, kolczyki, zapytałem, skąd ma na to pieniądze, odparła, że nie ma i że to z karty kredytowej, i nie chce o tym teraz myśleć. Biegałem za nią po mieście.

16

Koncert zaczął się kilkanaście minut po dziewiętnastej. Siedzieliśmy w ósmym rzędzie, bardzo dobre miejsce. Gdy Keith zaczął grać, na sali zapanowała absolutna cisza. Nie zdejmował dłoni z fortepianu przez czterdzieści minut. Poruszał się cały w rytm muzyki, jego ciało napędzane ruchami palców pozostawało niespokojne, co jakiś czas wydawał z siebie niekontrolowane, krótkie dźwięki, bolesne. Pamiętam, że chciałem kichnąć, ale zatykałem co chwilę nos, bo wydawało mi się to niestosowne, wręcz bluźniercze. Po koncercie spojrzałem na Justę, trzymała się za brzuch, a po policzkach płynęły jej łzy. Piękny koncert – wyszeptałem, ale ona milczała i nie spojrzała na mnie. Wyszliśmy na ulicę. Trzymałem ją pod ramię, mając wrażenie, że gdy ją puszcę, upadnie. Milczała. Gosia stwierdziła, że patrząc na jego zdjęcie, nigdy by tego nie pomyślała, ale po koncercie stwierdziła, że mogłaby się z nim przespać. Adam posłał jej pełne oburzenia spojrzenie, którego starała się nie zauważyć. Powiedział, że to obrzydliwe, że leci tylko na osobowość. Odpowiedziała, że z nim jest dla urody.

– Co ci się stało? – zapytała Maria, patrząc na Justę.

– Nic – odpowiedziała i uśmiechnęła się najmniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek u niej widziałem.

– Coś cię boli? – dopytywała.

– Zostaw ją – wtrąciła Gosia.

Zostaliśmy w tyle, stanąłem przed Justą i zmusiłem, by spojrzała mi w oczy. Wydawało mi się, że nie ma jej tam, w niej samej.

Przytuliłem ją, a ona poddała się mojemu dotykowi.

– Martwię się – wyszeptałem jej do ucha.

– Wydaje mi się, wiesz, że rozumiem.

– Co? – zapytałem.

– Jego muzykę.

– Mam coś zrobić?

– Nic nie rób, niech tak zostanie, tak mi dobrze.

– Smutno to dobrze?

– Lubię, gdy jest mi tak smutno jak teraz.

Nie chciała rozmawiać. Poszliśmy coś zjeść, dyskutując o koncercie, o tym dziwnym małym człowieku, który poruszał się jak szaleniec i zaczarował nas dźwiękami. Justa nie odzywała się przez cały czas, tępo patrzyła w jeden punkt, pijąc kawę. Po pewnym czasie przestano się do niej odzywać, ale co jakiś czas ktoś patrzył na nią, potem na mnie i pytał mnie wzrokiem, co się dzieje. Nie wiedziałem, co się dzieje. Gdy pytałem Justę, czy wszystko dobrze, chwyciła mnie za rękę albo mówiła, żebym pozwolił jej tak być i nie martwił się. W pewnym momencie wstała i oznajmiła, że idzie się przejść. zaproponowałem, że pójdę z nią, na co stwierdziła, że jeśli chcę. Chciałem. Puściła moją rękę, gdy ją złapałem i powiedziała, że chce jeszcze czuć tę muzykę, że potrzebuje tej smutnej wolności. Gdy przechodziliśmy obok sklepu muzycznego, wbiegła nagle do środka i poprosiła sprzedawcę o wszystko, co mają Keitha Jarreta. Kupiła sześć płyt, a gdy okazało się, że nie będzie miała na czym ich odsłuchać, dokupiła mały odtwarzacz płyt.

Próbowałem jej to wyperswadować, tłumaczyłem, że jutro wracamy, że będzie musiała go tutaj zostawić.

– Chcę słuchać go całą noc, teraz i szybko, odtwarzacz damy komuś w prezencie – powiedziała cała rozpromieniona.

– A pieniądze? – zapytałem.

– Myślę, że będę miała co jeść i w czym chodzić, możemy teraz nie rozmawiać o pieniądzach?

– Możemy, chociaż uważam, że...

– Że to był wspaniały koncert, miły, przedłużmy go! – zakrzyknęła i podała sprzedawcy kartę kredytową.

Nie mogłem się oprzeć jej energii, pasji. Zmartwienie mieszało się u mnie z zachwytem, ulgą, że ożyła w swoich ruchach, słowach. Sprzedawca, pełen dredów i czarnych kolczyków na twarzy, łamanym angielskim powiedział jej, że tylko takie podejście do muzyki ma sens. Zawiesiła się na ladzie i dała mu buzi w policzek. Wybiegła ze sklepu, ja pognałem za nią, w pewnym momencie nie miałem już sił, zawołałem ją, zatrzymała się.

– Nie dam rady z takim tempem, możemy iść normalnie? – zapytałem.

– Przepraszam, ale teraz na pewno nie mogę iść, będę biegła – pocałowała mnie w policzek i pobiegła.

– Gdzie będziesz? – krzyknąłem.

– W hotelu – zawołała, nie odwracając się – z Jarrettem!

Stałem przez chwilę, rozglądając się dookoła, kilka osób popatrzyło na mnie bez większego zainteresowania. Chciałem być obok niej, ale nie miałem sił. Czułem się dodatkiem, a chciałem być całością. Nigdy nie byłem bardziej zakochany. Nagle poczułem dobrze mi znane uczucie samotności. A ta, bez miłości, bez związku po pewnym czasie staje się przyzwyczajeniem, często wygodnym,

czasami bolesnym, natomiast gdy samotności towarzyszy świeża, zakochana i namiętna miłość, powoduje ból wciąż otwierającej się rany.

Przypomniał mi się początek roku szkolnego, gdy miałem siedem lat. Babka wyjechała na wieś, a mama miała jeden ze swoich smutnych okresów. To znaczy, że nie gotowała, nie chodziła do pracy, leżała na kanapie, piła wodę i patrzyła w telewizor. Nie zaczynała żadnej rozmowy, a odpowiadała jedynie na pytania, które powtórzyło się kilka razy lub gdy zasłoniło jej się obraz w telewizorze. Obudziła mnie Siostra, kazała się ubrać. Włożyłem ciuchy z poprzedniego dnia i rajtuzy Siostry, bo nie mogłem znaleźć swoich. Pierwsza lekcja, wszyscy w klasie przyszli z rodzicami lub z jednym rodzicem. W pewnym momencie pani powiedziała, żebyśmy złapali rodziców za rękę i ją puścili, bo teraz zostaniemy w klasie sami. Pamiętam, że w naturalnym odruchu, tak jak wszyscy w klasie wysunąłem rękę na bok, ale nikt jej nie złapał, chwyciłem powietrze. To wspomnienie i namacalne poczucie braku wracało do mnie całe życie. Spojrzałem teraz na swoją rękę, wsadziłem ją do kieszeni i poszedłem do hotelu.

Justa siedziała na łóżku, obok siebie rozrzuciła płyty, słuchała muzyki. Podszedłem do niej, przytuliłem ją, zatrzymała dłoń na mojej twarzy. Zapytałem, jak się czuje, milczała, popatrzyła tylko. Powiedziała, że jest w Paryżu, w 1988 roku, i wskazała na płytę. Zapytałem, czy czegoś chce, odparła, że zostać w Paryżu. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Otworzyłem książkę, ale obecność Justy rozpraszała mnie. Głównie niemożnością bycia zaspokojonym. Potrzebuję wielu dni i tygodni, aby przyzwycząić się do czyjejś obecności. Dodatkowo jeśli kochałem i chciałem być

kochany, obecność tej osoby powodowała, że nie potrafiłem zająć się swoim życiem i zmuszała do czekania. Zrobiłem kanapki sobie i Juście, nie chciała, ale postawiłem talerz obok niej. Zadzwoiłem do Michała, powiedział, że są w pokoju za ścianą i zapraszają.

– Idę do Michała i Marii, wszyscy tam są, chcesz iść ze mną? – zapytałem Justę.

– Nie, zostanę tutaj, baw się dobrze.

I pocałunek.

– Co się z nią dzieje? – zapytała Maria.

– Nic – odparłem.

– Dziwna trochę jest, co? – rzucił Michał.

– Nie dziwna, a bardzo wrażliwa – poprawiła Gosia.

– Zmieńmy temat – zaproponowałem.

– A co teraz robi? – dopytała Gosia.

– Słucha muzyki.

– No cóż, nie bardzo rozumiem taką postawę – odparła Maria.

– Nie za wiele rozumiesz, co? – zapytał Michał.

Maria wyszła do łazienki.

– Długo tam zostanie, bardzo długo się kąpie, bardzo – westchnął Michał.

– To dosyć podłe – wypowiedział się małomówny Adam.

– Co? – zapytała Gosia.

– To, jak Michał się do niej odezwał.

– A słyszałeś, w reakcji na co to było? – odparowała mu Gosia.

– Chcesz się kłócić? – zapytał Adam.

– Nie chcę, ale druga łazienka jest wolna jakby co.

Adam wstał, podszedł do szafy, wyjął swoją kurtkę.

– Co robisz? – zapytała Gosia.

– Idę się przejść – odrzekł i wyszedł z pokoju.

– Nie zatrzymasz go? – zapytał Michał.

– Nie pójdziesz namydlić Marii?

Zostaliśmy we trójkę. Patrzyliśmy w podłogę, głośno oddychaliśmy, demonstrując każdy na swój sposób, jak bardzo cierpi. W pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały i zaczęliśmy się śmiać.

– Powinniśmy pojechać sami. We troje. Co też nas wzięło? – Gosia była wzburzona, chodziła po pokoju. – To jest jego sposób na problem. Wyjście albo milczenie. Zazwyczaj oba naraz.

– Miłość – powiedziałem.

– Sriość – odparował Michał. – Będzie siedziała w łazience jakieś dwie godziny, wyjdzie uśmiechnięta, jakby nic się nie stało, mówię wam.

Drzwi od łazienki się otworzyły, Maria wyszła szybkim krokiem i powiedziała, że minęły cztery minuty, a nie dwie godziny, i również idzie się przejść. Popatrzyła na Michała wyczekująco, ten patrzył na nią. Stała jeszcze chwilę i w końcu wyszła, trzaskając drzwiami.

– Ja się cieszę, że pojechaliśmy razem, przynajmniej wiem, że nic z tego nie będzie, nie kocham jej – powiedział Michał. – A wy?

– Ja też jej nie kocham – zapewniłem.

– Wiesz, o co pytam, durniu! – kopnął mnie pod stołem.

– Ja nie wiem – westchnęła Gosia. – On jest naprawdę dobry. Mam wyrzuty. Jest dobry, bardzo dobry.

– Kochasz go? – zapytałem.

– No mówię, że nie wiem. A ty?

– A ja kocham. Chociaż powiedziałem jej, że jestem zakochany, to jednak wiem, czuję, że kocham.

– Szczęściarz – rzuciła Gosia. – I co ona na to?

– Że też jest zakochana – uśmiechnąłem się.

– Szczęściarz – powtórzyła.

– No nie wiem, ona dziwna jest – powiedział Michał. Teraz on przyjął kopnięcie pod stołem.

– Normalnej by nie pokochał – zaśmiała się Gosia. – Ale wiesz, zazdroszczę ci. Tego, że wiesz, co czujesz, że chcesz. Jesteś pewien. Być kochanym jest łatwiej, zawsze się ktoś znajdzie. Kochać, tak naprawdę kochać, to trudne.

– A Brian Molko? – dopytał Michał, szczypiąc Gosię w nogę.

– Pieprz się. – Rzuciła w niego poduszką.

Wyglądali się przez chwilę. Patrzyłem na nich i pomyślałem, że przyjaźń jest jedyną rzeczą w moim życiu, która udała mi się zupełnie. Rozmawialiśmy o lękach przed tym, co będzie, o związkach, o miłości. Bardzo lubimy rozmawiać o miłości, każdy lubi, tylko niektórzy się wstydzą i wolą uważać takie rozmowy za banalne, zamiast się na nie odważyć. Sprawdziłem, co u Justy, spała na łóżku w sukience, ściszyłem muzykę i przykryłem ją narzutą. Wróciłem do przyjaciół. W tym samym czasie Gosia zadzwoniła do Adama, siedział z Marią w knajpie, nie był obrażony, przeciwnie, świetnie się bawił.

– Zawsze uważałam, że trzeba ludziom pozwolić robić to, na co mają ochotę – stwierdziła Gosia.

– A nie boisz się, że będzie coś między nimi? – zapytałem.

– Niech ją bierze! – krzyknął Michał.

– Niech bierze – zaśmiała się Gosia – wszelkie decyzje podjęto by za nas.

Gdy wróciłem do Justy, leżała naga pod kołdrą, położyłem się obok niej, chwyciła mnie za rękę i spała dalej. Poczułem się bezpieczny i usnąłem. Obudził mnie dzwoniący telefon. Justa prosiła, żebym

przyszedł do sklepu, wytłumaczyła mi gdzie. Złapano ją, gdy chciała wynieść ze sklepu parę okularów, nie miała pieniędzy, by za nie zapłacić, a limit na karcie się wyczerpał, jeśli szybko przyjdę i zapłacę, puszcza ją bez wzywania policji. Przyszedłem.

– Dziękuję, miły – powiedziała po wszystkim.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wiem, miałam ochotę na coś szalonego. Gniewasz się?

– Nie gniewam, dziwię.

– Popatrz tutaj – otworzyła torebkę i pokazała mi szminki, korale, jakąś chustę, płyty.

– Wszystko ukradłaś?

– Wszystko! – odpowiedziała zachwycona. – To dla ciebie – podała mi skórzaną bransoletkę – to niezwykle energetyzujące uczucie, wiesz, wchodzisz i bierzesz coś sobie, serce bije ci szybciej, czujesz, że żyjesz, chcesz spróbować?

– Przed chwilą cię złapali – powiedziałem.

– Wiem, ale byli bardzo mili, powiedziałam im, że nigdy więcej tego nie zrobię i że mam problemy psychiczne. Chodź, coś sobie weźmiemy.

Nie chciałem. Justa stwierdziła, że nawet jeśli nas złapią, to przed chwilą to przeżyliśmy. Poszliśmy do sklepu muzycznego, pokazała mi, jak to się robi. Na rękę należy powiesić sobie reklamówkę, tak by dłonie były swobodne. Z półki wziąć dwie płyty, położyć jedną na drugiej, pamiętając o tym, że ta pod spodem zostanie ukradziona. Jeśli opakowanie jest zabezpieczone, w trakcie oglądania płyty, która jest na wierzchu, trzeba zerwać paznokciem zabezpieczenie z tej znajdującej się pod spodem. W pewnym momencie upuścić płytę do reklamówki, skończyć oglądanie tej, która wciąż trzymana jest w ręku i odłożyć ją na

półkę. Można wyjść ze sklepu. Pomimo instrukcji nie zdecydowałem się.

– Robiłaś to wcześniej?

– W dzieciństwie, jak ojciec zapił, kradłam jedzenie, ciuchy, teraz to już prawie niemożliwe, wszędzie mają te plastikowe zabezpieczenia, ale wciąż w małych sklepach, jak ten, można.

Spytałem, czy nie ma wyrzutów sumienia. Odparła, że to nie wyrzuty, a lęk. Gdy wyszliśmy ze sklepu, pobiegliśmy do hotelu, trzymając się za ręce, roześmiani. Justa opowiedziała wszystkim, co zrobiła, Maria stwierdziła, że to niemoralne, Adam, że głupie, Gosia powiedziała, że na pewno spróbuje, ale dopiero na emeryturze.

– Jesteś szalona – powiedziała Gosia i wzięła ją pod rękę.

– Ha! dziękuję – powiedziała Justa, całując ją w policzek.

– Pokaż mi, jak to się robi.

– Dobrze – odparła Justa – lubisz długo?

– Lubię długo, ale nie jestem długopisem – uśmiechnęła się Gosia.

– Ha!

Szły przede mną i śmiały się w głos, patrzyliśmy na nie z Michałem. Za nami Maria z Adamem rozmawiali o wpływie słońca na cerę.

– Chciałbym, żeby zostało po mnie coś więcej niż koszt zużytych prezerwatyw – oznajmił w pewnym momencie Michał.

– Co? – dopytałem.

– Nie wiem, dziecko?

– Chcesz mieć dziecko?

– Nie wiem, może. Wiesz, to byłoby coś. Masz dziecko i wiesz, co masz robić, stabilizujesz się, nie masz wyjścia.

- Zawsze masz wyjście, popatrz na mojego ojca, zniknął, jak miałem cztery lata.
- Skurwiel.
- Może tak, może nie. Nie wiem. Ale brak pomysłu na przyszłość to chyba nie jest najlepszy powód, by mieć dziecko.
- Gdzie ty żyjesz? – odpowiedział Michał. – To podstawowy powód, by mieć dziecko.
- Wolałbym inaczej.
- Jak? – zapytał.
- Z miłości – odparłem, a Michał popatrzył na mnie i zrezygnowany pokręcił głową.

Gorące powietrze otulało nas, szliśmy na lotnisko. Powoli. Ciągnęliśmy za sobą walizki, które wydawały regularny odgłos. Mijali nas ludzie o oliwkowej cerze i czarnych włosach, mówiący w obcym języku. Duże miasta i wielopiętrowe budynki, drogi, mosty, place zabaw i parki z wyznaczonymi trasami na spacery istnieją, bo lubimy być blisko. Postanowiłem uśmiechnąć się do kogoś nieznanego, by dostać uśmiech zwrotny. Czasami to działa.

W samolocie Justa bawiła się moimi palcami u lewej dłoni.

- Co to było, to wczoraj? – zapytałem.
- Co?
- Smutek.
- Smutek – powtórzyła powoli.
- Nie widziałem cię nigdy takiej, zupełnie nie mogłem złapać kontaktu, przestraszyłem się.
- Chcesz, żebym cię uspokoiła? – zapytała bardzo spokojnie.
- Nie, nie o to mi chodzi, po prostu... – brakowało mi słów, zawstydziała mnie jej bezpośredniość. – Faktycznie potrzebowałem

poczuć się bezpieczniej. – Może tak, może chcę poczuć się spokojniej.

– Było mi smutno – powiedziała, zginając palce mojej dłoni, na które oboje patrzyliśmy – bardzo smutno, ale znam to uczucie i nie boję się go. Czasami lubię taki smutek, taki jak wczoraj, jest jak opowieść o czymś ważnym. O muzyce, o przeszłości, nie wiem. Bardzo poruszył mnie ten człowiek.

– Jarrett?

– Jarrett. Chwilami czułam, że w całej sali nie ma nikogo poza mną i nim, a jego palce nie powodują dźwięku, czas się zatrzymał. On grał całym ciałem. Słyszałeś, jakie śmieszne jęki wydawał w trakcie? Byłam kompletnie zahipnotyzowana – bawiła się moimi palcami, wyginała je coraz boleśniej, poddawałam się temu. – Gdy wyszliśmy, czułam się jak marionetka, ale zabrakło demiurga, który mną kieruje, potrzebowałam więcej muzyki, potrzebowałam być sama i nie myśleć o niczym, czy to złe? – zapytała i po raz pierwszy spojrzała na mnie.

– Nie, to nie jest złe, ładnie o tym opowiadasz. Zazdroszczę.

– Ale...? – zapytała.

– Nie ma ale.

– Gdyby nie było „ale”, nie przestraszyłbyś się.

– Nie było cię, zniknęłaś z rozmowy, z kontaktu, nie było ciebie.

– Nieprawda, byłam bardzo mocno i intensywnie, po prostu nie byłam dla ciebie – odpowiedziała.

Po chwili zaczęła mi opowiadać o sobie.

– Pod koniec studiów zachorował mój tato – mówiła. – Musiałam się nim opiekować, ale nie dawałam już rady, co chwilę się gubił, zapominał, nie rozpoznawał mnie. Praktycznie każdy wieczór spędzałam w domu. Co kilka tygodni odwiedzał nas jego stary

przyjaciel, starszy ode mnie o jakieś trzydzieści lat facet, bardzo przystojny, zabawny człowiek. Pewnego wieczoru, gdy tato poszedł spać, upiliśmy się i wylądowaliśmy w łóżku. Miałam ochotę i on też, drugi raz również miałam ochotę, ale trzeci, czwarty i piąty już nie, przytrzymał mnie i zwyczajnie gwałcił, trwało to kilka godzin. Miałam dosyć i nałykałam się leków, wylądowałam w szpitalu na trzy miesiące. Stwierdzili, że mam afektywną dwubiegunową, dali lit i wyciszyli.

– Lit?

– Taki lek stabilizujący, jak nie biorę tych stabilizatorów, to zazwyczaj wraca, na przemian mania i depresja.

– Możesz do nich pić?

– Nie powinnam, ale chwilowo nie biorę.

– Czyli lepiej ci?

– Najlepiej! I jak, uspokojony? – zapytała, puszczając do mnie oko.

– Zakochany – odpowiedziałem.

Pocałowała mnie i stwierdziła, że to może lepiej, że nie odpowiedziałem na jej pytanie. Może lepiej – pomyślałem, bo chciałem jej powiedzieć, że zawsze wybieram kobiety, które w pewnym momencie odchodzą, i jeszcze chciałem ją prosić, by tego nie zrobiła, żeby mi to obiecała. Dlatego nie powiedziałem nic. Nie dało się kłamać Juście. Być może to mnie w niej najbardziej zachwycało. Cokolwiek robiła czy mówiła, była w tym uczciwa, czasami boleśnie, ale przynajmniej wiedziałem. Przytuliłem ją mocno, na tyle, na ile jest to możliwe na siedzeniach tanich linii lotniczych, i poczułem bicie serca – jej albo mojego. Nie potrafiłem rozpoznać.

17

W domu przywitała mnie Siostra oraz Dita, wyjątkowo złąkniona czułości. Kotka, nie Siostra. Ta druga, odkąd pamiętam, zachowywała się tak, jakby niczego nie potrzebowała.

Opowiedziałem jej o wyjeździe, o Juście, zapytałem, co u niej i Grzegorza. Powiedziała, że wszystko po staremu, bezpiecznie i trochę nudno, ale ceni sobie spokój.

– A jak z Magdą? – zapytała.

– Nie mamy kontaktu, ona nie chce, a ja przestałem potrzebować.

– Myślisz, że kolejny związek to dobra rzecz w tym czasie?

– Minął rok.

– To mało po siedmiu latach. Nie tęsknisz za nią?

Odparłem, że nie tęsknię, ale gdy Siostra wyszła, a ja usiadłem na toalecie, zacząłem się nad tym zastanawiać. Porównywałem Magdę i Justę. Zawsze się porównuje. Myślałem, że z Magdą to będzie To i na zawsze, tak samo myślałem, będąc sześć tygodni z Agnieszką, tak samo myślę teraz, będąc z Justą. Zawsze myślę, że miłość jest na zawsze, każda miłość.

Wstałem z toalety, nie osiągnąwszy zamierzonego celu. Gdzieś wyczytałem, że każdy z nas nosi w sobie trzy kilo kamieni kałowych. Wizja ta mnie przerażała. Gdyby zebrać wszystkie

kamienie kałowe od wszystkich ludzi świata, to zyskalibyśmy jakieś 21 milionów ton produktu, z którego moglibyśmy zbudować niezłe górniarskie miasteczko. Byłem przekonany, że stałoby się ono atrakcją turystyczną. Od dwóch dni nie mogłem się wypróżnić. A to zawsze źle wróży. Często miałem tak przed terapią, psychologicznie znaczyło to tyle, że czegoś nie chcę powiedzieć czy, mówiąc dosadnie, wyrzucić z siebie. Ponoć. Poruszyłem ten temat na terapii, pani Ewa, oczywiście, zapytała mnie, co to według mnie znaczy.

– Czy wszystko musi coś znaczyć?

– Nie musi, ale może – odpowiedziała – każde wydarzenie czy odczucie płynące z ciała może być potraktowane jako informacja dotycząca pańskiej osoby.

– Czuję się nieswojo, rozmawiając o kupie w sposób poważny.

– Co to znaczy nieswojo?

– Zawstydzam mnie, że płacę sto złotych, by opowiedzieć o tym, że nie mogę od dwóch dni się załatwić.

– Mówił pan, że to się powtarza przed sesjami.

– Tak, ale za to zaraz po... nie chciałaby pani tego widzieć.

Pomimo moich początkowych oporów przegadaliśmy całą godzinę o kupie. Spotkanie terapeutyczne doprowadziło mnie do wniosku, że pupa zawiera w sobie skrajność, jak świadomość. Miałem według pani Ewy silny mechanizm obronny powstrzymujący mnie przed wyrażaniem złości i innych uczuć. Głównie wobec matki i ojca. Pupa, niczym świadomość, woli oddawać, wydawać, niż brać. By to się jednak stało, musi czuć się bezpiecznie. Dlatego zazwyczaj nie zwracamy się do obcych ludzi i nie lubimy załatwiać się w nowych, nieznanymi toaletach. A kto lubi, powinien iść – moim zdaniem – na terapię. Sednem świadomości, a zatem i pupy, jest

naprzemienna ekspulsja z retencją. Zaczyna się to w dzieciństwie: powstrzymywanie, siadanie na nocniku, trening czystości, a dalej roztaczany przez rodziców podziw nad tym, co wydalone, sprawdzanie kolorów, konsystencji, zachwyty pierwszą kupą oddaną do sedesu uczy nas od początku istnienia, że tyłek jest tworem magicznym, przepustką do lepszego życia. Świadomość i zmiana, tak jak pupa i robienie kupy, są niezbędnymi elementami życia poszukującego sensu.

Zagadka została wyjaśniona. Boję się terapii, pozostaję w napięciu, zatem powstrzymuję się, mam zatwardzenie. Jestem swobodny, zrelaksowany, nic nie ukrywam, siadam na toaletę, załatwiam sprawy niezbędne i po chwili wstaję. Pomyślałem, że mogę traktować własną pupę jako swoisty barometr. Tylko wciąż nie wiem, jak psychiczne zatwardzenie ma się do zjedzenia kilograma czereśni lub tabliczki czekolady. Można zatem oszukać psychikę. Wystarczy nie umyć czereśni.

Kolejna sesja, podczas której przemilczałem temat mojego związku. Justa o wszystkim opowiedziała pani Ewie, ale wolałem poczekać, jak się rozwinie sytuacja, niż narazić samego siebie na pasmo niewygodnych pytań. Głównie tego uczą w szkołach terapeutycznych, tak myślę. Jak pacjentowi powtórzyć ostatnie zdanie, które wypowiedział, by pomyślał, że słyszy je po raz pierwszy. Jak obserwować ruchy rąk, oczu, nóg oraz co znaczą westchnienia. I ostatnie, jak zadawać trudne pytania.

Kiedy wracałem z terapii, na przejściu dla pieszych stanęły obok mnie dwie dziewczynki z tornistrami. Mogły mieć najwyżej po dziesięć lat.

- O czym tak myślisz? – zapytała jedna z nich.
- Wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby wszystko było

z koronki.

- Takiej jak w firanie?
- Bardziej takiej jak na serwetkach u babci.
- Wszystko białe? – dopytała tamta.
- Białe i z koronki.

Przeszły na zielonym świetle, już nic nie mówiąc.

Próbowałem wyobrazić sobie cały świat z białej koronki, budynku, ulice, szyby wystaw, komputery, książki, ludzi. Ale co chwilę w mojej wizji pojawiał się pożar, który wszystko kończył.

Poszedłem do redakcji, Magu powiedziała mi, że dzwoniła Anna Dymna i że prosi o kontakt. Oddzwoniłem, okazało się, że wyjeżdża i bardzo jej zależy na wywiadzie, jeszcze dzisiaj. Poprosiłem ją o godzinę, chciałem się przygotować. Przeczytałem w Internecie artykuły o pracy terapeutycznej z osobami niepełnosprawnymi, kilka wywiadów, przygotowałem listę pytań i przeprowadziłem wywiad przez telefon. Wyszedł bardzo nieciekawie, trochę jak fragmenty Starego Testamentu, w którym opisywane są linie rodowe proroków. Wysłałem do autoryzacji. Po półgodzinie otrzymałem wywiad z drobnymi uwagami i pochwałami od Dymnej. Przesłałem tekst do korektorki. Po dwóch godzinach naczelna napisała mi w mejlu, że wywiad jest świetny, puszcza zajawkę na pierwszą stronę, potrzeba nam nazwisk, tak powiedziała. Nic z tego nie rozumiałem, odczuwając zarazem satysfakcję.

18

Kupiłem zapas jedzenia dla kotki i dla siebie. Dziś chciałem, by jedzenie dla ludzi było przygotowane w postaci pełnowartościowych chrupków, które sypałbym sobie do miski trzy razy dziennie. Być może rozwiązałyby to kwestię regularności wypróżniania się. Zadzwoił telefon.

– Zapraszam cię do mojego królestwa – pełna energii Justa przerwała sobotnie rozważania o karmie.

– Oooooooo – odpowiedziałem.

– Aaaaaaaa – zaśmiała się. – To przyjdiesz?

– Tak, przyjdę, co mam przynieść?

– Mam wszystko, Karłowata siedem przez trzy.

– Kiedy mam być?

– Zaraz!

Ucieszyłem się. Bardzo chciałem zobaczyć jej mieszkanie.

Kupiłem butelkę wina i ruszyłem na piechotę. Karłowata leżała jakieś pół godziny drogi spacerem ode mnie, nieopodal starego parku. Gdy zapukałem do drzwi, usłyszałem, że mam wejść.

W mieszkaniu panował półmrok, a na półkach, podłodze i parapetach porozstawiane były świeczki w różnych kolorach i kształtach, powsadzane do butelek, świeczników, słoików.

– Tu jestem! – zawołała Justa. Podążyłem w kierunku, z którego

dobiegał głos. Stała w kuchni, bosa, w niebieskiej pogniecionej sukience na ramiączkach, i mieszała coś w garnku. – Pocałuj mnie – poleciała, gdy podszedłem, i nachyliła się w moją stronę. – Myślałam, że świeceki pogasną, co tak długo?

– Szedłem na piechotę.

– I jak ci się podoba?

– Nastrojowo bardzo.

– Ha! Nastrojowo!

Rozejrzałem się po kuchni. Małe pomieszczenie z bordowymi ścianami, na których poprzyczepiano obrazy, rysunki, wycinki z gazet, głównie czarno-białe fotografie przedstawiające ludzi. Justa powiedziała, że wino niepotrzebne, bo będziemy pić miód domowej roboty, i zaprowadziła mnie do drugiego, jedyne poza łazienką pomieszczenia. Na dwóch ścianach zawieszono były różnokolorowe koszule, męskie, damskie. Stałem porażony tym widokiem. Wszystkie koszule pozszywano bokami, tworząc jedno płótno, z którego luźno wystawały rękawy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedziałem.

– Koszul?

– Tylu koszul, tapety z koszul! Jak to zrobiłaś?

– Pozszywałam wszystkie, a potem przyczepiłam na karniszach.

– Ale jak...

– Pamiątka po szpitalu, całe dni zszywałam koszule, dostawałam od pacjentek, od gości, kupowałam w lumpie, podoba ci się?

– Trochę przerażające – wyznałem osłupiały.

– Przygotowałam zapiekanekę z pomidorów, oliwek i sera, ale obawiam się, że się przypaliła – powiedziała. – Siadaj tutaj, nalej nam miodu, zapal i poczekaj.

Wróciła do kuchni. Podszedłem do ściany. Patrzyłem na koszule,

wsadziłem do jednego z wystających rękawów rękę. Zdziwiony. Usiadłem i zapaliłem papierosa, popijając miód. Po chwili przyszła Justa, niosąc na dwóch talerzach zapiekanekę.

– Smacznego – powiedziała.

Gdy włożyłem pierwszy kęs do buzi, poczułem smak ostrej spalenizny i chili. Mimo wszystko pogryzłem i przełknąłem.

– I jak? – zapytała Justa.

– Mhm. Ciekawe.

– Obrzydliwe. – Wypluła z ust kawałki jedzenia. – Obrzydliwe, przepraszam, zagapiłam się i wszystko się spaliło, zamówię pizzę.

– Nie trzeba.

– Trzeba – zaśmiała się i wyszła do kuchni zadzwonić.

Spróbowałem zjeść jeszcze jeden kawałek, ale musiałem popić go obfitą ilością miodu. Faktycznie obrzydliwe.

Justa usiadła obok mnie, zaczęliśmy się całować. Chciałem rozpiąć jej sukienkę, ale powiedziała, żebym poczekał, że to prawdziwa randka i dopiero po posiłku. Leżeliśmy obok siebie, na sobie i potem znowu obok, mocno przytuleni.

– Wyrzuciła mnie z terapii – powiedziała.

– Pani Ewa? – zapytałem zszokowany i usiadłem. – Jak to?

– Już tydzień temu o tym rozmawialiśmy, że to konflikt interesów, ja i ty nie możemy mieć jednej terapeutki, to sprzeczne z jej zasadami. Dziś to potwierdziła, powiedziała, że mam zadzwonić i znajdzie mi kogoś, ale nie jest dla nas dobre mieć tę samą terapeutkę, ona nie przyjmuje osób spokrewnionych ani par.

– Ale przecież jak zaczynaliśmy terapię, to się nie znaliśmy.

– Ale się poznaliśmy, dogłębnie. Wszystko jej opowiedziałam.

– I jak się czujesz? – zapytałem.

– Dziwnie, mimo wszystko trochę odrzucona, ale cała ta terapia

już mnie męczyła, również finansowo, poza tym znajdzie mi kogoś.

– I będziesz zaczynała od początku?

– Nie od początku, ona przekaże tej nowej osobie informacje o mnie.

– Ale będziesz musiała od nowa wszystko opowiadać.

– Nie wiem, czy się zdecyduję. Przejmujesz się bardziej niż ja.

– Jestem w szoku. To znaczy, że mnie też wywali?

– Nie, skoro mnie nie ma, ty możesz do niej chodzić, nie ma konfliktu.

– Ale dlaczego ciebie wyrzuciła, a nie mnie?

– W ogóle to nie wyrzuciła, ona mówi, że przerwała terapię dla dobra pacjenta. – Justa się zaśmiała. – Rozmawiałam z nią o tym od dłuższego czasu, a ty nie i pewnie dlatego to na mnie padło, poza tym ty jesteś tam dłużej, może bardziej cię lubi. – Puściła do mnie oko.

– Bez sensu – skwitowałem.

– Dajmy już spokój, pizza przyjechała.

Rozmawialiśmy o terapii, dzieciństwie, o naszych ojcach. Justa kolejny raz zadeklarowała, że pojedzie ze mną, gdy zdecyduję się swojego odwiedzić. Otworzyła okno, a wtedy rękawy na ścianie poruszyły się, rzucając upiorne cienie na sufit. Justa opowiedziała mi o pobycie w szpitalu. Przez pierwsze dwa tygodnie była na oddziale zamkniętym, głównie spała nafaszerowana lekami, potem przenieśli ją na oddział półotwarty, siadała w ogrodzie i zszywała koszule. Bez celu i pomysłu. Psycholog próbował z nią o tym rozmawiać, podsuwając pomysły, jakoby w ten sposób zszywała swoje dzieciństwo, ale odmawiała rozmów o koszulach.

– To było moje królestwo i ucieczka – powiedziała – nie chciałam tego interpretować, psychologia odbiera magię i wyjaśnienie

wszystkiego odnajduje w dzieciństwie, a ja chciałam, by moje koszule pozostały tylko moimi koszulami i niczym więcej.

Wciąż wiedziała, która koszula do kogo należała. Pamiętała historie osób, od których je dostała. Pokazywała mi poszczególne koszule i opowiadała:

– Ta popielata należała do Estery, schizofreniczki. Czekala na swojego brata, który ją kocha, każdego dnia wypatrywała go w ogrodzie, nocami wołała. Nigdy się nie pojawił. Czasami znajdowałam ją na łóżku, w środku nocy, gdy siedziała i mówiła do niego.

Co mówiła, zapytałem. Mówiła mu o Bogu, że miłość jest dobra, że każda miłość jest dobra, żeby do niej przyszedł i został z nią na zawsze, że Bóg rozumie miłość. Wciąż powtarzała miłość i Bóg. Czasami krzyczałam na nią, żeby poszła spać, koszulę dostałam za paczkę fajek. W szpitalu za fajki można było załatwić bardzo dużo. Po dwóch tygodniach, jak w nocy dostała ataku i pobiła sanitariusza, bo ten nie chciał wpuścić brata do jej pokoju, przenieśli ją na oddział zamknięty. Więcej jej nie widziałam. A ta koszula – kontynuowała Justa – należała do Jacka. Oddziały nie były mieszane, ale z mężczyznami spotykałyśmy się w ogrodzie. Jacek stracił dwóch chłopaków podczas wypadku samochodowego. Załamał się i próbował zabić. On prowadził. Dużo rozmawialiśmy o śmierci, sensie. Był mądrym facetem, wykładał prawo. Nie potrafił sobie wybaczyć. Wciąż powtarzał, że noce i dni są takie same, gdy nie możesz sobie wybaczyć. Każdy sen i każda myśl była o jego synach. Pokazywał mi ich zdjęcia, płakał. Tak go pamiętam, jak stoi przy płocie i mówi o snach, o synach. Gdy dowiedział się, że zszywam koszule, przyniósł mi swoją ulubioną i powiedział, żebym ją wyprała przed zszyciem, chociaż była czysta. Bardzo chciał,

żebym mimo wszystko ją wyprała. Tak zrobiłam. Dopiero potem zaczęłam rozpoznawać, kiedy ktoś już wiedział, że się zabije. Wzrok takiej osoby stawał się spokojny, przestawała argumentować, czasami rozdawała swoje rzeczy. Jacek tej nocy powiesił się na pidżamie w łazience. To ta koszula – Justa wskazała na zieloną koszulę w paski. Zapytałem, czy nie przerażają jej te wspomnienia. Odparła, że nie, bo lubi mieć demony pod kontrolą, obok siebie, a nie pod łóżkiem. Zaśmiała się i nagle zaczęła płakać. Przytuliłem ją i zapytałem, co się dzieje.

– Nic konkretnego – powiedziała – po prostu jak przypominam sobie swoje dziecięce marzenia i wizje tego, jaka będę, mając trzydzieści parę lat, to nie znajduję w tych planach nic z tego, kim jestem, nic z tego, co mam. Miałam mieć mniej blizn i więcej siebie.

Pocałowałem ją. Położyliśmy się na łóżku, powiedziała, że nie chce się kochać i że chciałyby zasnąć, przytulona. Chwyliła mnie za rękę i usnęła. Długo patrzyłem na rękawy koszul, które swobodnie kołysały się nad moją głową.

Obudziła mnie Justa, siedziała na mnie.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dobry.

Miałem erekcję. Zaczęła poruszać się miarowo, patrzyłem na jej piersi i twarz. Ona patrzyła mi w oczy. Chwyliłem ręką za koszulę, która wisiała tuż obok mnie.

– Zostaaaaaaa... aaaw – wydyszała – to... Ka... zik.

– Kazik?

– Psy... aaa... chiaaaa... traaa – powiedziała.

– Traaaa.

Puściłem koszulę. Justa zaczęła szybciej oddychać, krzyczała. Położyła się na mnie. Zostaliśmy tak przez chwilę, wpadając

między jawę a sen. Wstaliśmy, wykąпалиśmy się. Justa zapytała, czy chcę śniadanie. Chciałem. Jednak gdy otworzyła lodówkę, okazało się, że ma tylko suszone pomidory w słoiku i kawę oraz kilka jabłek.

– Może zapiekanki z wczoraj? – zapytała z uśmiechem.

– Nie, dziękuję, kawa wystarczy.

– Jeśli chcesz, pójdę coś kupić, nie jadam śniadań.

– Nie trzeba, muszę iść do pracy. Co będziesz dzisiaj robiła?

– Popracuję, będę tłumaczyła – odpowiedziała markotnie – po południu idę odwiedzić tatę, coś mu zaniosę do jedzenia.

– Mogę pójść z tobą.

– To nie są przyjemne wizyty – odparła. – Ale jeśli chcesz, przyjdź po mnie o szesnastej.

– Dobrze.

Justa bardzo niechętnie i mało mówiła o swojej pracy. Zajmowała się tłumaczeniami dokumentów, artykułów, czasami udzielała korepetycji z francuskiego. Gdybym mogła, nie pracowałabym w ogóle – powiedziała kiedyś i dodała, że nienawidzi terminów, oczekiwań i poprawek. Nie utrzymała się w żadnej pracy dłużej niż rok, obecnie przyjmowała pojedyncze zlecenia, współpracowała z kilkoma wydawnictwami.

19

W pracy Magu poinformowała mnie, że mam iść do naczelnej.

– Aureliusz Kic, bardzo dobry wywiad – do wszystkich zwracała się pełnymi imieniem i nazwiskiem, nie uznawała zdrobnień.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Dzwoniła wszak Janina Ochojska i powiedziała, że jesteśmy stronnicy, piszemy tylko o Stowarzyszeniu Dymnej, pytała dlaczego. Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, i postanowiłam zapytać ciebie.

– Tak wyszło, poprzedni tekst o Dymnej nie wyszedł najlepiej i musieliśmy poprawić – zacząłem się tłumaczyć, gdy mi przerwała.

– Ty musiałeś, nie my, na twoje szczęście ostatni tekst jest dobry, wszak musisz napisać teraz o Ochojskiej i jej Akcji Humanitarnej.

– Naczelną w redakcji nazywaliśmy Krzakiem ze względu na jej umiłowanie do słowa „wszak”. Czasami, gdy mówiła, wyobrażałem sobie, że jej głowa z każdym wypowiedzianym słowem zmienia się w coraz większy, gorejący krzew. – Jesteśmy gazetą, to znaczy, że jesteśmy obiektywni, nie interesują mnie twoje powiązania z Dymną i twoja do niej sympatia.

– To nie jest sympatia... – zacząłem, ale znowu mi przerwała.

– Aureliusz Kic, ty mnie tu nie ściemniaj, wiem, że wydzwaniała za tobą, ja nie mam nic do tego, wszak musisz pisać

o wszystkich organizacjach, nie możemy sobie pozwolić na złą reputację w pozarządówce, po Ochojskiej zajmiesz się Owsiakiem.

– Dobrze.

– No – odparła błyskotliwie – i powiedz Magu, żeby mi przyniosła kawy.

Przekazałem Magu polecenie, na co mi odpowiedziała, że nie jest pieprzonym ekspresem do kawy. Umknąłem szybko do swego biurka i wysłałem Ochojskiej propozycję artykułu. Zadzwoił Michał i powiedział, że zrywa z Marią, co nawet było jej na rękę, i zapytał, czy wpadnę. Wyjaśniłem, że jestem umówiony z Justą i mogę dopiero wieczorem. Pasowało mu, będzie czekał na mnie w garażu. Chwilę później zadzwoniła Gosia oznajmić, że rozstają się z Adamem.

– Kto kogo rzucił? – zapytałem.

– To był jego pomysł, ale nie oponowałam.

– Jak się czujesz?

– Nie bardzo w to wierzę. Myślę, że to jego kolejna rozgrywka. Z drugiej strony brzmiał bardzo poważnie. Potrzebuję pogadać.

Umówiłem się z nią na wieczór, miała dołączyć do mnie i Michała. Posiedziałem chwilę przy komputerze i poszedłem na obiad do miasta. Byłem bardzo śpiący, chciałem, żeby już był wieczór. Postanowiłem zjeść w Małej Sowie, knajpce położonej na parterze starej kamienicy, w której wszystkie ramy w oknach mają kolor czerwony, taki jak usta Justy. Zamówiłem pyzy z sosem myśliwskim i surówkami.

W radiu fizyk kwantowy dyskutował z filozofem o nielinearnej strukturze czasu. Fizyk powoływał się na eksperyment myślowy Schrödingera. Naukowiec zastanawiał się nad tym, co by się stało, gdyby w pudełku zamknąć kota, źródło promieniotwórcze, które

emituje co jakiś czas cząstkę, i detektor promieniowania, którym może być na przykład licznik Geigera. Nie ma możliwości obserwacji tego, co się dzieje z kotem. Gdy licznik wykryje cząstkę, uwolni trujący gaz, a ten zabije niewinnego kota. Jeśli natomiast licznik nie zarejestruje promieniowania, kot przeżyje. Warunki, w tym czas eksperymentu, zostały ustalone w taki sposób, by szansa przeżycia kota wynosiła 50%. Dla fizyki kwantowej kot jest w stanie tak zwanej superpozycji, to znaczy, że jest zarówno żywy, jak i martwy. Dokładnie tak jak z moim ojcem, pomyślałem. Nie ma go i jest. Przerażony życiową perspektywą hipotetycznego kota słuchałem dalej, jak pełen pasji filozof opowiadał o Ettore Majoranie, młodym fizyku zafascynowanym eksperymentem swego mentora, Schrödingera. W 1938 roku w trakcie rejsu z Palermo do Neapolu Ettore wysłał do rodziny dwa telegramy, w pierwszym napisał, że zamierza się zabić, w drugim natomiast, że to nie jest prawda. Nie wiem, czego chciał dowieść, i nigdy się nie dowiem, ponieważ Ettore zaginął. Może się zabił, może wypadł za burzę, może zamknął się w klasztorze, a może rozpoczął nowe życie w Argentynie. Nagle przypomniała mi się kartka, którą mój tato wysłał po śmierci mamy. Po wielu latach dał znać w ten sposób o swoim istnieniu. Na widok pocztówki Siostra powiedziała, że ojciec jest dla niej tak samo martwy jak matka. Jak Ettore – pomyślałem – jak kot znajdujący się w superpozycji. Wtedy na widok kartki niezwykle się ucieszyłem, pomyślałem, że jest, mój tato istnieje, ale dźwięczały mi w uszach słowa Siostry, że jest martwy, od lat martwy. Zatem istniał, chociaż go nie było. Aby moja metafora była kompletna, potrzebowiałem jeszcze znaleźć odpowiednik pudełka, w którym poza ojcem znajdowałby się radioaktywny atom i licznik Geigera. W wyobraźni od razu

zobaczyłem dom rodzinny, matkę i babkę. Przyszedł kelner.

– Czy uważa pan, że możemy być naraz żywi i martwi? – zapytałem go w chwili, w której podał mi rachunek.

– Jedzenie panu nie smakowało? – zapytał i spojrzał na mnie przestraszonymi oczami.

– Nie, bardzo dobre, po prostu zastanawiam się, czy to możliwe – wskazałem palcem na głośnik znajdujący się nad moją głową. – W audycji właśnie mówili o kocie, którego zamknięto w pudełku wraz z trucizną, która go zabije. Czy ten kot jest żywy, czy martwy?

– Nie wiem, proszę pana – odpowiedział speszony chłopak – czy mam zawołać menadżera?

– Nie, nie, dziękuję – postanowiłem rozładować jakoś atmosferę, uśmiechnąłem się i dodałem: – Przecież i tak wszyscy kiedyś umrzemy, prawda?

– Tak – kelner nie odpowiedział uśmiechem. – Płaci pan kartą czy gotówką?

Zapłaciłem kartą i poszedłem do domu, myśląc o tym, gdzie jest Ettore. Być może mój ojciec również zniknął z powodu jakiegoś eksperymentu, odkrycia, chociaż stawiałbym w jego przypadku na obszar psychologii, prawdopodobnie psychopatologii, a nie fizyki kwantowej. Wiedziałem, że muszę się tego dowiedzieć. Nie chodziło już nawet o przytulenie się do niego, chociaż również. Chciałem wiedzieć, otworzyć to pudełko i znaleźć go żywego, dopóki jest to jeszcze możliwe. Chociaż moja babka zwykła mówić, że z moim ojcem jest jak z otwieraniem puszki, nie pudełka. I miała na myśli puszkę Pandory.

Wróciłem do domu, przebrałem się i poszedłem po Justę.

W mieszkaniu panował półmrok, miała zasunięte zasłony i potworny bałagan. Przywitaliśmy się, podała mi reklamówkę

z zapiekanką. Na moje przestraszone spojrzenie wyjaśniła, że zrobiła nową. Szliśmy do Domu Pomocy Społecznej, trzymając się za ręce. Powiedziała, że kiepsko się czuje i że jestem dla niej za dobry.

– Co to znaczy? – zapytałem, wstrzymując oddech, ponieważ przypomniały mi się te momenty, w których kobiety mówiły mi, że jestem dla nich za dobry. Zazwyczaj po wypowiedzeniu tej kwestii odchodziły, ofiarowały przyjaźń, całowały mnie w czoło albo robiły wszystkie te rzeczy naraz.

– Nigdy nie byłam w... kulturalnym związku – wyjaśniła. – Boję się, że cię zranię.

– Jak? – Byłem coraz bardziej przestraszony.

– Nie wiem jak, nie planuję przecież tego, po prostu czuję, jak wszystko we mnie zaczyna się ruszać, taka fala, która zalewa mnie całą i niszczy wszystkich dookoła. Już to kilka razy przerabiałam. Nie mam na nią siły i pożądam jej, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Gdy jest mi tak smutno, że nie ma miejsca na nic innego, przychodzi wraz ze smutkiem wytchnienie, w rozpacz zawsze jest ulga i uwolnienie od wysiłku. Tak bardzo przyzwyczaiałam się do smutku, polubiłam go, że czasami myślę, że jest mi potrzebny, aby odpocząć.

– Tak jest teraz? – dopytałem.

– Nie jest, ale może być. Sama nie wiem. Jeszcze rano miałam ochotę podskakiwać i przemalować kuchnię, ale gdy zaczęłam robić obiad dla taty, wszystko odeszło. Cały dzień przeleżałam w łóżku.

– Mogę coś zrobić?

– Robisz – uśmiechnęła się lekko. – Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

– Nie jestem.

– Jesteś, przywozisz mnie nieprzytomną znad jeziora, znosisz moje nastroje, dlaczego jesteś dla mnie dobry?

– Kocham cię – wyznałem.

– Kochasz mnie – uściśnęła mocniej moją rękę, zatrzymała się i przytuliła do mnie, zaczęła płakać, a w pewnym momencie powiedziała: – I ja cię kocham, Arku, dziennikarzu, ale obawiam się, że to wcale nie jest dobre.

– Co? – zapytałem.

Nic nie odpowiedziała i dalej szliśmy w milczeniu. Czułem się jak w pułapce, z jednej strony chciałem puścić rękę Justy i pobiec do swojego domu, zamknąć się przed nią, uratować. Silniejsza jednak była miłość, czymkolwiek ona była, ciepło dłoni, nadzieje, poczucie, że żyję, że jest w tym sens, bo ona jest obok mnie.

Ojciec Justy siedział na łóżku i oglądał telewizję, a gdy podeszła do niego, powiedział, że ma dosyć badań i nigdzie nie pójdzie.

– Nie jestem lekarką – odparła. – To ja, Justyna, twoja córka.

Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu, potem skierował wzrok na mnie, uśmiechnął się i powiedział:

– Marceli, stary draniu, znowu wyjeżdżasz.

– Czy ja wyjeżdżam? – poczułem się zagubiony.

– Nie żartuj sobie ze mnie, pojedę z tobą, pewnie, że pojedę – i wrócił do oglądania telewizji.

Justa stanęła przy oknie, popatrzyła na ojca smutnym wzrokiem i wyjaśniła mi, że Marceli to przyjaciel taty, który zmarł kilka lat temu. Posiedzieliśmy przez mniej więcej godzinę z ojcem Justy, nie rozpoznał jej ani przez chwilę, rozmawiali o zatrutym jedzeniu, padło kilka pytań, głównie oderwanych od rzeczywistości. Gdy wyszliśmy, Justa powiedziała mi, że nie ma już taty. Kimkolwiek

był, został tylko alzheimer, czasami ma przebłyski – dodała – widzi we mnie Justynę, poucza mnie i każe się ciepło ubierać, innym razem płacze i wspomina mamę, nie potrafię tego spokojnie znosić, tych momentów, gdy jest świadomy. Wolę, gdy bredzi bez sensu, gubi się i zadaje durne pytania. Gdy przebudza się w nim na chwilę świadomość, we mnie rośnie nadzieja, że może mam tatę, ale to gówno prawda. Jeśli tylko możesz i chcesz odzyskać swojego, zrób to.

– Zrobię – zdecydowałem.

Odprowaǳiłem Justę do domu. Przeprosiła, że chce spać i dodała, że to prawda, że mnie kocha.

20

Dochodziła siedemnasta. Przyszło mi do głowy, by odwiedzić mamę i babkę na cmentarzu, ale nie miałem na to siły. Pojechałem od razu do Michała. Po drodze myślałem o smutku Justy, jej ojcu, o sobie, o tym, czy naprawdę jestem dobry. Słyszałem to od wielu kobiet – że jestem dobry. Przypomniała mi się Agnieszka, która mówiła, że jestem taki dobry i odwdzięczała mi się tyłkiem odwróconym w moją stronę, gdy zasypialiśmy. Nie znoszę być dobry. Nie mam z tego żadnych korzyści. Nie jest w modzie być dobrym, tych dobrych się porzuca, a zostaje się z gnojkami. Przy dobrych się wypoczywa od życia, a z gnojkami bawi się do rana. Chciałem być gnojkiem.

Zastałem Michała w garażu, na którego podłodze leżało mnóstwo części.

- To motocykl?
- Tak – powiedział.
- Pierwszy raz widzę, żebyś rozłożył go na tak małe części.
- Rozkręciłem wszystko, co się dało, i teraz nie potrafię tego złożyć, kompletnie nie potrafię.

Usiedliśmy na murku, otworzyliśmy po piwie. Na niebie wiatr pomieszał chmury z czerwoną poświatą. Mieliśmy widok na motocykl w stanie rozkładu, pole, jeszcze dalej szereg domków

jednorodzinnych, w tym ten Michała, daleko za nimi tory i w końcu zachód słońca. Opowiedziałem mu o wizycie u ojca Justy, słuchał w milczeniu, jakby przygnębiony.

– Co cię gryzie? – zapytałem.

– Ten motocykl, wiesz, myślę, że już nie uda mi się go złożyć, niektóre części praktycznie poodrywałem.

– Dokupisz nowe.

– Nie wiem, czy mi się chce, nie wiem po co – zawiesił głos – motor, praca, wstawanie, Maria.

– Przybiło cię to rozstanie?

– Nie. Nie wiem, może, chyba nie, wiesz, ja nie byłem nawet zakochany, już nie pamiętam, jak to jest być zakochanym.

– Wydawało mi się, że zakochujesz się co chwilę.

– Mnie się, kurwa, też wydawało.

Maria powiedziała, że ten związek donikąd nie prowadzi, Michał odparł, że donikąd jest za drzwiami. Rozpłakała się i poskarżyła, że źle ją traktuje, przyznał jej rację, zabrała swoje rzeczy i wyszła.

Michał poszedł rozkręcać motocykl. Gdy rozmawialiśmy, podjechał samochód, zauważyliśmy w środku Gosię i Adama, rozmawiali kilka minut. Widzieliśmy ich usta i gwałtowne ruchy rąk.

Przyglądaliśmy się w milczeniu. W pewnym momencie drzwi się otworzyły, Gosia wyszła, trzasnęła nimi i kopnęła oponę. Auto odjechało. Gosia podeszła do nas szybkim krokiem.

– Co za bachor! Kurwa! Dajcie piwo.

Michał podał jej piwo i zapytał, co się stało.

– Wielkie gówno. Śmierzące – wzięła spory łyk piwa i wykrzywiła twarz – ciepłe, niedobre – wzięła kolejny duży łyk – zostawia mnie. Ten bachor ma czelność mnie zostawić.

– Jakże podał powody? – dopytałem.

– A czy to ważne?! – odkrzyknęła Gosia i napiła się znowu. – Postawił mi ultimatum. Albo gdzieś wyjedziemy razem, albo weźmiemy ślub, albo pójdziemy do poradni małżeńskiej, albo mnie zostawi. Powiedziałam mu, żeby się pierdolił. Facet nie będzie mnie szantażował.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Boże, kurwa, Arku – Gosia patrzyła na mnie, po czym na dłuższą chwilę zamknęła powieki. – Ta terapia ci szkodzi. A jak wyglądam? Jestem zła. Wściekła! Nie widać?

– Widać – rzucił Michał, przynosząc z garażu kolejne trzy piwa.

– Stwierdził, że chcę się bawić całe życie, że się boję bliskości. A on jest gotowy budować poważny związek. Rodzinę. I chciałby ze mną. Ale jeśli ja nie chcę, to odejdzie. Niech odchodzi. Niech spierdala. – Gosia zgmiotła puszkę i rzuciła ją pod nogi.

– Później to posprzątasz – powiedział Michał z uśmiechem.

– Nie rozbawiaj mnie. Chcę być zła. Mam jeszcze kilka rewelacji. Spotyka się z tą twoją pindą Marią. Od powrotu z Mediolanu spotykają się codziennie. Wiedziałaś o tym? – Popatrzyła na Michała.

– Nie. A spali ze sobą?

– A jakie to ma znaczenie? – wtrąciłem. – Chyba ważne, że się spotykają?

– Ma znaczenie. Znam Adama, wiem, że się nie bzyknęli – mówiła Gosia. – Ale pewnie dziś to zrobią. To powiedzcie mi, na tym polega miłość? On ma w głowie gotową instrukcję obsługi. Wie, jak ma wyglądać związek, by było dobrze. Wszystko zaplanowane. Ja mam po prostu grać rolę, którą mi napisze. Niech się pieprzy.

– Zatem dobre z nas swatki – podsumował Michał. – Maria zdaje się kogoś takiego szukać, powinni się nam jakoś odwdzięczyć.

– W dupie mam jego wdzięczność – rzuciła Gosia i poszła sikać w krzaki, cały czas mamrocząc coś pod nosem. Chociaż lubiliśmy spotkania w garażu, odległej od miejskiego zgiełku przestrzeni, to jego wadą był brak toalety, a nie zawsze chciało nam się chodzić kilkaset metrów do domu Michała.

Stwierdziliśmy, że w każdym związku w pewnym momencie pojawia się chęć, by ktoś pierwotnie fascynujący, idealny nagle stał się kimś, kogo chcemy mieć, a nie kimś, z kim chcemy być. Powiedziałem, że jesteśmy we troje bardzo w tym do siebie podobni. Gosia odparła, że gówno prawda, bo ja jestem kochaniutki i miły, Michał jest cwany gnojkiem, a ona wspaniałą boginią i że nie widzi tu żadnych podobieństw. Oberwała za to od Michała śrubką z motocykla. Gosia powiedziała, że w takim razie gówno – nadużywała dziś tego słowa – a nie motor sobie złoży, chwyciła śrubkę i rzuciła ją w trawę. Ku mojemu zdziwieniu Michał się nie zezłościł, przeciwnie. Chwycił jakiś przedmiot, który wyglądał jak filtr powietrza, i też nim rzucił w trawę.

– Co robisz? – zapytałem. – Teraz już na pewno tego nie złożysz.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Mam to w dupie. – Podnosił kolejne części motocykla i rzucał je przed siebie.

Patrzyliśmy na niego w milczeniu, a po chwili się przyłączyliśmy. Skakaliśmy po cylindrach, świecach, rurach, zgniecionej blasze. Zmęczeni, przyjemnie pijani, popatrzyliśmy na dzieło swojego zniszczenia, a potem na siebie, Michał się śmiał.

– Nie żałujesz? – zapytała Gosia.

– Nie wiem. Myślę, że raz w życiu zdarza się taka Miłość. Taka Miłość, po której każda następna musi okazać się mniejsza, taka, do której porównuje się wszystkie inne, przez co te wszystkie inne skazane są na porażkę.

– Nie zgadzam się – zaproponowałem. – Można kochać wiele razy, to po prostu kwestia twojego myślenia.

– Nawet jeśli to kwestia mojego myślenia, to co to zmienia? – spytał Michał. – Nie wiem, jak mam wracać do życia, w którym dzieję się tylko ja.

Milczeliśmy. Michał rozejrzał się po zgniecionych rzeczach, spojrzął na nas. Powiedziałem mu, że my jesteśmy. A jesteśmy jak uśmiech kota z Cheshire – dodała Gosia. – Ten, który znika jako ostatni.

21

Tej nocy zdarzył mi się sen w bardzo wyraźnych kolorach. Śnił mi się mały chłopiec z bujną czupryną, miał maksymalnie dwanaście lat. Na polnej górcie, obok starego domu uczył się latać. Wiedziałem, że uczy się tego już od lat. W końcu udało mu się wzbić w powietrze, obserwowała to przypadkowa para turystów, kobieta i mężczyzna. Chłopiec i para turystów pobiegli do miasta, biegli i biegli, aż stanęli przed wielkimi schodami, którymi weszli do pokoju. Za biurkiem siedziała komisja Poważnych Ludzi. Stwierdzili, że umiejętność latania musi być przez nich potwierdzona, inaczej nikt w to nie uwierzy. Poważni Ludzie, chłopiec i para turystów wybrali się z powrotem na górkę. Chłopiec rozłożył ręce jak za pierwszym razem, ale nie potrafił wzbić się w powietrze. Członkowie komisji powoli odchodzili. Dwoje turystów rozplakało się i również zaczęli schodzić z górkę. W tym momencie zauważyłem, że to moja mama i tata. Chłopiec został sam na górcie i cały czas próbował wzbić się w powietrze. Bez skutku. W pewnym momencie spojrzał na mnie, pokręcił smutno głową, a ja się obudziłem.

Była piąta rano, leżałem na łóżku z otwartymi oczami, przestraszony. Miałem poczucie, że chłopiec autentycznie mnie zauważył, że jest, żyje w równoległym świecie i patrzy na mnie.

Wiedziałem, że już nie usnę. Spojrzałem na śpiącą obok Justę, kolana miała przyciśnięte do brzucha. Od kilku dni spędzała u mnie wszystkie noce. Wstałem, zaparzyłem kawę, nasypałem jedzenia dla Dity i zapaliłem papierosa, który smakował nadzwyczaj obrzydliwie. Włączyłem laptopa, sprawdziłem, co się dzieje na Face booku, dołączyłem do grupy „Chodziło o miłość”. Zacząłem pisać artykuł o trudnościach finansowych lokalnego domu dziecka, jednak nachalnie powracało do mnie wspomnienie turystów-rodziców oraz wyraz oczu chłopca ze snu. Wiedziałem, że gdybym mógł spotkać się z nim w prawdziwym świecie, stałoby się coś nieodwracalnego i uwalniającego. Chciałem, by przyśnił mi się kolejnej nocy, zarazem mając nadzieję, że już nigdy, w żadnym śnie nie spojrzy na mnie. Siła tych odczuć, ich irracjonalność i ambiwalencja przestraszyły mnie. Uczepiłem się myśli, że to zwykły sen, wyraźny, ale zwykły sen i musi się wiązać z wizytą w domu dziecka, która wzbudziła we mnie sporo emocji. Jeśli kilka razy zacząć myśleć o kłamstwie jako o czymś prawdziwym, jeśli dodatkowo wypowiedzieć je na głos, tak by usłyszeć je samemu i by inni je usłyszeli, zamieni się w prawdę. Tak to działa.

Wróciłem do pisania artykułu. Dzisiaj miałem iść na terapię, ale stwierdziłem, że nadrobię zaległości zawodowe. Mijał kolejny tydzień, a ja nie chciałem widzieć się z panią Ewą po tym, jak usunęła Justę z terapii. Poczekam do kolejnej sesji. Bardzo chciałem, aby Justa już wstała, chociaż wiedziałem, że nie nastąpi to przez najbliższe kilka godzin. Chodziła spać bardzo późno, około czwartej, piątej w nocy, wstawała po południu. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie bałem się mordercy, gdy zostawałem sam w domu, obecny niepokój przypominał tamten sprzed lat, chociaż żadnego mordercy nie było. Obejrzałem się jednak za siebie, na

regał z książkami. Z tej samej potrzeby, która zmusza, by obrócić się, gdy nocą wracamy ciemną uliczką do domu. Z powodu myśli, nie hałasu. Przypomniało mi się, jak wyobrażałem sobie, że mój palec wskazujący ma magiczną moc i jeśli trzymam go skierowanego do góry, to odpycha on mordercę, który leci gdzieś w kosmosie w moim kierunku. Użycie palca powodowało, że oddalał się on od Ziemi z prędkością światła. Spojrzałem na swój palec, wyprostowałem go i zgiąłem ponownie. To głupie – pomyślałem. Wiedziałem zarazem, że jeśli skierowałbym teraz wyprostowany palec w kierunku sufitu, obudziłbym stare demony. Wróciłem do pisania artykułu.

Po jedenastej wysłałem esemesa do terapeutki, że odwołuję sesję. I tak będę musiał za nią zapłacić. Jeśli nie odwołam spotkania na minimum dwadzieścia cztery godziny przed terminem, ponoszę opłatę. Taki zawarliśmy kontrakt. Zadzwoiła Siostra.

– Co słyhać? – zapytałem.

– Interesuje cię to? – odpowiedziała tonem bardzo suchym i poważnym.

– O co chodzi?

– O to, że jak się zakochasz, to znikasz z kontaktu ze swoją siostrą, nie dzwonisz, nie odwiedzasz mnie, a po wszystkim to ja cię zbieram i pocieszam.

– Zakładasz, że nie wyjdzie mi z Justą?

– Nic nie zakładam, do tej pory tak było i nie o tym mówię, a o tym, że zniknąłeś z kontaktu.

– Co to znaczy, że do tej pory tak było?

– Arku, no jak co to znaczy, rozstałeś się z Agnieszką, wcześniej się rozwiodłeś, wcześniej...

– Halo, halo – przerwałem jej. – Po co ta litania, teraz jest

inaczej, kochamy się, śpi u mnie obok, jest zjawiskowa.

– Mówiłeś, że jest chora.

– Nie wiem, czy jest chora, tak powiedział jej psychiatra, chodzi, je, pracuje, to chyba dobrze o niej świadczy, co?!

– Wszyscy jemy, pracujemy i chodzimy.

– Nie wszyscy – zaoponowałem. – Niektórzy jeżdżą na wózkach i mają renty, i są karmieni sondą.

– Nie bądź dzieckiem, jak będziesz chciał, to się odezwij. –

Rozłączyła się.

– Dobrze! – krzyknąłem do słuchawki.

O ile według mojej terapeutki nie wyrażam złości, wydaje mi się, że czasami wyraźnie ją odczuwam w szczęce i dłoniach, bo jedno i drugie zaciskam bardzo mocno. Przez chwilę myślałem o całej rozmowie, dopadły mnie potężne wyrzuty sumienia, zadzwoniłem do Siostry i ją przeprosiłem, miała rację. Do tej pory, ilekroć się zakochiwałem, kontakt między nami stawał się słabszy, a w najtrudniejszych chwilach, najbardziej smutnych, zawsze mogłem na nią liczyć. Umówiliśmy się na kino, tylko ja i ona.

Skończyłem pisać artykuł, Justa się obudziła i przyszła do kuchni. Powiedziała, że boli ją głowa i poprosiła o kawę. Patrzyła w kubek, ja patrzyłem na nią.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie.

– Coś ci się śniło?

– Nie pamiętam.

– Co się dzieje?

– Nic, właśnie nic się nie dzieje – powiedziała i poszła do łazienki.

Bałem się takich chwil, kiedy Justa zapadała się do środka samej

siebie, nic nie mówiła, patrzyła martwo w jeden punkt. Zapytałem ją, na co ma ochotę, powiedziała, że chciałaby jeszcze spać, zapytałem, co z pracą, powiedziała ze złością, że ma ochotę spać i czy mam coś przeciwko, by wróciła do łóżka. Nie miałem. Chciałem, żeby mnie zapytała, co mi się śniło, jak się czuję, ale nie było to na miejscu i nie było na to miejsca. Słyszałem, jak jej telefon dzwoni kilka razy, w pewnym momencie rzuciła go do przedpokoju. Podniosłem aparat, założyłem klapkę, która odpadła, i wyłączyłem go. Wykonałem kilka telefonów do redakcji, odwołałem spotkanie z Siostrą, nie była zadowolona, ale nie chciałem zostawiać Justy samej w domu w takim nastroju.

Włączyłem Zeppelinów, zrobiłem kanapki. Przypomniało mi się, jak chciałem zrobić niespodziankę Siostrze, mamie i babce.

W szkole na zajęciach technicznych przygotowywaliśmy desery, postanowiłem, że zrobię to samo w domu. Poprosiłem Siostrę o pieniądze na galaretkę i owoce oraz o dochowanie tajemnicy. Zamknąłem się w pokoju z czajnikiem, deską do krojenia i niezbędnymi produktami. Z barku wyjąłem sześć kryształowych kielichów, których nigdy do niczego nie używaliśmy. Po jakichś trzech godzinach, gdy owoce zanurzone w galaretkę zamaryły w bezruchu, zszedłem do kuchni. Powiedziałem wszystkim, żeby usiedli przy stole, bo będzie niespodzianka. Mama również podniosła się z kanapy, dyskretnie uśmiechnęła, dotknęła włosów na mojej głowie i usiadła obok babki. Wróciłem po desery. Sześć kielichów ustawiłem na tacy, szedłem bardzo powoli. Gdy przechodziłem przez drzwi prowadzące do kuchni, zahaczyłem ramieniem o klamkę i kielichy poleciały na podłogę. Poza jednym rozbiły się wszystkie. Babka od razu wstała i pobiegła do barku. Mama spojrzała na mnie smutnymi oczami i spuściła głowę,

Siostra podeszła i zaczęła zbierać resztki. Stałem chwilę nieruchomo, po czym się rozplakałem. Babka po powrocie zapytała, dlaczego użyłem kryształów, mówiła, że to pamiątka po jej mamie, że kielichy są starsze nawet od niej i że to najcenniejsze, co miała. Daj mu spokój, powiedziała Siostra, ale babka kazała jej się zamknąć i wyszła na podwórze. Mama nie przestawała płakać, postawiłem przed nią jedyny kryształ z galaretką, który się nie stłukł. Popatrzyła na mnie i zapytała, gdzie jest łyżka, pobiegłem do kredensu, podałem jej łyżkę, zaczęła jeść. Powiedziała, że smakuje bardzo dobrze. Gdy sprzątaliśmy z Siostrą resztki z podłogi, nie mogłem przestać płakać. Siostra mówiła mi, żebym się nie przejmował babką, a spojrzał na mamę, która w końcu wstała z kanapy, je deser i się uśmiecha.

Skończyłem pisać artykuł, czatowałem z Siostrą w ramach rekompensaty za kino. Wstała Justa. Podeszła do mnie i powiedziała, że czuje się dużo lepiej, że się wyspała i widać tego potrzebowała.

– Zdecydowanie wolę wieczory od poranków.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Przez samopoczucie pewnie, jak to szło? Moje noce są lepsze od waszych dni. Mam pomysł – podskoczyła. – Ha! Która jest godzina?

– Po osiemnastej.

– Idealnie, do dwudziestej pierwszej czynna jest ta galeria handlowa obok ciebie, prawda?

– Tak, ale mam jedzenie.

– Nie, nie jedzenie, niespodzianka dla Ciebie.

Wybiegła do łazienki, ubrała się, umalowała i obwieściła, że wróci za góra dwie godziny. Chciałem ją zatrzymać, nakarmić, ale powiedziała, że kupi sobie coś w sklepie i że będę zachwycony.

I wybiegła. Po chwili zorientowałem się, że zostawiła komórkę, miałem nadzieję, że nic jej się nie przydarzy i faktycznie wróci za kilka godzin. Postanowiłem obejrzeć jakieś porno i się masturbować, co uczyniłem. Po dwudziestej pierwszej pojawiła się Justa i uśmiechnięta powiedziała, żebym poszedł do kuchni i nie podglądał.

– O co chodzi?

– Idź, idź, bo popsujesz niespodziankę.

Ucieszyłem się, że jest, i udałem się do kuchni. Siedziałem tam jakieś pół godziny. Niecierpliwiłem się, ale za każdym razem, gdy chciałem wejść do pokoju, Justa skutecznie mnie powstrzymywała. W pewnym momencie przysłała po mnie, kazała mi zamknąć oczy, chwyciła mnie za krocze i namiętnie pocałowała, po czym powiedziała: otwórz oczy. Patrzyła na mnie uśmiechnięta i podniosła brwi.

– I jak, podobało się?

– Podobało – powiedziałem zaskoczony – ale myślałem, że...
w pokoju, co robiłaś?

– W jakim pokoju? – zapytała zdziwiona. – Jestem tutaj przecież cały czas.

– No ale pojechałaś po coś.

– Pojechałam?

– No, kazałaś mi siedzieć w kuchni i coś robiłaś w pokoju!

– Ha! O to ci chodzi – zaśmiała się w głos. – Zamknij oczy i nie podglądaj. No, zamykaj – ponagliła, gdy wciąż na nią patrzyłem.

Chwyciła mnie za rękę, zaprowadziła do salonu i kazała otworzyć oczy. Na stole czekało wino i dwie lampki, zapaliła świece, w kącie pokoju stał adapter obwiązany wielką czerwoną wstążką. Podeszedłem do niego, dotknąłem, otworzyłem, popatrzyłem na

Justę. Adapter był nowy, w drewnianej obudowie, stylizowany na produkt lat siedemdziesiątych, idealny. Justa uśmiechała się i klasnęła w ręce.

– Podoba ci się?

– To dla mnie?

– Ha! Dla ciebie, kochasz muzykę, a najlepiej brzmi z winyli, pamiętasz ten dźwięk?

– Pamiętam! – krzyknąłem. – Pamiętam! To musiało kosztować majątek.

– Wiesz, co bym zrobiła, gdybym miała bardzo dużo pieniędzy, powiedzmy, wygrała w totka?

– Co? – zapytałem podekscytowany.

– Wydałabym bardzo szybko!

– Na co?

– Właśnie nie wiem – i śmiała się wciąż.

Podszedłem do niej, pocałowałem ją, chwyciłem i okręciłem w kółko, śmiała się.

– Dziękuję – powiedziałem – nikt nigdy nie zaskakiwał mnie tak jak ty.

– Proszę, kochasz muzykę, a ja Kocham cię.

– Kocham!

Obok adapteru leżały dwie płyty, Radiohead *OK Computer* i Björk *Debut*. Justa powiedziała, że w przeszłości kochała tę muzykę i chciała, żebym posłuchał, jeśli nie znam. Znałem i bardzo lubiłem. Podłączyłem adapter do moich kolumn, puściłem najpierw Radiohead. Muzyka brzmiała idealnie, chropowaty dźwięk, obserwowanie wirującej płyty, możliwość położenia igły w dowolnym miejscu – cudowne uczucie. Justa naląła wina, wypiliśmy toast za obecność, za chwilę, za godziny. Czułem się

całkowicie szczęśliwy. Rozmawialiśmy o muzyce, o pierwszych kasetach kupionych za własne pieniądze, o odtwarzaczach z RFN-u, o przewijaniu taśmy ołówkiem. Nie istniały żadne zmartwienia, Justa tańczyła, a ja leżałem i patrzyłem na nią. Zakochany, tak obłądnie zakochany. Kochaliśmy się na podłodze, przy muzyce Björk. Bardzo nie chciałem iść spać, ale moje ciało już nie wytrzymało, Justa powiedziała, że popracuje, żebym szedł. Gdy położyłem głowę na poduszce, widziałem wielką ćmę ze starego teledysku Björk i Justę, która dosiada tę ćmę i mówi „Ha”.
Usnąłem.

Obudziłem się o siódmej. Justa siedziała przy kuchennym stole, na którym przygotowane było śniadanie, przed nią leżały kartki papieru.

– Dzień dobry – powiedziała – śniadanie dla mojego dziennikarza, pracowałam całą noc, wszystkie zaległości nadrobiłam.

– Nie spałaś nic?

– Nie spałam nic – uśmiechnęła się – przecież ja nigdy nie wstaję o tak wczesnej porze, jedz, muszę lecieć do wydawnictwa oddać tłumaczenie.

– Kiedy się widzimy? – zapytałem zdziwiony śniadaniem i Justą pełną energii. Obok radości pojawiła się we mnie obawa, zobaczyłem jej podkrążone oczy. – Jadłaś coś?

– Coś jadłaś – odpowiedziała, wkładając buty. – Widzimy się cały czas, miły.

Pocałowała mnie i wyszła. Po chwili wróciła, spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Coś się stało?

– Kochasz mnie? – zapytała.

– Oczywiście, że cię kocham.

– No to dlaczego nic nie mówisz? – zaśmiała się w głos.

Podszedłem do niej, pocałowałem i przytuliłem. Gdy wyszła, usiadłem przy stole, powoli jadłem śniadanie, czytając książkę. Z pokoju dochodziła muzyka. Wziąłem Ditę na ręce i zacząłem z nią tańczyć po pokoju. Bardzo tego nie lubiła. Zapytałem ją, czy mi zazdrości i czy chciałaby być człowiekiem. Próbowła się wyrwać. Pazur wbity w moją dłoń wyraźnie zasygnalizował, że mam ją puścić. Gdy po kilku minutach poszedłem do łazienki, znalazłem na podłodze rozszarpaną rolkę papieru toaletowego, miliony małych kawałków. Dita siedziała na pralce, myła sobie łapkę, spojrzała na mnie i przeciągnęła się. Zrobiła to specjalnie, wiedziałem to na pewno.

22

W redakcji przywitała mnie Magu.

- Co się stało? – zapytała.
- Co masz na myśli? – Każda rozmowa z Magu wzmagała moją czujność.
- Widziałam, jak idziesz uśmiechnięty, machałeś gazetą.
- Machałem gazetą?
- Wyglądasz na szczęśliwego, wróciliście do siebie z Magdą?
- Nie mamy kontaktu – odparłem z uśmiechem.
- Jak ma zatem na imię? – nie ustępowała.
- Kto?
- Ona! – praktycznie krzyknęła.
- Justa. – Z Magu i tak nie miałem szans wygrać.
- Mhmm – mruknęła i schowała głowę za monitor.
- Po co... – zacząłem, ale Magu mi przerwała.
- Aureliusz, ja tu pracuję, masz jakąś sprawę? – zapytała, nie podnosząc na mnie wzroku.

Nie miałem żadnej sprawy. Próbowałem napisać artykuł o koncertach charytatywnych i pomyślałem, że Gosia może mi jakoś pomóc. Gdy do niej zadzwoniłem, okazało się, że jest w Anglii, odpowiada za organizację strefy VIP-ów podczas koncertu Madonny, nie miała czasu rozmawiać, cała podekscytowana.

Obiecała zadzwonić jutro, bo wieczorem wybiera się na imprezę, na której ma być piosenkarka, a ona chciałaby się z nią pocałować. Zapytałem, czy Madonna ją pociąga, wyjaśniła, że fizycznie zupełnie nie, ale bardzo dobrze będzie się to opowiadało. Nie mogłem się skupić na pracy. Justa napisała, że spotyka się dziś ze starą znajomą i że odezwie się po spotkaniu. Postanowiłem pójść coś zjeść i w ten sposób przetrzymać czas do terapii. Gdy przechodziłem obok Magu, spojrzała na mnie bardzo zmrużonymi oczyma.

W Małej Sowie zmierzał w moją stronę kelner, z którym rozmawiałem poprzednio o martwo-żywym kocie. Uśmiechnąłem się do niego serdecznie, on natomiast wymuszenie i zawrócił pośpiesznie do kuchni. Po chwili podeszła do mnie młoda kelnerka. Zamówiłem naleśniki ze szpinakiem.

– Dlaczego mnie pani obsługuje? – zapytałem.
– Pracuję tutaj – odparła ze spokojem.
– No tak, ale dlaczego pani, a nie pani kolega?
– Podoba się panu mój kolega? – zapytała mocno uśmiechnięta.
– Nie, to nie to – zawstydziłem się – po prostu, szedł do mnie, ja się uśmiechnąłem, a on zawrócił, a poprzednio rozmawialiśmy o kotach i pomyślałem... – nie pozwoliła mi dokończyć, położyła rękę na ramieniu i powiedziała:

– On, niestety, jest hetero – zrobiła poważną minę, po czym uśmiechnęła się i dodała: – Ale ma Pan świetny gust – i puściła do mnie oko.

Gdy wychodziłem z lokalu, widziałem, jak stoi z kolegą od nieudanej konwersacji przy barze, ona mówiła mu coś na ucho, roześmiali się i pomachali do mnie, odmachałem, zażenowany.

Bardzo niechętnie poszedłem na sesję. Pomyślałem, że wolałbym

bawić się z Ditą albo kochać z Justą, albo spać, albo nawet pisać artykuł.

– Nie miałem ochoty dzisiaj przychodzić – wyznałem terapeutce. Patrzyła na mnie z tym okropnym zrozumieniem. Kiedy milczała, nie pozostawało mi nic innego, jak mówić samemu.

– Zatem nie miałem ochoty dzisiaj przychodzić, tydzień temu też, chociaż miałem pracę, ale ochoty nie miałem. – Wciąż nic nie mówiła. – Dlaczego nic pani nie mówi?

– Słucham pana.

– Już skończyłem – odparłem i popatrzyłem na sznurowadła, jak dziwnie się wiją.

– Zastanawiam się, co pan czuje i z jakiego powodu nie miał pan ochoty przychodzić, wyobrażam sobie, że coś się dzieje w naszej relacji, że przeżywa pan...

– W naszej relacji nic się nie dzieje! – przerwałem jej po raz pierwszy od rozpoczęcia terapii, co mnie samego zaskoczyło. – Dzieje się pomiędzy mną a Justą, dlaczego pani ją wyrzuciła?

– Tak pan to postrzega, że ją wyrzuciłam z terapii?

– A jak inaczej?

– Przerwałam terapię z panią Justyną, ale nigdy nie rozmawiam z moimi pacjentami o innych pacjentach. Pan może mówić o wszystkim, ja jednak nie będę wypowiadała się na temat pani Justyny ani innych pacjentów.

– Czy mnie też ma pani zamiar wyrzucić, to znaczy zerwać czy tam przerwać terapię?

– Co pan czuje, gdy o to pyta?

– A czy mogłaby pani najpierw mi odpowiedzieć? – naprawdę nie poznawałem siebie, szczęka bolała mnie przeraźliwie.

– Nie mam zamiaru pana wyrzucać ani przerywać z panem

terapii, czasami terapia może zostać przerwana, mam takie same prawa jak pan...

- To dobrze – po raz kolejny wszedłem jej w słowo.
- Co pan czuje, gdy o tym rozmawiamy?
- Nie wiem – powiedziałem – szczęki mnie bołą.
- Wydaje mi się, że może pan być na mnie zły.
- Mogę?
- To naturalne w takiej sytuacji, czuć złość.
- No dobrze, może troszkę się zezłościłem.

Patrzyłem na nią dłuższą chwilę, spodziewałem się kary albo że się rozpłacze. Nic takiego się nie wydarzyło. Uśmiechnąłem się. Pani Ewa zapytała, co się dzieje u mnie, powiedziałem, że czuję ulgę i że to bardzo dziwne, bo już wcale się nie złościę.

– Zastanawiam się – ona często tak zaczyna – czy są inne osoby w pańskim życiu, którym chciałby pan powiedzieć, że troszkę się na nie złości.

– Nie, nie ma – zapewniłem pospiesznie – ale niewątpliwie chodzi pani o mamę i tatę.

Rozmawialiśmy potem już bardziej swobodnie o złości oraz o moim ojcu. Opowiedziałem jej o tym, że pojedę do niego i że wcale mnie nie złości, że mnie opuścił, a bardzo ciekawi, co nim kierowało. Nie rozumiałem tego tak samo, jak nie umiałem sobie wyobrazić żywego i martwego w tym samym czasie kota. Był tato, nie ma taty. Za jego odejściem muszą stać konkretne powody, chcę je poznać. Pani Ewa kilka razy jeszcze zachęcała mnie, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, bym się zezłościł, ale nic z tego nie wyszło. Przez chwilę nawet pomyślałem, że specjalnie usunęła Justę z terapii, by wywołać we mnie złość, ale gdy popatrzyłem na nią, zdałem sobie sprawę, że ta wysoka, piękna i mądra kobieta

najprawdopodobniej jest również dobra.

Wyszedłem z sesji w radosnym nastroju, zadzwoniłem do Justy, ale nie odebrała. Nic to, pomyślałem, nie pozwolę sobie zepsuć humoru. W głowie wracało do mnie uczucie złości, która gdy wybrzmiała, przyniosła wielką ulgę. Pomyślałem, że być może o to chodzi kibicom, dla których mecz jest tylko pretekstem do zderzenia gardła i późniejszej bójkki. Zadzwoniłem do Michała.

– Słuchaj, ty się złościsz, prawda?

– Wracasz z terapii? – głos miał bardzo zniechęcający.

– To nie ma znaczenia, złościsz się, prawda?

– No, złość, o co ci chodzi?

– No bo ja też. – Usłyszałem śmiech Michała w słuchawce. – Nie, nie – kontynuowałem – naprawdę przed chwilą się zezłościłem i powiedziałem o tym.

– To świetnie – wciąż się śmiał.

– A powiedz mi, co ci daje, że się złościsz?

– Co, kurwa? – zapytał już bez śmiechu.

– No, pytam z ciekawości po prostu, co ci to daje, że się złościsz?

– Nic mi, kurwa, to nie daje, no raczej, że nic.

– Ani odrobiny ulgi? – Nie chciałem odpuścić.

– Ani, kurwa, odrobiny pierdolonej ulgi.

– Widać to indywidualne – odparłem refleksyjnie.

– Wracasz z terapii, co?

– No, wracam.

– Wiedziałem, kurwa, wiedziałem – znowu się roześmiał.

Kiedyś zapytałem Michała, czy nie chciałby pójść na terapię, żeby sobie pomóc. Usłyszałem, że jak ma sobie pomóc tak, jak ja sobie pomagam, to, kurwa, dziękuje.

Wróciłem do domu, słuchałem muzyki, czekałem na sygnał od

Justy i pisałem artykuł. Miałem wrażenie, że skończyły mi się już wszystkie nowe zdania i wciąż powtarzam te same słowa, zwroty. Zmieniam tylko imiona, daty i miejsca. Justa napisała, że siedzi z Czarną w parku, w barze Dom na Łodzi i że jeśli chcę przyjść, to będą tam jeszcze. Chciałem, przebrałem się w czyste ciuchy i poszedłem piechotą.

Zobaczyłem ich z daleka, Justa, jakaś kobieta i mężczyzna. Ona miała czarne dredy i ubrana była w kolorowe ciuchy, on cały na czarno, przesadnie zakolczykowany.

- Aruś – powiedziała Justa, gdy przyszedłem, i pocałowała mnie.
- To jest Arek, moi mili, a to moi przyjaciele, Bogna i Marek.
- Cześć – powiedziałem.
- Oto i dziennikarz – Bogna podała mi rękę. – Napij się z nami. Byli już wstawieni, zamówiłem sobie piwo.
- Skąd się znacie? – zapytałem.
- To długa historia – powiedział on i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił, a po chwili Marek ponownie zabrał głos:

- Poznałem Justę, że tak powiem... dogłębnie – popatrzył na nią, uśmiechnęła się – a teraz jestem z Bogną.
- Raczej to ja jestem z tobą – poprawiła ona.
- Co to znaczy dogłębnie? – zapytałem zniesmaczony.
- Poznaliśmy się kiedyś w knajpie, spędziliśmy razem noc, a potem kilka kolejnych, ale nic z tego nie wyszło – wyjaśniła Justa i na chwilę położyła mu rękę na ramieniu. – Na szczęście, bo Marek to straszny gnojek – dodała.
- Jak to nie wyszło, chyba nie weszło – odrzekł on i znowu wszyscy zaczęli się śmiać. – A ty? – popatrzył na mnie wyzywająco.

– Kim jesteś?

– Dziennikarzem – odpowiedziałem Markowi, którego zdążyłem już znienawidzić.

– No tak, Justa mówiła. Dobra jest, co? – puścił do mnie obrzydliwe oko, na co zareagowałem krzywym uśmiechem.

– A wy skąd się znacie? – zapytałem Bognę, starając się podtrzymać rozmowę i być przyjaznym dla przyjaciół mojej dziewczyny.

– Mieszkałyśmy kiedyś razem, pracowałyśmy, dzieliłyśmy wszystko – i znowu ten śmiech, który był tylko ich opowieścią.

– Ha! Wszystko! Uważaj na nią – ostrzegła Justa i wskazała na Bognę.

– Właśnie, uważaj na mnie – powtórzyła Bogna.

Poszedłem do toalety. Gdy wróciłem, Bogna zapytała, czy chcę coś mocniejszego, zapytałem, co dokładnie, wyjaśniła, że mają amfę. Nie chciałem, spróbowałem raz na studiach, ale szczękościsk, niemożność snu i penis skurczony do rozmiarów ślimaka zniechęciły mnie na zawsze. Zapytałem Justę, czy ona wzięła. Kiwnęła głową i przyznała, że trochę tak.

– Martwię się – powiedziałem do niej.

– On jest taki kochany – Justa spojrzała na swoich przyjaciół.

– Dobry tatuś – skwitował Marek, a ja znowu poczułem ból szczęki.

Siedziałem w napięciu, bałem się o Justę, byłem zbyt trzeźwy, by nawiązać kontakt z jej przyjaciółmi. Rozmawiali o Bognie i Marku, są razem od dwóch lat i żyją w otwartym związku – opowiadali o tym z wielką pasją. Mają kilka zasad, których się trzymają, mogą przespać się z kimś, kto im się spodoba, ale nie więcej niż raz. Muszą również o tym opowiedzieć dnia następnego. Nie wolno tego

robić we wspólnym łóżku i bez zabezpieczenia. Zapytałem, czy mogą się całować z tą inną osobą, Bogna odparła, że jak najbardziej, bo to bardzo przyjemne, a Marek powiedział, że za dużo się naoglądałem filmów o szlachetnych prostytutkach. Justa była zachwycona, zapytała mnie, czy zgodziłbym się na coś takiego, odpowiedziałem, że nigdy.

– A ty? – zapytałem.

– Nie wydaje mi się – zaśmiała się i dodała: – Ale, kto wie, kto wie – i szturchnęła mnie w ramię.

– Polecam – powiedział Marek.

– Ha!

– Chcecie mieć dzieci? – zapytałem.

– W żadnym wypadku – odparł on.

– A po co dzieci? – zapytała Justa.

– Jak to po co? – zdziwiłem się.

– No po co, to zwyczajne pytanie – widziałem, że mruży ze złością oczy.

– Żeby je kochać.

– Masz potrzebę kochać kogoś, kogo jeszcze nie ma? Czy po prostu są ci potrzebne, żeby zapełnić pustkę?

– Jaką pustkę? – Nie podobał mi się przebieg tej rozmowy.

– Tę pustkę – powiedziała i palcem wskazującym uderzyła mnie w brzuch. – Pustkę, którą ma zapełnić dziecko, opieka nad nim, wychowywanie, bezwarunkowa miłość od dziecka i warunkowa dla dziecka.

– To nie jest uniwersalna prawda – stwierdziłem.

– Jasne, że nie, ale rozmawiamy o nas, prawda?

– To znaczy, że nigdy nie chcesz mieć dzieci?

– Nie ma nigdy! Teraz nie chcę mieć dzieci i nie wydaje mi się,

aby to się zmieniło, znajduję tylko samolubne powody, by zrobić sobie dziecko.

– A jakie powody nie są samolubne? – Krępowała mnie obecność dwójki obcych mi ludzi, ale nie potrafiłem przerwać rozmowy.

– Spokój w życiu, poukładanie z samym sobą, własny dom z ogrodem, pieniądze i pewność, że wiem, czego chcę.

– Poza pewnością wszystko inne jest osiągalne – stwierdziłem.

– Dajcie spokój – odezwała się Bogna – ona nie chce, ty chcesz, dogadacie się, poza tym dopiero zaczynacie, co?

– Ta pewność jest najważniejsza – Justa zwróciła się w moją stronę, ucieszyło mnie, że podobnie jak ja zignorowała Bognę.

– Wszystko się zmienia, gdy pojawia się dziecko, wtedy można się nauczyć...

– Gówno, Arku, gówno można się nauczyć, chcesz eksperymentować na dziecku, uczyć się na dziecku? To jest bardzo nie fair, bardzo nie fair, nie fair! – mówiła podniesionym i coraz bardziej drżącym głosem. – Jesteśmy ofiarami z naszą historią, ofiarami ofiar i nasze dziecko też byłoby ofiarą.

– Ale terapia... – chciałem ją przekonać do zmiany zdania, pokazać, że się myli, tym bardziej że mieliśmy widownię.

– Co terapia? – przerwała mi. – Ona pozwala przeżyć, ale życie jest poza terapią – krzyczała.

– Uspokój się – powiedziałem, a ona popatrzyła na mnie oczami pełnymi nienawiści.

– Nie mam zamiaru się uspokoić i nie mam zamiaru zrobić sobie dzieciaka, na którym będę się uczyć, jak żyć. To zwykłe skurwysyństwo!

– Nie jesteśmy naszymi rodzicami.

– Skąd to wiesz?! – krzyknęła. – Ofiary rodzą ofiary!

Wstała z krzesła i podbiegła do grupy Romów, od pewnego czasu grających obok ogródka, w którym siedzieliśmy. Coś do nich powiedziała, otworzyła portfel i dała im pieniądze. Muzycy odeszli.

– O co poszło? – zapytał Marek.

– Wkurwiała mnie już ta muzyka, nie słyszę własnych myśli – powiedziała Justa i patrząc mi w oczy, dokończyła jednym łykiem prawie połowę piwa ze szklanki. Gest ten zawsze mnie przerażał, była w nim jakaś pierwotna zachłanność dziecka i niemoc alkoholika. Manifestacja i komunikat: zrobię, co zechcę, i nic ci do tego.

– Ile im dałaś? – zapytałem.

– Wszystko, co miałam – odparła i dodała: – Nie powinno cię to obchodzić.

Bogna i Marek powiedzieli, że idą potańczyć, Justa chciała iść z nimi, spojrzała na mnie i zapytała, czy mam zamiar dołączyć. Zasugerowałem, że może lepiej, żebym został. Przyznała, że może lepiej i że w takim razie może w ogóle lepiej, żebyśmy na chwilę dali sobie spokój. Wstała i poszła. Patrzyłem, jak odchodzą, Marek objął Justę ramieniem. Siedziałem obolały. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, zapłaciłem rachunek i ruszyłem w kierunku domu. Bałem się bardzo. O Justę, o siebie i o nas. Znałem ten stan i nienawidziłem go.

Przechodziłem obok mojego ulubionego sklepu całodobowego Równość. Kupiłem wódkę i zielone oliwki z pestkami. Usiadłem przy śmietnikach za sklepem, zapaliłem papierosa i zadzwoniłem do Siostry.

– Jest źle – powiedziałem.

– Chodź.

Poszedłem. Otworzył Grzegorz, zmierzył mnie swoim dojrzałym

wzrokiem i zaprosił do środka. Zapewniłem, że nie będę długo, pokiwał głową. Zapytałem, co słyhać, odpowiedział, że właśnie awansował i krzyknął w kierunku sypialni.

– Przyszedł twój kryzysowy brat – i popatrzył na mnie z uśmiechem.

Odpowiedziałem mu niewyraźnym wyrazem twarzy.

Gdy Siostra przyszła, przytuliła mnie, dałem jej wódkę, pokręciła z dezaprobatą głową i wróciła z dwoma kieliszkami i sokiem.

Grzegorz powiedział, że idzie na mecz, pocałowali się i wyszedł.

– Zazdroszczę ci – powiedziałem.

– Chcemy mieć dziecko – odpowiedziała.

– Kolejne? Teraz? Jak to?

– Tak, teraz, mamy wszystko, by przywitać dzieciaka w domu.

– Nie boisz się? – zapytałem.

– Pewnie, że się boję, rozstępy, poród, hemoroidy, odpowiedzialność, boję się jak cholera.

– To dlaczego?

– Bo mam coś do powiedzenia o życiu, bo chcę i Grzegorz chce, bo nas na to stać, bo marzę o tym, by na starość czekać na kartkę z wakacji. Dość o mnie, co się stało?

– Zerwaliśmy ze sobą, znaczy Justa zerwała.

Opowiedziałem Siostrze o tym, jak poznałem przyjaciół Justy. Słuchała, piliśmy wódkę, zawsze była jeden kieliszek za mną. Gdziekolwiek byliśmy, jeśli byliśmy razem, pozwalała mi być absolutnie. Sobie pozostawiając więcej kontroli, mnie oddając poczucie bezpieczeństwa.

– To nie jest koniec – powiedziała – po prostu sprzeczka, kłótnia. Porozmawiacie i się ułożą, przypomina mi to ciebie i Magdę.

– Ale jak? Justa jest szalona, Magda była zupełnie inna,

poważna, pracowita, systematyczna.

– Inaczej się zachowywała, ale była totalnym frikiem, takie same kubki ustawione od linijki w szafce, stała godzina pobudki przez sześć dni w tygodniu i ściśle zaplanowana rozrywka na niedzielę, sukienki wiszące w szafie od najdłuższej do najkrótszej, robienie kupy tylko u siebie w domu.

– Na wakacjach, czasami robiła... w hotelu.

– Nie muszę tego wiedzieć – uśmiechnęła się. – Wiesz o co mi chodzi, lecisz na szalone.

– Bo jestem popaprany? – zapytałem.

– Bo są ciekawe.

Wspominaliśmy. Rozmowa ludzi, którzy znają się od lat, w pewnym momencie dotyka przeszłości. Każde wypowiedziane zdanie zaczyna się od „a pamiętasz”, po którym osoba słuchająca kiwa ze zrozumieniem głową, by za chwilę wypowiedzieć własne „a pamiętasz”. Ten moment pozwala doświadczyć bezpieczeństwa na najgłębszym poziomie. W historiach przyjaciół ważne są również różnice we wspomnieniach, inaczej zapamiętane detale, czas, miejsca, słowa, o które można się spierać. Poczucie wspólnoty zaraz po potrzebie akceptacji najsilniej determinuje miłość i samotność. Zapytałem Siostrę, czy nie uważa, że to wszystko przez przeszłość, że przez dzieciństwo tacy jesteśmy. Brak ojca i nieobecna matka, wszechwiedząca babka. Odparła, że z psychologią jest tak samo jak z religią, obie przyznają sobie prawo do tego, by wszystko wiedzieć i podawać gotowe odpowiedzi. Powiedziałem jej, że terapia mi pomaga, uwalnia, pozwala lepiej siebie zrozumieć. Zgodziła się i dodała, że to dobrze, jeśli tak jest, gorzej, jeśli psychologia czy religia staje się wyrocznią, dogmatem, gdy zwalnia z samodzielności. I że oczywiście, że pomaga, obie pomagają, trzeba

tylko zauważyć ten drobny moment, granicę, za którą zaczyna uzależniać. Gdyby wszystko było tak proste jak religia czy psychologia, powiedziała, nikt nie pisałby książek.

- Poza poradnikami psychologicznymi i Bibliami – dodałem.
- Poza – przyznała.

Zaczęliśmy rozmawiać o tacie, powiedziałem jej o tym, że pojedę go odwiedzić. Była przeciwna, zniechęcała mnie do tego pomysłu, ale gdy poczuła, że i tak pojedę, odpuściła. Opowiedziała mi, jak to było, gdy odszedł. Mniej więcej na trzy miesiące przed rozstaniem nasi rodzice urządzali całonocne kłótnie, po których ojciec na kilka dni zniknął z domu, a matka bez ruchu, godzinami leżała na kanapie, na której zresztą spędziła później większość swojego życia.

– W takie dni gotowałam regularnie obiady – mówiła Siostra. – To wtedy zaczęła pojawiać się u nas w domu babka, nie chciałam jej, chociaż wiedziałam, że przychodzi pomóc. Jej obecność zapowiadała zmiany. W domu nie było miejsca na kolejną osobę. Ktoś musiał odejść, żeby ktoś mógł zostać. Nie wiem, gdzie bywał ojciec, w pracy, u znajomych, u kochanki. Dzień przed wyprawdawką przyszedł do mnie do pokoju. Spojrzał poważnie i powiedział, że mnie kocha, ale ja się wcale nie ucieszyłam, bo to było najsmutniejsze „kocham”, jakie w życiu słyszałam. Zaczęłam płakać, nie mogłam przestać, wyszedł i po kilku minutach przyniósł mi ciepły kisiel. Takie to było idiotyczne, ale do dzisiaj, gdy płaczę, to zaraz mam ochotę na ciepły kisiel. Następnego dnia już go nie było, matka nie wstała z kanapy, babka zaczęła znosić do domu coraz więcej swoich rzeczy, aż w końcu zamieszkała u nas na stałe. Nienawidziłam jej i obwiniałam za to, że ojciec odszedł, a matka jest smutna. Zabierała nas do kościoła w każdą niedzielę, w końcu się zbuntowałam. Stwierdziłam, że to jeszcze bardziej samotne

miejsce niż dom. Potem zrozumiałam, że gdyby nie ona, oddaliby nas do domu dziecka, matka nie potrafiła zrobić nic przez długie miesiące.

– A co się wtedy działo ze mną? – zapytałem.

– Gdy wracałam ze szkoły, siedziałeś obok mamy na kanapie, oglądałeś telewizję lub bawiłeś się kartkami papieru.

– Kartkami papieru?

– Tak, ciąłeś je na kawałki, potem zwijałeś w długie paski, wiązałeś, aż stawały się zupełnie mokre od twoich rąk i do niczego nieprzydatne, wtedy babka je wyrzucała.

– Smutne.

– Nie wiem, czy smutne, przetrwaliśmy ten czas, zaczęłam się wtedy uczyć jak szalona, zrozumiałam, że mam siebie.

– I masz siebie cały czas – powiedziałem – i mnie jeszcze masz.

– Mam i nikogo więcej nie wpuszczam zbyt blisko.

– To nie jest smutne?

– Co ty z tym smutkiem? Może gdybym zaczęła tak o tym myśleć, to stałoby się smutne, ale dla mnie to opowieść o sile.

– I ciepłym kisielu – dodałem.

– Chcesz?

– Chcę.

Zrobiła nam ciepłego kisielu, który w połączeniu z wódką smakował wyjątkowo źle. Zjedliśmy wszystko, wspominaliśmy psikusy, które robiliśmy babce, i zaśmiewając się w głos, wylizaliśmy palcami resztki z garnka. Zapytałem, czy mogę zostać na kanapie, odparła, że jak najbardziej. Trzy razy zadzwoniłem do Justy, ale nie odebrała. Napisałem esemesa, że się martwię. Gdy zasypiałem, nie mogłem się opędzić od wizji ciepłego kisielu, który wylewa się z kubka, jest wszędzie, w kieszeniach spodni, na

balkonie, pod poduszką.

Wstałem po szóstej, ze skurczem w lewej dłoni, na której trzymałem głowę. Umyłem twarz, ubrałem się. Gdy chciałem wychodzić, zeszła Siostra. Powiedziała, że nienawidzi swojego płytkiego snu, przytuliła mnie i kazała na siebie uważać. Komórka milczała. Wróciłem do domu, wykąpałem się, połknąłem dwie tabletki przeciwbólowe i położyłem się na chwilę. Po dziesiątej zadzwoniłem do Justy, bez odzewu. Napisałem krótki, bezsensowny artykuł. Zadzwoniłem do Michała

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– O co ci chodzi?

– Co z Marią? – doprecyzowałem.

– Napisała mi esemesa, że spotyka się z Adamem i że to bardzo poważne, odpisałem, że ponoć szybko dochodzi, ona na to, że jestem gnojem i że jedyna korzyść z poznania mnie to poznanie Adama. Odpisałem, że pamiętam, jak krzyczała na stole w kuchni o innych korzyściach i już się nie odezwała.

– A jak się z tym czujesz?

– Arek, kurwa, właśnie ci opowiedziałem.

Pogadaliśmy chwilę, w której bardzo się pilnowałem, by nie pytać o emocje. Michał pozbył się resztek motocykla i brakuje mu seksu. Zapytałem, co z tym zrobi, powiedział, że będzie więcej pracować i kupi sobie za dwa miesiące najnowszą hondę, na raty. Co do seksu, stwierdził, że to wymaga mniejszego wysiłku. Czuję się fatalnie, psychicznie i fizycznie, ale nie potrafiłem mu o tym opowiedzieć. Postanowiłem, że pójdę na Karłowatą, odwiedzić Justę. W głowie układałem sobie, co i jak powiem, miałem zresztą nadzieję, że nie będę musiał nic mówić, że padniemy sobie w ramiona, będziemy się kochać, zjemy coś i wszystko będzie

dobrze. Nie zastałem jej w domu. Czekaając na autobus, usłyszałem rozmowę dwóch kobiet.

– Wiesz, że mężczyźni są siedemdziesiąt siedem razy bardziej narażeni na wypadek samochodowy niż kobiety?

– Ładna liczba, siedemdziesiąt siedem – zauważyła tamta i obie pokiwały ze zrozumieniem głowami – ale w sumie mówi się, że mężczyźni są lepszymi kierowcami.

– Nie lepszymi, a szybszymi.

– Coś w tym jest, niepewni mężczyźni przyśpieszają, gdy ich wyprzedzam – ponownie obie pokiwały głowami i wsiedliśmy do autobusu.

23

Po południu zadzwoniła jakaś kobieta, powiedziała, że jest pielęgniarką i że pani Justyna prosiła o kontakt, bo ponoć jestem jej rodziną. Na pytanie, co się stało, odrzekła, że nie może udzielać takich informacji przez telefon i że robi przysługę, w ogóle dzwoniąc. Zapewniłem, że zaraz przyjadę, spytałem, o który szpital chodzi. Miejski, oddział toksykologii. Spytałem jeszcze, jak się czuje, a ona powiedziała, że śpi, ale mogę przyjechać sprawdzić, odwiedziny są do osiemnastej. Byłem przerażony, bo co to znaczy oddział toksykologii. Zatrula się, ktoś ją otruł, próbowała się zabić? W głowie miałem tylko te trzy pomysły. Po dwudziestu minutach byłem pod szpitalem, oddział toksykologii mieścił się na ósmym, ostatnim piętrze. Skłamałem, że jestem jej bratem. Jakaś kobieta w kitlu poprosiła mnie na rozmowę.

– Czy siostra jest uzależniona od narkotyków, alkoholu?

– Nie jest, co się stało?

– Została przywieziona przez funkcjonariuszy dziś w nocy, miała ponad dwa promile alkoholu we krwi, gdy się przebudziła, podała pański numer i prosiła o kontakt, za chwilę ją pan zobaczy, chociaż słabo kontaktuje. Teraz śpi, zrobiliśmy jej płukanie.

– Płukanie?

– Płukanie żołądka, siostra ma myśli samobójcze?

– Jak każdy – odparłem.

Kobieta spojrzała na mnie z miną pełną dezaprobaty. Powiedziała, że we krwi Justyny znaleźli również śladowe ilości the i innych substancji psychoaktywnych, wyniki szczegółowe będą jutro, ale najprawdopodobniej to amfetamina. I czy wiedziałem o tym. Odparłem, że nie wiedziałem. Byłem przerażony, chciałem ją zobaczyć. Sala numer trzy, pacjentce nie wolno zostawiać nic poza jedzeniem. Zapytałem, co innego mógłbym niby zostawić, na co odpowiedziała, wpatrując się w moje oczy, że na przykład narkotyki. Zostanie na oddziale trzy dni na obserwację, potem, taka jest procedura, zostanie skierowanie do szpitala psychiatrycznego, mają jej kartotekę, już raz u nich wylądowała po przedawkowaniu leków, muszę to wiedzieć jako brat. I znowu to spojrzenie. Stałem nieruchomo. Przerażony, bez myśli. Mogę iść ją odwiedzić, a potem jeszcze mam wrócić na chwilę porozmawiać z lekarzem prowadzącym. Zapytałem, dlaczego przywiozła ją policja, uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Do nas głównie przywozi policja. Z rehabilitacyjnego zadzwonili po policję, siostry znalazły ją w oknie życia.

– Oknie życia?

– W niektórych dużych miastach przy szpitalu jest okno, które można swobodnie otworzyć przez całą dobę – była to pierwsza rzecz, o której opowiadała mi z zaangażowaniem, moim zdaniem zupełnie nie na miejscu. – Matka, która chce oddać swoje dziecko, może to zrobić anonimowo i bez konsekwencji. Pańska siostra tam się położyła, nieprzytomna. W oknie życia. – Gdyby była mniejsza i trzeźwa, może coś by z tego było – zażartowała.

Odwróciłem się i poszedłem korytarzem w kierunku sali numer trzy.

Leżała na łóżku tuż przy drzwiach. Spała, ręce miała przywiązane bandażem do ramy łóżka. Zapytałem pielęgniarkę, która wychodziła z pokoju, dlaczego jest przywiązana.

– Ponieważ trafiła tutaj napruta czym tylko się dało, stanowi zagrożenie dla siebie, a czy dla innych, będziemy obserwować – odpowiedziała pielęgniarka, z satysfakcją w oczach.

– Czy to konieczne?

– Proszę pana, o procedurach może pan porozmawiać z lekarzem. Jak siostra wytrzeźwieje i dojdzie do siebie, ściągniemy bandaż, to jest szpital, nie więzienie.

Wróciłem do Justy, miała mokre włosy i spoconą twarz. Rozejrzałem się po pokoju. Wyglądał jak każda inna sala szpitalna, trzy łóżka, wszystkie zajęte. Kobieta, która leżała obok Justy, również spała, ta pod oknem popatrzyła na mnie, gdy wszedłem, i odwróciła nieobecny wzrok w kierunku okna. Dotknąłem ramienia Justy, otworzyła oczy, popatrzyliśmy na siebie, zamknęła oczy, gdy otworzyła je ponownie, rozplakała się. Dotknąłem jej policzków, wytarłem łzy.

– Arek – powiedziała.

– Co się stało? – zapytałem.

– To nieprawda, co mówiłam, kocham cię.

– Wiem, to nieważne, ja też cię kocham, co się stało?

– Nie chciałam tej rozmowy, czasami emocje mnie biorą i niosą, gdzie chcą.

– Znaleźli cię w oknie życia.

– W oknie? – powtórzyła bardzo zdziwiona.

– To takie miejsce...

– Wiem, co to jest – przerwała mi i ponownie się rozplakała.

Złapałem ją za rękę i siedziałem tak dłuższą chwilę.

- Przepraszam – wyszeptała.
- Poradzimy sobie – odparłem, chociaż nie wiedziałem, co to znaczy i jak mamy sobie poradzić. – Czego potrzebujesz?
- Chce mi się pić i spać.

Poszedłem do pielęgniarki zapytać o wodę, skierowała mnie do kuchni. Dostałem kompotu w starym, białym kubku. Gdy wróciłem, Justa już spała. Wróciłem do pielęgniarki, ta kazała mi poczekać na lekarza. Wprowadzano właśnie na oddział jakiegoś starszego mężczyznę. Gdy przechodził obok mnie, poczułem zapach moczu i alkoholu.

Lekarz prowadzący, do którego gabinetu wreszcie trafiłem, patrząc w papiery, powiedział, że z karty wynika, że pacjentka ma afektywną dwubiegunową, i zapytał, czy przyjmuje leki, powiedziałem, że ostatnio dobrze się czuła i nie brała. Spojrzał na mnie przez chwilę i wyjaśnił, że nie ma czegoś takiego jak dobre samopoczucie u kogoś, kto ma dwubiegunową, że może była w manii. To jak z heroiną, powiedział, jak raz poczujesz, chcesz wracać, dlatego oni wszyscy przestają brać leki, dla manii, tylko że zaraz za nią jest depresja. Wyjaśnił, że będzie tu przez trzy dni, zrobią badania i dadzą skierowanie do psychiatryka, nie musi z niego korzystać, ale to najlepsze rozwiązanie, pobędzie tam kilka tygodni. Tygodni? – zapytałem. Tygodni – odpowiedział, wyśrodkują ją tam i pewnie wypuszczą. Co to znaczy wyśrodkują? – dopytałem. Przepraszam za żargon – on na to z satysfakcją, to znaczy, że dobiorą leki, które wyhamują manię i powstrzymają przed depresją, optymalny środek spokoju i normy psychicznej. Poza tym będzie miała darmowy detoks. Odparłem, że nie jest uzależniona. Nikt nie jest, odpowiedział i się uśmiechnął. Zapytałem, co mam robić, czy coś mam jej przynieść. Jedzenie, coś

do picia, pielęgniarka wyjaśni, odpowiedział i dodał, że nie wolno przynosić żadnych substancji psychoaktywnych, do widzenia. Do widzenia. Zajrzałem do Justy, ale spała, kubek z kompotem stał obok jej łóżka. Poprosiłem pielęgniarkę, by dała jej pić, gdy się obudzi. Odpowiedziała, że zna zakres swoich obowiązków.

Wróciłem do domu. Nie wiedziałem, co myśleć w odpowiedzi na lęk, który czułem. Włączyłem *Portishead Roads*, spacerowałem po pokoju. Dita patrzyła na mnie ze spokojnym zdziwieniem. Zapaliłem papierosa. Potrzebowałem planu, pomysłu, czegoś konkretnego. Poszedłem po produkty na zapiekanekę warzywną, którą chciałem zrobić dla Justy.

Kupiłem makaron, fasolę, pomidory, oliwki, czerwoną cebulę, szparagi, wędzoną mozzarellę, czosnek i świeżą bazylię. W domu ugotowałem makaron, na oliwie podsmażyłem cebulę i czosnek, dodałem do tego oliwki, wrzuciłem drobno pokrojone pomidory i jeszcze trochę czosnku, potem duże kawałki bazylii. Doprawiłem solą, pieprzem i chili. Smażyłem, często mieszając. Ugotowałem szparagi i fasolę, posypałem lubczykiem, solą i bazylią. Wszystko wrzuciłem do żaroodpornego naczynia, wymieszałem z ugotowanym al dente makaronem i zalałem zasmażonymi pomidorami z patelni, na wierzchu położyłem pokrojoną mozzarellę, kilka listków bazylii i trochę chili. Wsadziłem do piekarnika na 45 minut. Zrobiłem kawę i zapaliłem papierosa.

Zadzwonila Gosia.

– Wyobraź sobie: wyrzuciła mnie z imprezy.

– Kto? – Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Madonna. Po koncercie zaczęła się impreza. Byłam zaproszona, jak wszyscy koordynatorzy. Hotel, duża sala na poddaszu. Jakiś DJ z Londynu. Świetne żarcie. I ona mnie wyrzuciła.

– Dlaczego?

– Nie wiem! W pewnym momencie przeszła do drugiego pokoju. Wraz z nią kilka osób. Ja i reszta z obsługi koncertu podeszliśmy do drzwi. Jakiś goryl powiedział: impreza zamknięta. Ale jesteśmy zaproszeni, mówię. Już nie, on na to.

– Czyli nie było żadnego pocałunku?

– Nawet słowa z nią nie zamieniłam. Wyobrażasz sobie?

– Nie.

– No. A ty co masz taki głos?

Streściłem jej, co się wydarzyło. Zapytała, czego potrzebuję. Powiedziałem, że jak wróci do kraju, niech po prostu do mnie przyjdzie. Przyjdę na pewno, tak powiedziała. Jeszcze dodała, że po takich dramatach zazwyczaj potem robi się dobrze. Zapytałem ją, czy pamięta film *Godziny*. Pamiętała i dodała, że to durne pytanie i jeszcze, że Justa nie jest żadną pieprzoną Julianne Moore i że będzie dobrze, żadna woda z wodorostami nie zaleje jej łóżka. Nie byłem tego taki pewien, ale rozmowa z Gosią dodała mi otuchy. Powiedziała jeszcze, że jak wychodziła z hotelu nad ranem, to impreza u Madonny wciąż trwała i że bardzo jej przykro. Bardzo.

W drodze do szpitala myślałem z tęsknotą o Magdzie i z miłością o Justynie. Zastanawiałem się nad tym, czym różni się jedno od drugiego. Miłość musi zawierać w sobie tęsknotę, nie tylko ją, ale również, być może przede wszystkim. Od pierwszej chwili, która powoduje, że przyśpieszają myśli, pragnienia, od pierwszego pocałunku, dotknięcia dłoni czy ust, rozpoczyna się proces tęsknoty za chwilą. A ta rodzi pragnienia, by wszystkiego było więcej. Po pewnym czasie jest to tęsknota za obecnością, później tęsknota za tym, co było, jak było. Tęsknota zawiera się w miłości, tak jak korzenie zawierają się w doniczce. Na szczęście istnieje również

tęsknota sama w sobie, za truskawkami, morzem albo uśmiechem, sobą sprzed lat, gdy miałem więcej siły lub wiary... Mimo wszystko nie potrafiłem stwierdzić, czy tęsknota za Magdą jest czysta, zupełnie pozbawiona miłości.

Moje rozmyślania przerwała rozmowa dwóch pacjentek ubranych w szlafroki, które jechały ze mną w windzie.

– Cierpisz na migreny?

– Nie, mój brat jest taksówkarzem – odpowiedziała ta druga.

Justa siedziała na łóżku, ręce miała odwiązane. Przywitaliśmy się pocałunkiem. Powiedziała, że pamięta kłótnię, potem poszli tańczyć i urwał jej się film. Nad ranem z jakimiś ludźmi siedziała w parku, potem pamięta już tylko rurę w buzi i wymioty.

Zapytałem, co dalej, powiedziała, że nie wie, że jest zmęczona i może szpital to nie jest najgorsze wyjście, bo nie wyobraża sobie teraz powrotu do zwykłego życia, potrzebuje, by ktoś przez chwilę decydował za nią, i zaczęła płakać. Przytuliłem ją. Powiedziała, że każda chwila tutaj dzieje się bardzo powoli.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Że dzień się kończy, a ja czuję w sobie denerwujące nic i jeśli powrócę do swego życia, do tego nic, to nie będę mogła się uratować, boję się.

– Ja jestem.

– Ty jesteś – spojrzała na mnie uważnie – jesteś, bo chcesz.

A jeśli przestaniesz chcieć?

– Nie chcę przestać.

– Teraz, a ja muszę... – na chwilę zamilkła, popatrzyła na swoje ręce, potem na mnie – nie mam siły – dodała – zobacz, gdzie jestem, w sali z kratami w oknach.

– Tam, gdzie chcesz iść, również są kraty.

– Nie będziesz ze mną cały czas, bo nie możesz, bo tak nie wolno, a ja boję się swoich myśli i siebie samej.

– A teraz? – zapytałem. – Teraz jak się masz?

– Chcę zjeść tę zapiekankę i to mój jedyny pomysł i plan na życie.

Rozmawialiśmy chwilę, ale musiałem wyjść, bo skończyła się pora odwiedzin. Wróciłem do domu tramwajem, nie mając sił na spacer. W głowie przeskakiwały mi myśli i obrazy, niepokojący zamęt i potrzeba odpowiedzi na nieznane pytania.

24

Obudziła mnie silna tęsknota za Magdą, a zaraz potem poczucie winy wobec Justy. W pracy natknąłem się na Krzak.

– Świetnie pan wygląda – powiedziała rozpromieniona, najpewniej mając na myśli siebie – wszak to nie powód, by nie pracować, Aureliuszu Kic.

– Ależ ja pracuję – zaprotestowałem.

– Wiem, wiem, chociaż już ja was znam, dziennikarze, potrzebne mi duże nazwisko, proszę coś wymyślić, tekst z nazwiskiem poproszę – powiedziała, odchodząc.

– Dobrze.

Magu była na mnie wyraźnie obrażona, nie odezwała się ani słowem, a wiadomość o tym, kto dzwonił, przesłała mi mejlem. Pozbierałem informacje na temat dofinansowania placówek dziennego pobytu osób niepełnosprawnych intelektualnie. Przeglądałem prasę w Internecie, znalazłem ciekawy wywiad z Wiesławem Myśliwskim, poszedłem go wydrukować. Stojąc przy drukarce, nerwowo stukałem palcami w obudowę maszyny, tak by zwrócić na siebie uwagę innych. Gdy wyciągnąłem kartki papieru, szybkim krokiem wróciłem do biurka, z nadzieją, że wszyscy w redakcji zauważyli mój pośpiech w realizacji niezbędnych zadań, moje zaangażowanie w wydanie najnowszego numeru.

Wyobrażałem sobie, że idę do Krzak i obrażam ją, w odpowiedzi na co ona mnie policzkuje, przewracam się, łamię sobie rękę, po czym pozywam ją do sądu i do końca życia nie muszę pracować.

Dokładnie tak jak w filmie *Fight Club*. Odezwałem się na czacie do Michała, porozmawialiśmy chwilę o niczym. Ponownie powróciły myśli o Magdzie, pojawiła się we mnie dziwna nostalgia, tęsknota za osobą, która mnie zna, którą ja znam, za przewidywalnością. Postanowiłem do niej zadzwonić i nie analizować tej decyzji, bo wtedy z pewnością tego nie zrobię.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziała moja była żona. – Co się stało?

– Dostałem adapter, a w piwnicy, z tego co pamiętam, jest sporo naszych płyt. Jeśli ich nie używasz, to zastanawiam się, czy mógłbym je zabrać, pożyczyć?

– Możesz je zabrać, wpadają tam tylko w wilgoć – byłem zaskoczony przyzwoleniem, ale też tonem, w którym nie znalazłem pretensji.

– Dziękuję, świetnie, kiedy mógłbym po nie wpaść?

– A kiedy chcesz?

– Jestem w pracy, mogę zaraz wyjść.

– Ach, teraz? – Na chwilę zamilkła. – Trochę to niespodziewane...

– Może być kiedy indziej, nie ma...

– Nie, dobrze, dobrze, w sumie dobrze.

– Na pewno?

– Tak.

– To za pół godziny będę, mam coś przynieść? – zapytałem.

– Masz coś wynieść – odpowiedziała i usłyszałem dyskretny uśmiech ukryty za słowami.

– Do zatem.

– Do.

Nie o płyty chodziło, ale o tęsknotę i pretekst. Czułem tylko, że chcę Magdę zobaczyć. Po drodze kupiłem żółte gerbery, bo lubiła. Gdy spojrzałem na kwiaty, dotarło do mnie, że Magda nie byłaby zadowolona, tym bardziej jej facet. Położyłem je na murku i idąc dalej, pomyślałem, że byłoby wspaniałe, gdybym miał odwagę podarować je przypadkowej dziewczynie mijanej na ulicy. Nie najpiękniejszej, nie najładniej ubranej, a takiej najzwyczajszej. Podejść, dać kwiaty, odejść, zmienić jej nastrój, jej dzień, dać powód do rozmyślań. Widziałem tę scenę bardzo dokładnie w swojej głowie, poprawiała mi samopoczucie, chociaż żałowałem, że nie mam śmiałości zrobić czegoś takiego. Idąc z pustymi rękoma, myślałem, że przecież to już się stało. Kupiłem mojej byłej żonie kwiaty, jakie ma znaczenie fakt, że nie dowie się o tym i ich nie dostanie.

– Zostawił pan bukiet na murku – podbiegł do mnie jakiś dzieciak z uśmiechniętą twarzą i gerberami, które wcisnął mi do ręki.

– Tak, ach, tak – odpowiedziałem i wziąłem kwiaty – dziękuję, ale możesz je sobie zabrać.

Spojrzał na mnie poważnie i powiedział, że mama mu powiedziała, że nie może ich zabrać, tylko że ma mi oddać. No więc podziękowałem jeszcze raz. Dzieciak uśmiechnął się i pobiegł do mamy, która stała z dumną miną, pomachałem do niej gerberami, odmachala, pogłaskała chłopca, po głowie, gdy ten do niej dobiegł. Zaliczyli dobry uczynek, przynajmniej tak czują. Pomyślałem, że to informacja od losu i mam szansę przekroczyć samego siebie i wręczyć kwiaty nieznajomej dziewczynie. Sprawić, że cały jej dzień będzie szczęśliwy. Na przystanku zauważyłem wysoką,

śliczną brunetkę. Co prawda miała być zwyczajna, ale może być piękna, pewnie dla kogoś jest zwyczajna, usprawiedliwiłem przed samym sobą wybór nieznanym, której wręczę kwiaty. Miała krótko ścięte włosy, usta pomalowane na bordowo, a do tego niebieskie kolczyki w kształcie trójkątów. Piękna. Podeszedłem do niej, spojrzała na mnie pytająco, wyciągnąłem przed siebie gerbery.

– Kwiaty! – zakrzyknąłem podekscytowany.

– Słucham? – zapytała.

– Kwiaty – powtórzyłem.

– Nie – odpowiedziała, a ja pośpiesznie odszedłem.

Nie odwracałem się za siebie, czułem, jak palą mnie poliki i oblewam się rumieńcem, potrzebowałem skrzyżowania albo drzwi do jakiegokolwiek sklepu, by zejść jej z oczu, jeśli na mnie patrzyła. Każda kobieta w każdym filmie przyjęłaby te kwiaty i miałyby cudowną opowieść dla przyjaciółek. Pomyślałem, że być może osoba wręczająca kwiaty wypowiada bardziej złożony tekst niż „kwiaty”. Czułem się upokorzony i zaczynałem nienawidzić tego bukietu. Doszedłem do skrzyżowania, odwróciłem się za siebie, czarna bogini stała wciąż na przystanku i nawet się za mną nie oglądała. Stojąc na czerwonym świetle, zauważyłem obok siebie kubeł na śmieci, wrzuciłem do niego gerbery. Gdy podniosłem wzrok, dostrzegłem, że wpatruje się we mnie jakaś staruszka i kręci głową ze smutną dezaprobatą.

Nacisnąłem dzwonek, który sam instalowałem. Dzwonek w moim byłym domu. Miałem ochotę być tym, który otwiera drzwi. Po chwili wyszła Magda, w lnianych spodniach i zielonej męskiej koszuli.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry. – Popatrzyliśmy na siebie i szybko odwróciliśmy

wzrok. Zaprosiła mnie ruchem ręki do środka.

- Napijesz się czegoś?
- Może kawy.
- Wejdz.

Przeszedłem przez salon, zauważyłem, że przybyło w nim książek i nowych mebli, kuchnia pozostała niezmienną. W tle słyszałem starą płytę St Germain, *I want you to get together. Put your hands together one time*. Chciałem opowiedzieć jej o kwiatach, ale zrezygnowałem. Rozmawialiśmy o tym, jak bardzo podrożała ostatnio benzyna. Kawa powoli kapała w ekspresie, poszliśmy do piwnicy. Tak jest bezpieczniej, zająć się czymś wspólnie, gdy rozmowa niesie ryzyko intymności. Może to być szukanie starych płyt, głaskanie psa, sprzątanie szklanki, którą przypadkiem rozbija się na podłodze. Spędziliśmy w piwnicy sporo czasu, nie mogliśmy znaleźć płyt, przekładaliśmy stare fotele, kartony z niepotrzebnymi rzeczami, opakowania po sprzęcie elektronicznym, jakieś teczki. Nie musieliśmy patrzeć sobie w oczy, pozostawanie w ciągłym ruchu, wśród naszych rzeczy, z których większość została zatrzymana tylko z powodu sentymentu, wytworzyło atmosferę bliskości albo raczej przyjemnego pozoru bliskości, jakby wszystko, co minęło, jednak trwało nadal. Po to są piwnice, w których dokłada się rzeczy, a sprząta tylko przy wyprowadzce. W starym kredensie znaleźliśmy około trzydziestu płyt.

Próbowaliśmy rozmawiać o kawie. Tak, by nic nie bolało. Wyjęła kubki z idealnego szeregu identycznych kubków. Uśmiechnąłem się do tego porządku.

- Skąd nagle pomysł z adapterem?
- Dostałem w prezencie.
- Od kobiety?

– Tak – popatrzyłem na nią z irracjonalną obawą.

– I jak jest?

– Dobrze, teraz źle, ale ogólnie dobrze, a u ciebie?

– Jak w zapomnianej piosence – odparła – niby nowa melodia i tekst, ale gdy pojawia się refren, okazuje się, że jednak go znasz, możesz nawet zaśpiewać niektóre fragmenty.

– Smutne.

– Niekoniecznie, raczej przewidywalne.

Opowiedziałem jej, że jadę odwiedzić tatę. Pokiwała za zrozumieniem głową. Porozmawialiśmy chwilę o muzyce i pracy.

– Uważaj na siebie.

– Tak, ty też.

Wyszedłem, a po pięciu minutach wróciłem po płyty.

Wymieniliśmy się uśmiechem i ruszyłem do domu. Zadowolenie z pierwszej normalnej rozmowy, którą odbyliśmy od rozwodu, mieszało się we mnie z tęsknotą i poczuciem straconej szansy. Minął ponad rok. To był mój dom, a teraz jedynie w jego piwnicy czułem się swobodnie.

Zadzwoiłem do Justy, żeby sprawdzić, czy czegoś potrzebuje, nie miałem ochoty iść do szpitala. Powiedziała, że ma wszystko, że cały czas śpi, ale usłyszałem w jej głosie pretensje. Chciałem pobyc chwilę bez niej, bez troski o nią, posprzątać przed przyjściem Gosi, Michała i Siostry. Jutro mam odebrać Justę z toksykologii, zabrać do domu. Czułem się winny, że jej nie odwiedzam, że było mi tak dobrze u Magdy, że mam największą ochotę na czas z przyjaciółmi.

Przyszli wszyscy razem, Siostra przyniosła ciasto, Michał wino, Gosia bilet na koncert The Knife. Poczulem wzruszenie i gdybym nie był mężczyzną albo gdyby mnie lepiej wychowano,

rozpłakałbym się. Zamiast tego zacząłem szybciej poruszać się po kuchni i kilka razy powtórzyłem „dziękuję”. Dita, leżąc na parapecie, spojrzała na mnie z pogardą i zaczęła myć sobie tyłek. Włączyłem na adapterze Ivo Pogorelica, który grał Chopina, koncert z 1980 roku, ale Michał powiedział, że mam wyłączyć, bo strasznie zalatuje uzalaniem się nad sobą. Siostra dodała, że niechętnie, ale musi się zgodzić, i włączyli Abbę. Gosia zapewniła, że jak dla niej mogę sobie słuchać czego chcę, chociaż ani Abba, ani Chopin nie mają znaczącego miejsca na jej półce z muzyką.

Rozmawialiśmy o katastrofie samolotu, powodzi, nowej szczepionce i odkryciach genetycznych, ale również o przepisie na idealną potrawę z avocado, mozzarelli i pomidorów. Wspominaliśmy zmarłą babkę, Kolumba, o którym – jednogłośnie stwierdziliśmy – mamy bardzo złe zdanie, podobnie jak o Marii i Adamie, którzy ogłosili na Facebooku, że są w skomplikowanym związku. Gosia prychnęła, a Michał się zaśmiał. Siostra próbowała wyjaśniać, że za wszystkim stoi i wszystkich determinuje samotność i że to przez chrześcijańską ideę Boga, który stwarza, co zechce, bo mu źle. Musieliśmy się zgodzić, bo to najlepszy sposób zatrzymania konwersacji, którą odbyło się już wiele razy. Po zjedzeniu zapiekanki rozmawialiśmy o seksie. Rozochocony alkoholem Michał składał dwuznaczne propozycje Siostrze, ta jednak stwierdziła, że prędzej uwierzy w Boga, a jeśli to się stanie, odda się Michałowi na wieki. Odpowiedział, że będzie się o to żarliwie modlił, po raz pierwszy od wielu lat. Kłóciliśmy się długo o to, czy pępek, czy łydka jest bardziej seksowna, a następnie oglądaliśmy swoje pępki i łydki, szukając najseksowniejszej. Bez powodzenia.

Po trzeciej w nocy Michał i Gosia wyszli razem, a ja zostałem

z Siostrą w kuchni. Opowiedziałem jej o wizycie u Magdy, o Juście, pytała mnie, czy się boję.

– Tak – odpowiedziałem.

– Czego najbardziej?

– Trochę chcę uciec od Justy i przed Justą, ale kocham ją.

– Skąd to wiesz? – zapytała mnie delikatnie.

– Co?

– Że ją kochasz, skąd to wiesz?

– Z myśli o niej, które są co chwilę, z tego, jak się zachowuje moje ciało, gdy ona jest obok, bo chcę być obok, jeść przy niej, rozmawiać, bo ciekawi mnie, co myśli, bo jak jesteśmy razem, to nie przeszkadza mi jej obecność i nie czekam, aż sobie pójdzie, nie czekam przy niej na bycie samemu.

– Zakochany jesteś, zakochany, dacie radę – stwierdziła Siostra, patrząc w kieliszek wina – to choroba i już, tak o tym pomyśl, gorzej gdyby miała raka albo HIV, albo gdyby straciła nogę, to po prostu choroba, trochę bardziej skomplikowana niż grypa, ale o wiele ciekawsza. Nie znikaj, jeśli kochasz, chroń siebie po prostu, jak z nią jesteś.

– Jak?

– Mów do niej, mów, czego się boisz, czego chcesz, nie tylko słuchaj. Pamiętam matkę, gdy chorowała: nie było miejsca na mnie czy na ciebie, na nikogo nie było miejsca – zawiesiła głos. – Była chora i zawłaszczowała całą przestrzeń, a to oddala każdego ratownika. Mów do Justy, rozmawiajcie.

– Miałem ochotę, wiesz, od waszego przyjścia płakać – wyznałem Siostrze.

– To płacz.

– Tak nie mogę, nie umiem. Po ostatnim spotkaniu z Magdą, gdy

okazało się, że to już nie miłość, a nie wiadomo co, to pomyślałem, że każde uczucie może minąć i może to, co mam z Justą, minie.

– Pijackie wątpliwości, Aruś, może minie, może nie, dowiesz się, gdy będziesz w tym miejscu, a póki co masz wpływ, nie rezygnuj z niego. Kochasz, do cholery, to zawsze jest ciekawe. A przy okazji zdarzyło się tobie w dwie strony.

– Zepsułem ci humor?

– Nie, już jest rano – odparła zupełnie bez sensu, co bardzo nas rozbawiło.

W nocy śniło mi się, że mieszkam we Francji i wszyscy mówią do mnie po francusku, a ja udaję, że rozumiem, chociaż tak naprawdę nie rozumiem nic.

25

Wziąłem na dzisiaj wolne z pracy i poszedłem do szpitala. Powiedziałem Juście, że może zrobić sobie tydzień wolnego i pomieszkać u mnie, może gdzieś pojedziemy, bo uważam, że psychiatryk to nie jest dobra opcja. Zapytała mnie dlaczego.

– Bo to szpital psychiatryczny – wyjaśniłem – a ty nie jesteś chora.

– Jestem chora. Czego się boisz?

– Że ci się pogorszy, przeraża mnie to miejsce.

– To szpital, idę do niego, by mi się polepszyło. Nie byłeś tam nigdy, może boisz się, że będziesz musiał mówić ludziom, że twoja dziewczyna jest w wariatkowie, co? – Uśmiechnęła się i szturchnęła mnie w ramię. – Nie chcesz dziewczyny wariatki? Co?

– Nie jesteś wariatką – odparłem.

– Ależ ja to wiem – spojrzała na mnie z ukosa. – W tym związku to ty jesteś szurnięty. Ha!

Przyciągnęła mnie do siebie tak, że przewróciłem się na łóżko. Zaczęliśmy się całować.

– Ha! – śmiała się głośno. – Widzę, że twój murgrabia się obudził, stęskniłam się.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka, którą widziałem tutaj po raz pierwszy, i z pełną dezaprobatą upomniała mnie,

żebym zszedł z łóżka, bo to nie jest hotel, po czym dodała, że Justa może iść po wypis i skierowanie.

– Dobrze, kochana – odpowiedziała jej Justa, na co pielęgniarka mruknęła coś pod nosem i wyszła z sali.

Czekałem w korytarzu na Justę, która włożyła przyniesione przeze mnie ciuchy, pożegnała się z koleżankami z sali. Poszliśmy na obiad. Cieszyła się, że wyszła.

– Mam skierowanie na Ogrodową, to najlepszy oddział, odezwałam się do znajomej lekarki i mówiła, że jeśli dzisiaj tam pójdę, to zatrzyma dla mnie miejsce.

– Dzisiaj? – zapytałem zdumiony. – Tak szybko?

– Arek – złapała mnie za rękę – nie ufam sobie, kolejny raz może się skończyć gorzej. Jestem wykończona i przerażona, nie mam siły myśleć o tym, jak żyć każdego dnia, nie mam siły pracować, planować.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Skupiłem się na jedzeniu zupy, nie patrzyłem na Justę, bolały mnie szczęki i brzuch.

– Aaaa! – krzyknęła, gdy kończyłem zupę. – Rozmawiaj ze mną, to ja mam problemy, zupa jest ciekawsza?

– Nie.

– O co chodzi? – Dotknęła mojej twarzy tak, byśmy patrzyli sobie w oczy. – O co chodzi? – powtórzyła pytanie, ale zdecydowanie delikatniej.

– Boję się tego, co będzie, boję się tych twoich koszul.

– Dlatego tam idę, żeby nie stracić siebie, żeby nie stracić nas, możesz mnie codziennie odwiedzać – patrzyliśmy na siebie przez chwilę, moja głowa walczyła z emocjami, Justa kontynuowała: – Ja tego nie planuję, ale w każdej wolnej chwili wracają do mnie nachalne myśli o śmierci.

– O śmierci?

– Nie będziesz mnie pilnował cały czas, to niemożliwe. Kusi mnie, by zostać u ciebie, kochać się, pić, słuchać muzyki, tylko jakaś siła we mnie zaciągnęłaby mnie w złe miejsca, które znam. Jestem wykończona.

Patrzyłem na nią. Wróciła do mnie myśl, o której Justa mówiła na toksykologii: że boję się, wstydzę tego, co powiem ludziom, o tym, że moja dziewczyna jest w szpitalu psychiatrycznym.

– Kochasz mnie? – zapytała.

– Kocham – odparłem, bo była to prawda, chociaż w tej chwili nie umiałem tego poczuć.

– Chodźmy do mnie, spakuję się. – Puściła moją rękę. – Chodźmy do mnie się kochać. Co ty na to?

– Chodźmy.

Po drodze trzymała mnie mocno za rękę. Patrzyła pod nogi i nic nie mówiła. Kupiliśmy papierosy, które łąpczywie paliła. Zaraz po zamknięciu drzwi podeszła do mnie, ściągnęła mi koszulę i sama rozebrała się do naga.

– Co widzisz? – zapytała.

– Ciebie.

– Widzisz mnie.

Kochaliśmy się na stojąco, Justa patrzyła na mnie spokojnym wzrokiem. Zapytałem, czy wszystko w porządku, powiedziała, że ta chwila jest w porządku. Wykąpała się, spakowała stare wypisy ze szpitala, ciuchy, telefon, notatnik. Pomagałem jej. Nic nie mówiła i ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Gdy wypchana torba została zamknięta, usiedliśmy przy stole w kuchni, Justa spuściła głowę i rozplakała się.

– Też się boję, wiesz – spojrzała na mnie. – Zabiorą mi energię,

ale ta siła, którą mam, każe mi być w wielu miejscach naraz,
powoduje, że moje myśli skaczą jak oszalałe, jak smażone skwarki.

Przytuliłem ją, płakała.

– Będę przyjeżdżał, to tylko kilka dni i wyjdiesz.

– I wyjdę naprawiona, naoliwiona, nawodniona, z receptami na
nowe życie – uśmiechnęła się i – płakała dalej. – Hejże ha, hejże ho!

– Będę cię odwiedzał – powtórzyłem.

– Dziękuję – popatrzyła na mnie mokrymi oczyma – że nie
oszalałeś, że nie zniknąłeś, że jesteś.

– Jestem.

– Jakie to przyjemnie bez sensu – dodała.

– Chodź, bo się spóźnimy.

26

Trafiamy na izbę przyjęć tuż po 16, przed nami czeka jeszcze dwóch mężczyzn, o bardzo podobnych twarzach. Jestem przekonany, że są rodziną. Jeden cały czas płacze, drugi ma poważną, skupioną minę, co chwilę nachyla się do tego płaczącego i powtarza: przestań.

Podchodzę do pielęgniarki, pokazuję jej skierowanie, wyjaśnia mi, że to chwilę potrwa, żeby sobie usiąść, że przyjdzie lekarz, zbada i podejmie decyzje o przyjęciu na oddział. Przypominam, że mamy skierowanie, ona mi mówi, że zawsze lekarz bada, żeby sprawdzić, czy są przesłanki do przyjęcia i żeby sobie usiąść. Justa mi mówi, że dziwnie się czuje, i widzę, że jej ciało lekko drży, mówi mi, że nie wie, gdzie jest i po co.

- W szpitalu – podpowiadam.
- W szpitalu – powtarza.
- Jeśli chcesz, możemy stąd iść.
- Gdzie?
- Do mnie.

– Po co? – bardziej odpowiada, niż pyta, i podchodzi do tego mężczyzny, który płacze, siada przy nim i mówi mu, żeby płakał, jeśli chce. Mężczyzna siedzący obok wstaje i wychodzi na zewnątrz. Justa pyta tego płaczącego, co się stało, ale ten nie podnosi głowy, nie mówi nic, tylko płacze.

– Chodź, zapalimy, to jeszcze chwilę potrwa – mówię do niej, ona dotyka ramienia płaczącego mężczyzny, co nic nie zmienia w jego zachowaniu, i wychodzimy.

Odpalam jej i sobie papierosa, patrzę na niski budynek, chodnik, a za nim ogród, patrzę na okna z kratami i na Justę, która pali zachłannie i patrzy przed siebie.

– Tu wszystko się kończy czy zaczyna? – pyta mnie.

– Kończy się złe – odpowiadam – dobre się zaczyna.

Przytulam ją, jej ciało poddaje się mojemu dotykowi, bezwolne. Wracamy do poczekalni. Po chwili nadjeżdża karetka, z której wychodzi sanitariusz i policjant prowadzący kobietę o pustym wzroku, w zakrwawionej koszuli. Jestem przerażony. Justa patrzy na kobietę i zaczyna płakać. Nie wiem, co zrobić. Justa mówi, że przez chwilę pomyślała, że to jej mama, i uśmiecha się, co jest jeszcze bardziej przerażające. Myślę, że może dobrze, że tutaj trafiliśmy. Nikt więcej się nie pojawia. Po dwóch papierosach i jednej kawie pielęgniarka prosi Justę, podchodzę z nią do lady, podajemy papiery i idziemy do pokoju lekarza. Pan niech poczeka, zatrzymuje mnie pielęgniarka, pójdę razem z Justą, mówię, ale ona odpowiada, że to indywidualne konsultacje i żebym sobie usiadł. Justa nie patrzy na mnie i wchodzi do pokoju. Po kilkunastu minutach wychodzi z lekarzem, który mówi coś do pielęgniarki. Ta uśmiecha się do nas i zaprasza do lady. Wypełnia wniosek i daje Juście do podpisania. Pytam, czy mogę przeczytać, proszę czytać – mówi pielęgniarka. Czytam i zwracam uwagę na poszczególne słowa: „mania”, „hospitalizacja na toksykologii”, „próba samobójcza”. To nie była próba samobójcza, mówię do pielęgniarki, powiedz, Justa, jak to było, ale ona nic nie mówi. Proszę pana, ja tego nie wymyśliłam, to informacje od lekarza i z karty. Czytam

dalej, że pacjentka zgadza się na hospitalizację i że decyzję o wyjściu ze szpitala podejmie ordynator, patrzę na pielęgniarkę, przecież ona przyszła dobrowolnie, mówię, to znaczy, że sama nie będzie mogła wyjść, jak podpisze ten dokument? Justa mówi, żebym dał spokój, że podpisze, proszę ją, żeby poczekała, bo chcę się dowiedzieć. Pielęgniarka mówi, że przepisy skonstruowane są w taki sposób ze względu na dobro pacjenta i te trzydzieści dni, jakie trzydzieści dni, pytam, ona mówi, że to minimalny czas leczenia w tym wypadku. Patrzę na Justę, ona kiwa głową i podpisuje dokument. Proszę sobie usiąść, mówi pielęgniarka, a my pójdziemy się przebrać – dodaje do Justy. Ma pani pidżamę, ma. Na oddziale półotwartym można chodzić w ciuchach – mówi z uśmiechem, ale na początku będzie pani w pidżamie. Co to znaczy, pytam pielęgniarkę. Nie patrzy na mnie i mówi, że na początku to będzie oddział zamknięty, chcę o coś zapytać, ale uprzedza mnie i wyjaśnia, że to dla bezpieczeństwa i znaczy tyle, że pacjentka nie będzie zostawała ani chwili sama. Czyli nie będzie mogła wychodzić, nie będzie mogła. Ile to potrwa, pytam. To zależy od efektów leczenia, mówi już z uśmiechem i dodaje, że jej zdaniem, ale ona nic nie wie na pewno, nie dłużej niż dwa tygodnie. To długo, mówię, to krótko, odpowiada i żebym sobie usiadł, bo muszą iść się przebrać.

Odprowadzam Justę ubraną w pidżamę na oddział, na pierwsze piętro. Niżej, na parterze, jest oddział półotwarty, z wyjściem na ogród. Na drugim piętrze jest najgorzej, tak mówi mi mężczyzna w poczekalni, gdy Justa się przebiera. Co jest na drugim piętrze? – pytam. Katatonicy i wariaci – odpowiada. Dostaję numer telefoniczny do dyżurki pielęgniarek, gdybym chciał zadzwonić, mogę odwiedzać każdego dnia pomiędzy 10 a 18, ale lepiej

wcześniej dowiedzieć się o stan albo czy pacjentka, Justa – mówię, sobie życzy, kończy ona. I kładzie mi rękę na ramieniu, i mówi, że będzie dobrze. Justa kładzie się do łóżka. Chcę jej zostawić reklamówkę, a w niej: jedzenie i kubek, i sztucce, i papierosy. Pielęgniarka otwiera reklamówkę, wodę i jabłka proszę zostawić, mówi, żadnych sztucców, kubek z gliny też nie, żadnych sznurowadeł i ostrych narzędzi, proszę pana. A papierosy proszę nam zostawić, podpiszemy, bo czasami kradną. Kradną, pytam, pacjenci kradną, mówi. Całuję Justę, przytulam i mówię, że ją kocham, spływa jej swobodna łza, pielęgniarka mówi, że dziś będzie tylko krótki wywiad, a potem dostanie coś na sen i żebym jutro przyszedł albo zadzwonił.

Wychodzę z oddziału, mijają mnie kobieta, która pyta, czy mam papierosa, daję jej. Pyta, czy mam może dwa albo cztery, daję jej cztery, pyta, czy mam może pięć albo paczkę, daję jej paczkę. Uśmiecha się, pyta, jak mam na imię. Mówię, że Arek, a ona na to, że ma kota, który potrafi skakać jak koza, i zaczyna się głośno śmiać. Odchodzę, ona miauczy za mną, odwracam się i widzę, jak macha papierosami, podskakuje uśmiechnięta. Może źle zrobiłem. Czuję się jak zbrodniarz i jeszcze czuję, że płaczę. Zakładam okulary przeciwsłoneczne i wyobrażam sobie Justę w szpitalu. Żadnych sznurowadeł, jak niby zabić się sznurówkami i dlaczego zmuszają mnie, bym o tym myślał.

Do domu wróciłem piechotą, mijali mnie ostatni pracownicy wracający z pracy, spieszyli zmęczeni. Obok przeszła grupa młodych ludzi, szli do klubów, pubów, na imprezy, bawić się. W ich ruchach było więcej energii, rozmawiali głośno. Pierwszy szpital psychiatryczny zwany „Kamienicą dla obłąkanych” powstał w XII wieku w małej miejscowości Afisenna, w ubogiej dzielnicy miasta

trzymano obłąkanych, szalonych i trędowatych. Nie wolno im było opuszczać terenu ośrodka, oddzielonego od miasta murem i fosą. Nie leczono ich, chodziło o to, by byli odosobnieni od reszty społeczeństwa. By nie zarazili normalnych szaleństwem, a zdrowych chorobą. Kolejne miejsca dla chorych psychicznie powstawały jak grzyby po deszczu, nazywano je przytułkami, niekiedy poczekalniami, szpitalami, chociaż najbardziej przypominały więzienia. Ci, którzy tam trafiali, stawali się przedmiotem obserwacji, niekiedy eksperymentów, a prawie zawsze nadużyć. Przez minione kilkaset lat wiele się zmieniło. Obecnie szpitale psychiatryczne powstają głównie dla nas, określanych jako zdrowych, żebyśmy czuli się bezpiecznie, ze świadomością, że skoro jesteśmy tutaj, a nie tam, to wszystko z nami w porządku.

W pewnym momencie, pogrążony w myślach o Juście, zauważyłem, że znalazłem się przed domem Magdy. Zawróciłem. Jednak po chwili stwierdziłem, że skoro tutaj jestem, to może powinienem się przywitać. Nie analizując, nie rozważając, zadzwoniłem do drzwi. Otworzył mężczyzna w garniturze, którego twarz pierwszy raz widziałem podczas rozwodu, spojrzał na mnie przestraszonymi oczami i powiedział dzień dobry. Odpowiedziałem dzień dobry i zapytałem, czy jest Magda. Wszedł do środka i zamknął drzwi. Po chwili, wśród różnych odgłosów wyszła roześmiana Magda, w eleganckiej sukience i starannym makijażu

- Arek! – Była pijana. – Co tu robisz?
- Przechodziłem, przyszedłem się przywitać.
- Chcesz jakieś płyty? – zaśmiała się serdecznie.
- A zostały jakieś?
- Nie wydaje mi się, chyba że jakieś podrzuciłeś – nagle zrobiła

minę poważną i zatroskaną: – Co się stało?

– Chyba przeszkadzam – odparłem.

– Jerzy ma urodziny, mamy małe przyjęcie, mogłabym cię zaprosić, ale byłoby to jednak dosyć niezręczne.

– Dla kogo? – zapytałem.

– Dla ciebie, dla Jerzego, dla mnie, dla gości, myślę, że koty nie miałyby nic przeciwko – ponownie się uśmiechnęła.

– Rozumiem, zatem udanej imprezy – zacząłem schodzić ze schodów.

– Arek, co się stało?

– Justa trafiła do szpitala, wracałem do domu i nagle znalazłem się tutaj, bez sensu.

– Przykro mi, to coś poważnego?

– Nic takiego, przeżyje, spokojnie.

– Zadzwoń do ciebie jutro.

– Nie musisz – powiedziałem.

– Wiem – uśmiechnęła się i dodała: – Pa, eksie.

– Pa, eksowa.

Z domu zadzwoniłem do szpitala, Justa spała, dostała leki na uspokojenie. Położyłem się na kanapie, obok postawiłem karton soku i chipsy. Przez trzy godziny oglądałem telewizję. Przed snem opróżniłem połowę lodówki, położyłem się do łóżka, osiągnąłem orgazm sam ze sobą i usnąłem.

Obudził mnie sen o mordercy, który śnił mi się w dzieciństwie co jakiś czas. Zostaję sam w domu, jest ciemno i wieje wiatr. Oglądam coś w telewizji, gdy nagle słyszę niepokojący hałas. Wyłączam telewizor i nasłuchuję. Na zewnątrz szczeka pies. Podchodzę do drzwi wejściowych, słyszę pukanie.

– Nikogo nie ma w domu – mówię, stojąc przed zamkniętymi na zamek drzwiami. Nikt mi nie odpowiada, chociaż dobrze wiem, że ktoś stoi po drugiej stronie. – Kto tam? – pytam.

– Wiesz przecież.

W tym momencie wiem, jestem zupełnie przekonany, że przyszli mnie zabić, zaczynam uciekać, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa, stają się ciężkie, coraz cięższe. Pomimo to próbuję uciec do kuchni, by wyjść oknem, słyszę hałas wyważanych drzwi. Z ołowianymi nogami przewracam się, odwracam twarz w kierunku drzwi i widzę pochylone nade mną dwie twarze: matki i babki.

Nienawidziłem tego snu. Czasami, gdy zostawałem sam w domu i wspomnienie snu do mnie wracało albo gdy czegoś się przestraszyłem, zapalałem wszędzie światło i zaczynałem obchód mieszkania. W każdym pomieszczeniu sprawdzałem wnęki, szafy, miejsca pod łóżkiem, w których mógłby się ukryć morderca. Po

sprawdzeniu wszelkich możliwych kryjówek siadałem w pokoju i czekałem, aż wróci ktoś z dorosłych, bardzo uważnie słuchając tego, co obok.

– Czemu znowu wszędzie jest zapalone światło? – pytała mnie matka.

– Bo nikogo nie było.

– To nie jest powód, wiesz, że potem trzeba za to zapłacić, czego tu się bać, nie jesteś już małym chłopcem, więc przestań się mazać – a to babka.

– Nie mażę się.

– Ale masz zamiar zaraz zacząć – kończyła babka.

W całej niechęci do siebie te dwie kobiety doskonale dogadywały się w przedmiocie mojej osoby. Kilka razy w takich sytuacjach faktycznie płakałem, ale im większy i starszy się stawałem, tym rzadziej się to zdarzało, aż przestałem płakać zupełnie. Mimo wszystko, gdy jestem sam w domu, przed pójściem spać raz na kilka miesięcy sprawdzam, czy pod łóżkiem albo w szafie ktoś się na mnie nie czai. Nigdy nikogo nie znalazłem i mam nadzieję nie znaleźć. Ale kto to może wiedzieć.

Poszedłem pod prysznic i postanowiłem, że będę płakał. Nic z tego nie wyszło. Wydawało mi się, że jest we mnie ruchome morze, ogromna ilość łez, która powinna wypłynąć, ale nic poza wodą z prysznicą nie spływało mi po twarzy.

Usiadłem do biurka z kawą w ręku. Dita wskoczyła mi na kolana, obróciła się kilka razy i położyła. Gdy na nią patrzyłem, pomyślałem, że jest doskonała. Skupiłem się na tym co niezbędne i napisałem zupełnie nijaki artykuł. Istniała szansa, że Krzak będzie zachwycona. Zadzwoiłem do Justy.

– Jak się czujesz?

– Rozsypana, strasznie tu jest, Baśka krzyczała w nocy, nie mogłam spać, dają mi jakieś stabilizatory, chce mi się jeść.

– Kto to Basia, coś ci przynieść?

– Przynieść, Basia? – zawiesiła słowa w powietrzu.

– Coś przynieść do jedzenia?

– Jabłka, chcę jabłek i kawy.

– Będę za dwie godziny – powiedziałem.

– Tak późno. – Zaczęła płakać.

– Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje, tu się płacze, Arek, jestem w szpitalu. –

Miała rozpacz w głosie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, Justa po chwili zaczęła się śmiać, bo obok niej przebiegła jakaś pacjentka bez bluzki, a za nią biegł sanitariusz.

– Wiesz – zaczęła – to takie małe więzienie, ale mogę tu dużo więcej niż na ulicy. Nikt nie patrzy na mnie dziwnie. Byłam na godzinnej rozmowie u mojej psychiatry, patrzyła na mnie przez jakieś trzy minuty, a całą resztę pisała to, co mówię.

– O czym rozmawiałyście? – zapytałem.

– O mnie, o wszystkim, pytała o to, co jem, co lubię, czego się boję, czy chcę się zabić, pytała o mamę i tatę, o przyjaciół, o ciebie.

– O mnie?

– O męża, partnera, dziewczynę, przyjaciół – wyrzucała pośpiesznie słowa i płakała.

– Czy mam być wcześniej? – zapytałem.

– A dlaczego?

– Bo płaczesz.

– Będę płakać i niech to nic nie przyśpiesza – zaśmiała się. – Po prostu przyjdź, potrzebuję porozmawiać z normalną osobą.

Postanowiłem, że w przyszłym tygodniu pojedę odwiedzić tatę. Potrzebowałem – jak zawsze w kryzysowych chwilach, gdy nic nie wiem o przyszłości, przeszłość straszy, a teraźniejszość zmienia się co chwilę – jakiegoś planu, decyzji, zadania do wykonania. W takich momentach muszę mieć poczucie, że mam na coś wpływ. Zdecydowałem się poznać mojego ojca, bo z tego co wiem, wciąż żyje, bo jeśli tego nie zrobię, będę zawsze żałował, bo muszę się dowiedzieć, dlaczego odszedł i chcę podać mu rękę, a najlepiej przytulić się chociaż na chwilę.

Kupując na straganie jabłka, usłyszałem, jak rozmawiają dwie nastolatki.

– Jesteś zwykłą dziwką.

– Wiem – odpowiedziała ta druga z uśmiechem, a po chwili dodała – ale ty większą.

– No nie wiem – stwierdziła ta pierwsza, również się śmiejąc.

Gdy jechałem do szpitala, zadzwonił Michał.

– Będiesz jutro? – zapytał.

– A co jest jutro?

– Rocznicą.

– Tak, będę, oczywiście, będę, o której?

– Chciałem na szesnastą iść i posiedzieć jak zawsze z piwami, ale wiem, że Justa i masz sprawy teraz, więc jak co, to luz.

– Nie ma problemu, będę, to ważne.

– Srażne, mówię, że jak problem, to nie przychodź.

– Będę.

– Na cmentarzu o szesnastej, jak u ciebie?

– Idę do szpitala właśnie.

– Jak ona?

– Różnie, sam nie wiem.

- Pogadamy jutro, co?
- Tak.
- Dzięki.
- Nie ma za co.
- Dobra, dobra, na razie.

Nie opuściłem żadnej rocznicy śmierci Miłości Michała. I chociaż nie miałem teraz najmniejszej ochoty na wizytę na cmentarzu, wiedziałem, że pójdę. Michał prosił mnie o coś tylko kilka razy, od kiedy się znamy.

W szpitalu pielęgniarka zagląda mi do torby i sprawdza, co przynoszę. Ogląda każdą rzecz, w końcu kiwa z aprobatą głową i prowadzi do pokoju. Justa jest w toalecie, proszę poczekać tutaj albo w palarni, mówi, poczekam tutaj, odpowiadam. Kobieta na łóżku obok uśmiecha się i szepcze „podaj”. Co mam podać, dopytuję, co tam masz, ona na to. Jabłko, proponuję, na co ona, że owoców nie lubi, wyciąga rękę, bierze jabłko i zaczyna je jeść. A papierosy, pyta, podaję jej wysuniętego papierosa, a ona chwyta całą paczkę i szybko wkłada ją pod poduszkę. Na to wchodzi Justa, w pidżamie, potarganych włosach, bez makijażu.

- Baśka, oddaj! – krzyczy.

Baśka przyciska głowę do poduszki, Justa podchodzi do niej i wyszarpuje jej paczkę papierosów.

– Stara kurwo, komunistyczna kurwo, kurwo ty! – krzyczy Baśka na całe gardło.

- Idziemy stąd – mówi do mnie i łapie mnie za rękę.
- Gdzie?

– Do palarni. Baśka wszystko kradnie, nic jej nie dawaj, odwiedza ją mama i przynosi wszystko, co potrzebne, w nocy ukradła mi paczkę fajek i spaliła całą w trzy godziny.

Gdy idziemy korytarzem, słyhać, jak Baśka krzyczy: Pe! Gie! Er! Pe! Er! El! Kurwaaaa! Do pokoju wchodzą dwie pielęgniarki, Baśka krzyczy jeszcze bardziej, po chwili przestaje. Pewnie dostała coś na uspokojenie i pasy, wyjaśnia Justa. Pasy, pytam? Często ją przypinają, odpowiada i dodaje, że tutaj każdy mówi o sobie, tylko o sobie. Nie wytrzymam tu długo, dodaje, ale psychiatra obiecała, że jak będę się czuła spokojnie i jak nic nie wywinę, to pójdę na półotwarty, może po weekendzie. Może później. Na oddziale leży ponad dwadzieścia kobiet. To najlepszy szpital w województwie, mówi, wszyscy sobie chwalą, cztery pielęgniarki na dyżur. To mało, stwierdzam, a Justa patrzy na mnie jakby ze złością. To dużo, odpowiada podniesionym tonem, w Bagdadzie na pięćdziesięciu pacjentów są cztery. Siadamy w palarni, spory pokój z trzema stołami i krzesłami, okno otwarte na oścież, widok przez kraty na ogród i spacerujących pacjentów. Na ścianie wiszą niezbyt udane rysunki.

– Co dzisiaj robiłaś? – pytam.

– Nic – zawiesza głos – wstałam wcześniej na gimnastykę, bez sensu zupełnie, potem rozmowa z tą psychiatrą, dobierają mi leki. Mam dwa razy w tygodniu na grupową chodzić, raz na indywidualną, muzykoterapia i pracownia plastyczna, jeśli chcę, zrobić ci coś?

– Co?

– Laurkę – mówi – mogę ci zrobić laurkę albo loda – i zapala papierosa.

– To loda poproszę – uśmiecham się.

– Coś wykombinuję – przysuwa się bliżej i całuje mnie, po czym siada mi na kolanach.

Do palarni wchodzi starsza kobieta, staje w otwartych drzwiach

i patrzy. My patrzymy na nią. Justa schodzi mi z kolan i siada obok. Kobieta cały czas stoi nieruchomo. Justa się złości, nic nie mówi, podchodzi do okna i pali. Po chwili przychodzi pielęgniarka, bierze kobietę pod rękę, zagląda do nas, patrzy na mnie i mówi dzień dobry, pyta, do kogo przyszedłem, mówię dzień dobry i że do Justy, i patrzę na nią. Pielęgniarka mówi, to dobrze i odchodzi ze starszą kobietą, która poddaje się ruchowi jej ręki.

Justa stwierdza, że się boi utknąć tutaj, że ją wyśrodkują tak, że już nic nie będzie czuła. Mówi powoli, czasami płacząc, czasami się śmiejąc. Zjadamy dwa jabłka, wypijamy po sypanej, obrzydliwej kawie i spalamy wiele papierosów. Justa ma ogromny apetyt. Wszystkie te kobiety są grube, przez psychotropy się tyje, mówi, ja też będę gruba i brzydka. To niemożliwe, żebyś była brzydka, odpowiadam. Muszę iść na terapię, co wydaje mi się w obecnej sytuacji kuriozalne, bo niby jakie mam problemy, Justa idzie na muzykoterapię. Tutaj też puszczają muzykę z adapteru, mówi i odprowadza mnie do szklanych drzwi. Przytulamy się mocno i długo, obok niej stoi pielęgniarka. Gdy wychodzę, co chwilę odwracam się za siebie, widzę Justę za szklanymi drzwiami. Moja babka mówiła, że jak nie umiesz się z kimś pożegnać, to nie powinieneś w ogóle się witać.

Wracam przez korytarz oddziału półotwartego, podchodzi do mnie ta sama kobieta co wcześniej, pyta, czy mam papierosa albo dwa. Mówię, że ostatnio dostała całą paczkę. Uważnie mi się przygląda i pyta, czy drugi raz się na to nie nabiorę. Mówię jej, że niezła z niej kotka, ona się śmieje i pyta, czy odwiedzam tu rodzinę, brata, przyjaciela albo kuzyna. Wyjaśniam, że dziewczynę, kręci głową i mówi o nie, nie, mogę skłamać, ale nie chce słyszeć o żadnych związkach, bo jej nikt nie odwiedza, brat, przyjaciel czy

kuzyn, pyta, mówię, że przyjaciel. Pyta, co mu się stało, odpowiadam, że obudził się i myślał, że jest zabłą. Śmieje się bardzo głośno i mówi do mnie, że bym jej kupił batona i przyniósł, jak będę jutro przychodził, i daje mi dwa złote, pytam jakiego i jak mam do niej mówić, odpowiada, mów mi tak, jak mówisz, czyli Niezła Kotka, i najlepszego, jaki będzie w tej cenie. Pyta, czy chcę całusa na do widzenia, mówię, że mój przyjaciel mógłby nie być zadowolony, kiwa ze zrozumieniem głową, śmieje się i odchodzi. Patrząc za nią, szybkim krokiem idzie przed siebie, zaczepia jakąś kobietę, która ją mijają, kobieta zatrzymuje się, po chwili wyciąga paczkę papierosów.

W drodze na terapię zadzwoniłem do Justy i opowiedziałem jej o Niezłej Kotce, długo się śmialiśmy i zrobiło mi się w środku swobodnie. Miałem ochotę zawrócić i zamieszkać na chwilę na korytarzu oddziału półotwartego, by zobaczyć, na co nie mam odwagi, i zrobić to wszystko.

Czekając na sesję, zauważyłem młodą kobietę, całą we łzach wychodzącą z pokoju terapeutycznego.

- Co pani jej zrobiła? – zapytałem na początku sesji.
- Co ma pan na myśli? – Nie było odpowiedzi, tylko pytanie, pytania.
- Ta kobieta płakała – wyjaśniłem.
- A co pan czuje?
- Och – westchnąłem, bo nie wiedziałem, co czuję – w sumie to żałuję, że nam nie wyszło.
- Nam? – zapytała i popatrzyła na mnie tak, że poczułem absurdalność tej uwagi, jej nieautentyczność.
- Nieważne – odpowiedziałem.

Później szczegółowo opowiedziałem jej o ostatnich wydarzeniach, o Juście i tym, że w weekend pojedę do taty.

– Czego się pan boi? – zapytała.

– Globalnego ocieplenia, faszystów w żałobie u władzy i tego, że wszystkie skarpetki będę miał bez pary, jak dalej będą ginęły w takim tempie.

– A co pan teraz robi?

– Mam się dobrze, dziękuję, pewnie chodzi pani o to, że się dystansuję do swoich uczuć, ale szpital psychiatryczny działa na mnie bardzo twórczo.

– Myślę, że nie wprost złości się pan na mnie, poza tym, że poprzez dygresje ucieka od własnych emocji.

– To irracjonalne, o co mam się na panią złościć?

– Może o to, że tak jak pan powiedział, nie wyszło nam.

– Czyli była szansa? – zażartowałem.

– Nie było – odpowiedziała i całe moje podniecenie zgasło – ale może pan się czuć zraniony, ponieważ nie odwzajemniłam pana uczuć. Przypomina mi to pana relację z mamą.

I w ten standardowy, psychologiczny sposób, bo moja terapeutka wie, co robi, rozmawialiśmy o moim dzieciństwie, o tym, jak blokuje swoje uczucia wobec kobiet albo wybieram takie, na których miłość muszę czekać. Gdy jej słuchałem, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że pani Ewa staje się piękniejsza, powiedziałem jej o tym, a ona tylko przewróciła oczami i kolejny raz opowiedziała mi o etyce w zawodzie psychoterapeuty. Chwilę dyskutowaliśmy o biernej agresji, o tym, że wybieram żarty i skupianie się na wyimaginowanej relacji zamiast mierzenia się z tym, co trudne, w już istniejącej.

Wyszedłem z terapii dosyć przygnębiony. W domu wybrałem

numer telefonu do zakładu pogrzebowego mojego ojca, usłyszałem męski głos, który nie należał do mojego brata, i odłożyłem słuchawkę, serce biło mi szaleńczym tempem. Stwierdziłem, że niespodzianka, wizyta bez zapowiedzi będzie lepsza niż umówione spotkanie z ojcem, którego nie widziałem kilkadziesiąt lat. Nawet jeśli stoi za tym lęk.

Wziąłem Dite na ręce i mocno przytuliłem. Czułem, że zaniedbałem ją ostatnimi dniami. Dita po chwili wyrwała się i ostentacyjnie umyła swoją sierść w miejscach, w których ją głaskałem. Powiedziałem jej, że nic mi to nie robi, że wiele kobiet gorzej mnie potraktowało i goniłem ją po całym pokoju. Schowała się za kanapą. Justa wysłała esemesa „Przynieś proszę jabłka i papierosy, chcę się kochać, pieprzyć z Tobą. Psychiatra mi dziś powiedziała, że wybrałam sobie nie najlepszą wersję życia. Powiedziałam jej, że gówno, a nie wybrałam. Wersja życia. Gówno”. Napisałem, że ją kocham i że mam wielką ochotę być w niej. Onanizując się, wyobrażałem sobie jej piersi i oczy. W finalnym momencie Dita wyskoczyła zza łóżka, przebiegła przez mój brzuch i wszystko zepsuła. Czasami niemal dokładnie to samo robiła Magda. Zrobiłem sobie kanapki i włączyłem *Pół żartem, pół serio*. Nikt nie jest doskonały.

28

W nocy obudziłem się kilka razy, przestraszony złymi snami, deszczem, jakąś urwaną myślą. Po szóstej wyszedłem z łóżka i przygotowałem materiały do pracy, tak by zdążyć odwiedzić Justę i pójść z Michałem na cmentarz, chociaż nie miałem na to ochoty. Na cały dzień, który się zaczynał. Marzyłem o tej chwili, gdy pójde spać, zwolniony z każdej konieczności. Taka codzienna, chciana i kojąca śmierć na niby. Pojechałem do biura samochodem, w radiu mówili, że umarł właśnie najstarszy mężczyzna na świecie. Jego sposobem na długowieczność było jedzenie bakłażanów. W redakcji Krzak pochwaliła mnie za całokształt pracy, ponieważ napisała do niej Dymna, że chciałyby, aby gazeta objęła patronatem medialnym ogólnokrajową akcję jej stowarzyszenia, co dobrze zrobi wizerunkowi naszej redakcji. Powiedziała, że oczywiste jest dla niej, że to ja zbudowałem ten kontakt, więc będę go utrzymywał. I że nie obchodzi jej moja prywatna relacja z panią Anną, wszak w tym, co robię z ramienia gazety, muszę być profesjonalny, etyczny. Zmotywowany wróciłem do pisania artykułu, szło mi wyjątkowo dobrze. Skończyłem tekst i dołączyłem na Facebooku do grupy „Musiałoby mnie pojechać, żeby karmić rybki albo uprawiać rzodkiewkę na fejsie”. Podeszła do mnie Magu i poprosiła, bym przetestował nowy program do przeszukiwania danych.

- Dlaczego ja? – zapytałem.
- A dlaczego nie?
- Magu, proszę cię, chciałem wcześniej wyjść, dlaczego ja?
- Krzak mi zleciła, bym przekazała to dziennikarzowi, który ma dzisiaj dyżur. Chce dostać raport opisujący nowy system.
- Zaraz kończę dyżur... – próbowałem negocjować.
- No to musisz się śpieszyć, swoje zadanie wykonałam – powiedziała z uśmiechem i odeszła.

Poszedłem do Łukasza, małomównego nowego pracownika redakcji, pokazał mi, jak działa system. Zapytałem, czy mogę go zabrać do domu i tam sprawdzić, wyjaśnił, że dopóki nie zostanie zatwierdzony przez naczelną, ma zakaz kopiowania go komukolwiek. Testując oprogramowanie, rozmawiałem z Łukaszem, który cały czas skubał się za włosy na brodzie i nie patrzył w oczy dłużej niż sekundę.

– Jak to jest być dziennikarzem? – zapytał mnie, a ja spojrzałem na niego wielkimi oczami.

– Męczące, cały czas szukasz, sprawdzasz, poprawiasz, potem masz wrażenie, że tylko przestawiasz słowa, zdania, że to już było.

– Jego mina robiła się coraz bardziej smutna. – Ale dobrze poznawać nowych, interesujących ludzi, a później przeczytać swoje nazwisko pod czymś ciekawym w gazecie – dodałem. – A dlaczego pytasz?

– E – zaczerwienił się od szyi po czubek głowy. – No bo też bym kiedyś chciał, tak jak pan.

– Arek – powiedziałem, on wysunął rękę, drugą jeszcze mocniej skubiąc się po brodzie.

– Czytałem pana, znaczy twoje – poprawił się i przez chwilę patrzył mi w oczy – artykuły, bardzo dobre.

– Dziękuję – byłem mile połączony – więc chciałbyś być dziennikarzem?

– Najbardziej to chciałbym być pisarzem – odrzekł.

– Zrób to koniecznie – stwierdziłem podekscytowany – jeśli chcesz, zrób to.

– No tak, ale jak?

– Po prostu nie zostań dziennikarzem.

Łukasz uśmiechnął się i namiętnie skubnął po brodzie.

Skończyłem testować oprogramowanie i powiedziałem mu, że wykonał dobrą pracę i wszystko przekażę naczelnej. Po wyjściu z redakcji kupiłem jabłka, papierosy, pluszowego misia dla Justy oraz jakieś słodycze i czekoladę dla Niezłej Kotki.

Gdy spotykam ją na korytarzu, uśmiecha się i pyta, jak mój przyjaciel-żaba. Odpowiadam, że szuka księżniczki i wszystkich całuje. Śmieje się bardzo głośno, daję jej czekoladę, ale jest bardzo niezadowolona, mówi, że chciała batona, bo uwielbia ten kształt, a głupio gryźć czekoladę. Mówię, że przyniosę następnym razem batona. Każe mi obiecać, obiecuję.

Justa leży na łóżku, na mój widok podnosi się i po chwili opada z powrotem. Mówi, że jest wykończona, że dają jej za silne leki, że to wszystko bez sensu.

– Przyszedłeś – mówi.

– Bo chciałem.

– Przyszedłeś, bo nie ma innego wyjścia. Bycie z kimś to ograniczenie się do jednego wyboru, nie uważasz? – I mówi dalej: – Zazwyczaj szczęśliwego na początku, a ze mną to wybór nieszczęśliwy i bez sensu.

Przytulam ją, a ona mówi, że nie muszę tego robić, że fajki wszyscy i tak kradną, więc ona będzie kradła, a bez jabłek przeżyje,

a jak nie przeżyje, to co to ma niby znaczyć. Patrząc jej w oczy i mówię, żeby przestała pieprzyć głupoty, że jest chora, ale niebawem wyzdrowieje.

– A jeśli nie jestem chora, jeśli taka jestem i nic nie da się zrobić?
– pyta.

W tym momencie Baśka rozpoczyna swoją litanie o komunizmie i zaczyna płakać. Justa też płacze i mówi, żebyśmy poszli do palarni. Łóżko, kibel i palarnia to ulubione dzielnice tego chorego miasta, dodaje. Opowiada, że polubiła Baškę, która ze swoją schizofrenią nie pojmuje świata, w którym jest, że czasami ją karmi, ale raz Baśka ją podrapała i pokazuje mi rękę, płacze. Pytam, czy nie mogłaby się przenieść do innego pokoju, mówi, że w każdym pokoju są wariatki i że lubi Baškę mimo wszystko, tylko nocami ją budzi za często. Opowiadam jej o Michale, rocznicy śmierci, o telefonie do taty, o terapii, o artykule z gazety, o nowym prezydencie, nowej potrawie, ale nic nie interesuje jej na dłużej i naprawdę. Wypija kawę, spala zachłannie kilka papierosów i mówi, że przeprasza, ale musi iść spać, że ciągle śpi ostatnio, i że powietrze śmierdzi tutaj tak jak czasami komuś z buzi. Komuś, komu zepsuły się zęby, dodaje.

Wychodzę ze szpitala przygnębiony, liczę na spotkanie Niezłej Kotki, ale nie ma jej nigdzie. Wpada na mnie jakiś mężczyzna w pidżamie, podnosi przestraszony wzrok i oddala się, pomrukując coś pod nosem i szurając stopami. Myślę o rozmowie na terapii i kobietach ze swojego życia, a raczej miłości, którą znam, że była do tej pory zwyczajnie nieszczęśliwa. Słyszę słowa terapeutki, że to ja wybieram osoby w swoim życiu, że zrzucanie tego na przypadek to ucieczka przed świadomością i odpowiedzialnością, jednak nie potrafię uwierzyć w tę myśl. Kocham Justę, poznaną przypadkiem.

Nie wiem, kiedy ją wybrałem, wtedy, gdy na nią pierwszy raz popatrzyłem czy kiedy pierwszy raz się dotknęliśmy, a może wtedy, gdy pierwszy raz wyznaliśmy sobie miłość. Gdzie jest moment, który określa moje wybory?

Kupiłem kwiaty i poszedłem na cmentarz. Miałem godzinę w zapasie, więc postanowiłem odwiedzić mamę i babkę. Wokół ich nagrobków rosła wysoka trawa, ale ktoś postawił nowe świece. Pewnie Siostra. Zadzwoiłem do niej, wyjaśniła, że byli z Grzegorzem kilka dni temu. Zapytała, czy może dać mi klucze, bo wyjeżdżają na urlop na dwa tygodnie i byłoby dobrze, gdybym wszedł kilka razy, zapalił światło, mogę tam mieszkać, jeśli chcę. Powiedziałem, że nie ma problemu.

W drodze na grób Miłości zauważyłem Michała próbującego się ukryć za sosną rosnącą przy kaplicy. Wyjaśnił, że rodzice Miłości są na cmentarzu, przy jej grobie, nie chciał się z nimi widzieć. Dzwonią do siebie na święta i z innych szczególnych powodów, ale gdy w minione rocznice spotykali się przy grobie, to mama Miłości zawsze płakała i go przytulała, a on ją pocieszał, a w tym roku nie ma na to siły. Usiedliśmy, otworzyliśmy po piwie, telefon Michała wciąż dzwonił, ale nie odbierał.

– Źle wyglądasz – stwierdziłem.

– Ty też – odpowiedział, nawet na mnie nie patrząc.

Uśmiechnąłem się. – Gosia zaprasza na wieczór do siebie, będzie sama, ma jakiegoś przydupasa, pewnie chce porady – zaśmiał się.

– O, a co to za jeden?

– Sędzia albo informatyk, nie wiem, ona zawsze wybiera nudnych, takich, przy których może być gwiazdą – odpowiedział. – Jak u ciebie?

– Z Justą smutno dziś, kiepsko.

– Miłość, kurwa, miłość – westchnął. – Ostatnio wymyśliłem, że gdybym płacił lasce za to, że z nią jestem, to coś by z tego wyszło.

– Prostytycja?

– Nie, kurwa, nie! Jak przerwałem studia, to po kilku latach skończyłem je tylko dlatego, że musiałem płacić. Kasa motywuje jak nic, więc gdybym jej płacił, to jest szansa, że bym ją traktował zupełnie serio i coś by z tego mogło być.

– Poważnie mówisz?

– No, nie zrobię tak, ale pomyślałem o tym, że płacę lasce, powiedzmy, tysiąc co miesiąc, to mnie motywuje, a jak w coś inwestuję, to nie odpuszczam.

– Ale ona może odpuścić, i co wtedy z kasą?

– Chodzi o to, że ja odpuszczam, a tak szansa jest większa.

– No ale co z uczuciem?

– Przecież płaciłbym lasce, którą kocham!

– Myślę, że można być szczęśliwym z kimś, kogo się kocha, i nie trzeba za to płacić.

– Można, kurwa, wszystko, Arek, przecież ja wiem! Można wejść na Everest i można samemu sobie loda zrobić, ale że można nie znaczy, że ja mogę.

Musiałem mu przyznać rację. Ukryci za kaplicą, co chwilę sprawdzaliśmy, czy przy grobie Miłości nie ma już nikogo.

– Przypomina mi to, jak mieszkała u rodziców i czekałem pod jej oknem, aż zgaśnie światło w całym domu, a ona wymknie się przez balkon – powiedział Michał i zaśmiał się.

Nie był to śmiech bolesny, raczej przepełniony czułością. Taką, jaką odczuwa się wobec wspomnienia ukochanej osoby, która odeszła na tyle dawno, że jej utrata nie wywołuje już rozpacz, a jedynie pustkę. Gdy w końcu mogliśmy pójść do Miłości Michała,

minęły nas dwie staruszki.

– Jadźka ma nowego – oznajmiła jedna z nich i pokręciła z dezaprobatą głową.

– Dlatego cały grób jak pogorzeliśko, wstyd, Wojciech się w grobie przewraca – odpowiedziała druga i splunęła.

– A widziałaś, jak ona żre?

– Jak? – Przystanęły.

– Jak świnia – powiedziała ta pierwsza i poszły dalej.

Zdruzgotane.

Usiedliśmy na małej zniszczonej ławeczce, którą dawno temu postawił Michał. Otworzyliśmy po piwie. Zapaliliśmy papierosy i zaczęliśmy rozmawiać o polityce, zbliżały się wybory prezydenckie. Stwierdziliśmy, że pójdziemy głosować nie po to, by wybrać swojego lidera, ale przeciwko komuś.

– Zauważyłeś, że politycy są brzydzy? – zapytał Michał. – Babki to maszkarony, faceci pulchni i obleśni, miejsca dla niedorzęniętych frustratów, którzy na innym polu sobie nie poradzili.

– Muszą być jacyś ładni – zaproponowałem.

– No kto?

Myślałem intensywnie. Wszyscy, którzy przychodzili mi do głowy, faktycznie nie byli urodziwi.

– Carla Bruni! – zakrzyknąłem.

– E, gównno, to jest artystka, no właśnie, popatrz, artyści są ładni, a jak nie są, to chociaż się robią na ładnych. Miłość moja była artystką, to był ktoś, wiesz? – popatrzył na mnie.

– Wiem – powiedziałem i zrobiło się smutno.

Michał spuścił głowę i się rozplakał. Drugi raz byłem świadkiem, jak płacze, nie wiedziałem, co zrobić, byłem sparaliżowany.

Poklepałem go po plecach, ale wyczułem, że nie ma na to ochoty. Po

kilku minutach przestał, uśmiechnął się delikatnie.

- Przynosi ulgę, co? – byłem rozpromieniony.
- Weź nie pierdol i nikomu o tym nie mów, co? – zareagował.
- Jasne, jasne – dodałem już lekko pijany, ale i dumny z niego.
- Tylko Gosi, jakbyś chciał – po chwili dodał.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, tyle co jedno piwo, kilka papierosów, i poszliśmy do Gosi. Pijany Michał składał lusterka wszystkim mijanym autom, dzwonił do domofonów w obcych domach, a potem biegliśmy, by nikt nas nie zauważył. Kupiliśmy jeszcze kilka piw i wiśniówkę. Gosia dała nam buzi i powiedziała, że gdyby wiedziała, że będziemy tacy pijani, to by się przygotowała.

- Jak? – zapytałem.
- Narąbałaby się, zazdrośnica – stwierdził Michał.
- Narąbałabym się.

Usiedliśmy w kuchni. Michał poprosił o Metallicę, *Whiskey in the Jar*. Spodobało się wszystkim i do końca wieczoru słuchaliśmy już tylko Metalliki.

- Co to za nowy gościu? – zapytałem.
- Adam – odparła.
- Nowy! – krzyknął Michał i się zaśmiał.
- No Adam. Też ma tak na imię.
- Przykro mi – powiedziałem. Michał śmiał się w głos.
- A mnie nie. Ma coś w sobie. Po to są romanse – zapaliła papierosa i kontynuowała – by skończyć związek, którego nie ma się odwagi skończyć.
- Mnie potrzebne są romanse – odparował Michał – by nie wejść w związek, na który nie mam odwagi.
- Czasami myślę, że nie jesteś taki głupi – Gosia wypuściła dym z papierosa – jaki się wydajesz.

Wszyscy się zaśmialiśmy. Kuchnia Gosi pełna była plakatów aktorek i piosenkarzy. Michał podszedł do wielkiego plakatu z Marilyn Monroe i zaczął ją całować w papierowe usta.

– Zniszczysz, idioto! – krzyknęła Gosia i podbiegła do niego. – Śliną zniszczysz! Idioto!

Michał zaśmiał się, zerwał plakat i zaczął z nim tańczyć, Gosia śmiała się również. Zrobiłem głośniejszą muzykę i dołączyłem do nich na parkiecie, podałem im butelki z piwem, wznieśli toast za romanse, a ja do niego dołączyłem. I tańczyliśmy. Gdy Gosia poszła do toalety, Michał znowu zaczął całować Marilyn. Po powrocie zabrała mu plakat i zaczęła uciekać do sypialni, Michał ją złapał, w tym momencie wyrwałem jej plakat z ręki i również złożyłem pocałunek na ustach Marilyn. Gosia palnęła mnie ręką w głowę i wylała na spodnie całe piwo, oblała również Marilyn, którą położyła na łóżku i zaczęła wycierać bluzką, śmiejąc się przy tym i powtarzając „idioci”.

– No daj jej buzi, przecież chcesz.

– Wcale nie – powiedziała Gosia. – Chcę.

I zaczęła całować Marlin, której w miejscu ust powstała dziura wielkości pięści. Usiedliśmy na podłodze.

– Przepróśmy boginię – powiedziała Gosia.

– Przepraszam, maleńka... – zacząłem.

– Nie spoufalaj się – przerwała mi. – Marilyn, to przez takich jak my. Musiałaś się zabić. Przepraszamy. W dowód skruchy Michał poniesie ofiarę. – Pociągnęła spory łyk piwa i wypluła mu na głowę. Michał odwdzieczył się tym samym.

Gdy wróciłem do domu, Dita obwąchała mi usta, obdarzyła pogardliwym wzrokiem i postanowiła nie spać ze mną na łóżku. Szanuj tatusia, powiedziałem, zasypiając.

29

Po pracy kupiłem pizzę, o którą prosiła Justa, i największego batona, jaki był w sklepie. Poszedłem do szpitala. Na korytarzu wypatruję Niezłej Kotki. Wychodzi z toalety, wołam ją, podchodzi uśmiechnięta. Daję jej batona, robi jednoznaczny gest w okolicach swojego krocza i bardzo głośno się śmieje. Pyta mnie, czy palę, bo ona pali, bo od tego się chudnie, poza tym bardzo lubi i zachęca mnie, żebym szedł z nią i dał jej jednego papierosa, bo normalni mają ich więcej, i puszcza to swoje oko, po którym każdy by jej dał. Przyglądam się Niezłej Kotce, ma krótkie rude włosy, czarne spodnie od dresu i kuchenny fartuch na sobie, jest niska i bardzo okrągła. Cały czas o czymś opowiada. Wychodzimy na zewnątrz, pyta, co tam mam, wyjaśniam, że pizzę dla przyjaciela, czyli nie dam jej kawałka, mówi, jeden dam, odpowiadam, ona na to, że świetnie i wyciąga rękę, gryzie pizzę i pali papierosa. Pyszna, mówi, że pyszna. Pytam ją, dlaczego tu jest, ona mówi, że to nudne pytanie, ale że chętnie odpowie, bo normalnych to zawsze ciekawi, mówi, że jest recydywistką, jest tu czwarty raz, lubi to miejsce, cierpi na depresję i bulimię, i dodaje, że ma dla mnie prezent. Podskakuje lekko, poruszając płytę chodnikową, na której stoimy, każe mi poczekać, wsadza ostatni kawałek pizzy do buzi, daje papierosa do potrzymania i wybiega. Po minucie wraca i podaje mi

kartkę, mówi, że chodzi na grupę dla tych z zaburzeniami odżywiania, nienawidzi anorektyczek, bo ryczą, gównem jedzą i są tak neurotyczne, że można by je wziąć na ręce, złamać wóół i wsadzić do pieca. Mówi, że na tych zajęciach ją edukują, potem w pracowni plastycznej robi kartki i rozdaje ludziom. Ta jest dla mnie. Oglądam kartkę, na środku widać otwarte usta, wokół nich rosną kwiaty. Nad ustami jest napisane: „Kwas solny obecny w wymiocinach likwiduje kamień nazębny”, a z ust wychodzi dymek, w którym znajduje się zdanie: „Walcz z próchnicą! Codziennie o 9.30 w Polsce puść pawia!”. Pyta, i jak, śmieję się i mówię, że cudowna! Ona też się śmieje i mówi, że jej psychiatrze nie spodobała się ta kartka, i pyta, czy zostawię ją sobie, wyrzucę, dam komuś albo wyślę. Mówię, że zostawię sobie, na co Niezła Kotka się uśmiecha. Wracamy korytarzem razem, żegnam się z nią i idę do Justy.

Moja dziewczyna bardzo się cieszy na pizzę, idziemy do jadalni i zjadamy zimne kawałki, popijając sypaną kawą.

– Jak dzień? – pytam.

– Wiedziałam, że zapytasz, i bardzo chciałam ci powiedzieć coś ciekawego, ale nic takiego nie pamiętam. Arek, nie pamiętam nic – mówi i zaczyna płakać, jedząc kolejny kawałek pizzy. Opowiadam jej o Niezłej Kotce, śmieje się przez łzy i mówi, że ma nadzieję, że jak pójdzie na półotwarty, to ją pozna osobiście.

– Włosy ci urosły – mówię.

– Ha! Bo to nie ręka – odpowiada, śmieje się i kładzie mi rękę na kroczu, pod stołem, pod obrusem – chodźmy do toalety.

– A można? – pytam.

– Chodź.

– Nie będziesz miała problemów? Nie wiem, czy można. – Moje

ciało mówi idź, ale boję się.

– Nie można, to psychiatryk, Arek. Im więcej masz problemów, tym milej jesteś widziany, chodź – i ciągnie mnie do toalety.

Podchodzimy do pielęgniarek i Justa mówi, że będziemy w palarni. Serdecznie uśmiechnięci oddalamy się. Czekamy, aż nikogo nie będzie w korytarzu, i wchodzimy do toalety. Zauważam, że nie ma zamknięcia, wpatruję się w Justę pytająco, rozkłada rozbawiona ręce i kręci palcem wskazującym przy skroni. Całujemy się namiętnie, Justa ściąga mi spodnie i sobie bluzkę, dotyka i liże mnie po całym ciele, wchodzę w nią na stojąco. W pewnym momencie słyszymy otwierane drzwi i czyjś stłumiony głos, Justa zakrywa mi usta ręką i patrzymy na siebie, rozpoznajemy kobiecy głos, który odmawia „Ojcie nasz”. To Elżbieta – szepcze mi Justa na ucho, kochamy się dalej, po chwili słyszymy kolejne głosy, dwie kobiety rozmawiają o jakimś lekarzu. Mówię ci, że on leci na mnie, nie leci, mówi ta druga, leci, mówi podniesionym głosem ta pierwsza. Ty poproś, żeby Elżbieta się za ciebie pomodliła, wydaje ci się, że każdy lekarz na ciebie leci, kontynuuje druga. Pytają Elżbietę, czy pomodli się za ich seks z lekarzem, Elżbieta mówi do nich „spierdalajcie” i dalej odmawia modlitwę. Próbuujemy dalej się kochać, gdy słyszymy głos pielęgniarki, która pyta, co tu się dzieje, kobiety jej mówią, że nic, że idą sikać, otwierają nasze drzwi, zamykam je gwałtownie, Elżbieta mówi, „o Boże”. Słyszymy głos pielęgniarki, która mówi, że mamy natychmiast wyjść, i głośny śmiech pozostałych pacjentek. Ubieramy się, Justa zakrywa uśmiechnięte usta dłonią, ja jestem przestraszony i czerwony na twarzy.

– Nie pomaga pani sobie w ten sposób, zgłoszę to do psychiatry – mówi rozzłoszczona pielęgniarka – a pan powinien wspierać panią

Justynę.

– Ależ on mnie właśnie wspierał – mówi Justa. – Nie zrobiłam nic złego.

– Skłamała pani – odpowiada tamta i mówi do mnie: – Może czas skończyć odwiedziny, chyba że będziecie zachowywać się tak jak w szpitalu.

– Czyli jak? – pyta ta, na którą leci lekarz. – Mają płuć, krzyczeć i ciąć sobie łapy, nic złego w seksie, kochana, nic złego w seksie.

– Proszę wracać do swoich pokoi – mówi pielęgniarzka i bierze Elżbietę pod rękę, a ta nie przestaje się modlić.

Rozchodzimy się, idziemy do palarni. Justa cały czas się śmieje i mówi, że będziemy musieli dojść na własną rękę. Ustalmy, że zrobimy to dokładnie o 20, każde u siebie, i w ten sposób będziemy uprawiali seks na odległość, w wyobraźni.

– Wydaje mi się, że cały świat na zewnątrz jest martwy – mówi Justa – nie mogę zobaczyć ich jako żywych, gdy zaczynam to roztrząsać, to zaczynam się bać. Nic mnie oni nie obchodzą.

– Kto? – pytam.

– Ci na zewnątrz, wszyscy poza tobą i pacjentami. Wydaje mi się, że udają, że są martwi, że nie są naprawdę. Chciałabym myśleć tylko o jednej rzeczy na jeden rok, bo mam za dużo myśli. Skurczyć sobie głowę, obciąć mózg. Chcę myśleć o jednej rzeczy na rok – powtarza i zapala papierosa – potem strawić tę myśl, mieć jej dosyć, wysrać ją i w zupełnym zachwycie złapać kolejną myśl na kolejny rok. Wiem, że to niemożliwe, ale zastanawiam się, czy na pewno tak nie można? Jak mogłabym to osiągnąć? Pierwszy raz dobrze mi tutaj, dziś po raz pierwszy dobrze mi, kochany. Gdy przechodzimy korytarzem, gwizdzą za nami dwie pacjentki, z otwartych drzwi wychodzi kolejna, która uśmiecha się i puszcza

do mnie oko. Justa się śmieje, ja też.

Po wyjściu ze szpitala zastanawiałem się nad jedną myślą, którą chciałbym utrzymać przez rok, ale żadna nie przyszła mi do głowy. Poszedłem na PKP i kupiłem bilet na pojutrze do Jemotani, miasteczka, w którym mój tato prowadzi zakład pogrzebowy. Patrząc na bilet, nie mogłem uwierzyć, że za dwa dni zobaczę mężczyznę, który jest moim ojcem. Zrobiłem zakupy dla siebie i Dity. O dwudziestej położyłem się na łóżko, zamknąłem oczy i onanizując się, wyobrażałem sobie Justę. Zadzwoiłem do niej, ale miała wyłączony telefon. Zadzwoiłem więc na oddział, ale pielęgniarka wyjaśniła mi, że śpi i spytała, czy ma ją obudzić, odparłem, że nie, że proszę przekazać, że dzwoniłem. Zrobiło mi się smutno, miałem wielką ochotę przytulić się do Justy i usnąć. Zjadłem kolację, włączyłem muzykę i czytałem książkę. Nie mogłem jednak się skupić, potrzebowałem do ludzi. Wróciło wspomnienie Magdy, która obiecała do mnie zadzwonić. Długo się wahałem, w końcu wykręciłem jej numer.

– Cześć.

– O, cześć – odpowiedziała.

– Czekałem na mój telefon, to znaczy na twój czekałem, na twój telefon.

– Och, zapomniałam, impreza się rozkręciła, miałam potem dzwonić, ale zapomniałam.

– Przykre to dosyć, bo czekałem.

– Przepraszam, nie specjalnie – stwierdziła łagodnym tonem, który spowodował, że jeszcze bardziej bolały mnie szczęki.

– Tym bardziej.

– Co tym bardziej, Arku?

– To przykre tym bardziej – nie wiedziałem, dlaczego brnę w to

dalej.

– Przeprosiłam, a z pewnością nie mam teraz siły ani ochoty na pretensje od ciebie.

– Może na mnie ponownie nie masz siły po prostu?

– O co ci chodzi?

– O nic, Magda, przyszedłem do ciebie, chciałem porozmawiać, bawiłaś się szampańsko w naszym domu...

– W twoim byłym domu – przerwała mi.

– W moim, kurwa, byłym domu, bawiłaś się na urodzinach swego fagasa...

– Mężczyzny, którego szalenie kocham, o nim mówisz, tak? – ponownie mi przerwała.

– Tak, o tym fagasie mówię, i obiecałaś zadzwonić.

– Obecnie bardzo się cieszę, że tego nie zrobiłam, kończę tę rozmowę.

– I bardzo dobrze!

Odłożyła słuchawkę. Zrobiło mi się niedobrze, nie tak chciałem rozmawiać. Zacząłem chodzić po mieszkaniu, mój wzrok zatrzymał się na poduszce, którą tuliłem poprzedniej nocy. Zacząłem się czuć coraz gorzej, zabijały mnie wyrzuty sumienia. Napisałem esemesa do Magdy, że przepraszam. Nie odpowiedziała. Zadzwoniłem ponownie.

– Przepraszam, Magda, to było bez sensu, nie mam prawa do tych pretensji, nie wiem, o co mi chodzi.

– Ja też nie wiem, może za wcześnie, wiesz? Może za wcześnie pojawił się nasz kontakt, a może nigdy nie powinien się pojawić, jesteś zakochany, ja również, lubię swoje życie, żyjemy nim.

– Bez siebie?

– Bez siebie. Może kiedyś przyjdzie spokojniejszy czas, może nie,

nie wiem i nie chcę tego planować.

– Rozumiem – głos mi się łamał – zepsułem wszystko tą rozmową.

– Zepsuliśmy wszystko kilka lat temu.

– Dlaczego, Magda?

– Arku, proszę cię, dajmy spokój.

– Masz rację.

– Szczerze życzę ci dobrego życia – powiedziała łagodnie.

– Dziękuję.

– Trzymaj się.

– Pa.

Smutek mieszał się we mnie z ulgą, byłem zadowolony, że odważyłem się zadzwonić ponownie i wdzięczny Magdzie za ostatnie słowa. Przed snem sięgnąłem po poduszkę i ściskając ją w okolicach brzucha, usnąłem.

Rano zadzwoniła Justa i powiedziała, że jest gwiazdą oddziału. Mówią na nią pani Rozpusta, wszyscy wiedzą, co się stało w toalecie, pielęgniarki też, ale te są bardziej powściągliwe.

– A jak mówią na mnie? – zapytałem.

– Ha! Mąż pani Rozpusty!

Rozmawialiśmy prawie godzinę, w końcu Justa stwierdziła, że musi się zbierać na spotkanie z psychiatrą, która zaprosiła ją na dodatkową sesję, pewnie aby porozmawiać o incydencie toaletowym. Planowałem odwiedzić Justę po południu. Usiadłem do komputera i napisałem raport dla Krzak na temat systemu stworzonego przez stażystę. Nie starałem się być obiektywny, skupiłem się na walorach, chwaliłem Łukasza, przyszłego pisarza. Na czacie umówiłem się z Michałem na kawę i późne śniadanie. Gdy się spotkaliśmy, cały podekscytowany opowiadał o wczorajszej

impresie, poznał dziewczynę.

– I jak? – zapytałem.

– Co?

– Seks!

– Nie wiem – wzruszył ramionami.

– Jak to?

– Nie było seksu, dopiero się poznaliśmy – wyjaśnił nieśmiało.

– Fiu, fiu! – zagwizdałem z przekąsem.

– Zamknij się – uśmiechał się.

– Jak ma na imię? Opowiedz coś.

– Weronika, ładna, a w sumie piękna, rozmawialiśmy bardzo długo, opowiedziałem jej o sobie trochę, słuchała, powiedziałem jej o Miłości.

– Brzmi poważnie.

– Sraźnie! Ale myślę o niej dziś i to, że nie chciałem jej zaciągnąć do łóżka, wiesz, i że nie okłamałem.

– Wiem – stwierdziłem, ale Michał dodał, żebym przestał się głupio śmiać i dalej rozmawialiśmy już o pracy, polityce, Gosi, moim wyjeździe do taty.

Po powrocie do domu wstawiłem pranie, posprzątałem, zrobiłem leczo dla Justy. Po drodze do szpitala sprawdziłem, co w domu Siostry. Spokój. Zjadłem prawie pół ciasta, które znalazłem w lodówce, i pojechałem do mojej ukochanej.

Nie spotykam Niezłej Kotki, ale rozpoznaję kilka twarzy, czuję, jak moje ciało się rozluźnia, gdy wchodzę do szpitala. Przestaję myśleć o tym, jak idę, co mam na sobie, jak wyglądam. Wszyscy tutaj pozostają skupieni na świecie wewnętrznym. Egocentryczna fiksjacja na emocjach, zarówno u pacjentów, jak i personelu.

Przyzwolenie na każdy strój, spontaniczność ruchów, głośny śmiech. W psychiatriku odwrotnie niż na zewnątrz, im człowiek jest bardziej milczący i wycofany, tym bardziej wzbudza niepokój i zainteresowanie. Jeśli jednak pozostaje w swoim odrętwieniu dłużej, staje się elementem krajobrazu wariatkowa, ale nie tworzy go. Gdy wchodzę na oddział, rękę podaje mi kobieta, która wczoraj w toalecie twierdziła, że leci na nią lekarz.

– Dzień dobry – mówi i pyta, czy znajdę dla niech chwilę czasu.

– Dzień dobry – odpowiadam. – Idę do Justy, czy to bardzo pilne?
– rzucam, mając nadzieję, że w ten sposób wykręcę się od rozmowy.

– Tak pilne jak zaczepienie nieznanego mężczyzny przez wariatkę, w szpitalu psychiatrycznym, którego poznało się poprzez widok jego pośladek w damskiej toalecie – odpowiada spokojnym tonem.

– Dobrze – mówię zmieszany – chodźmy do palarni.

– Do palarni, proszę pana, tak – podaje mi rękę: – Mariola.

– Arek.

– Wiem, zdrobnienie od Aureliusza, prawda? Tak widać pan woli, ludzie używają zdrobnień swego imienia albo dlatego, że są pasywni i potrzebują czułości, jednak domaganie się jej poprzez zdrobnienie imienia jest infantylne i jakieś takie niezręczne, nie sądzi pan?

– A drugi powód, powiedziała pani „albo”? – Czuję się coraz bardziej zagrożony jej wywodami, dochodzimy do palarni. Mariola nic nie mówi, siadamy przy stole, wyciąga papierosa, zapala, ja również.

– Albo – mówi – tak jak pan nie lubią swojego imienia, ale to akurat głupie.

– Głupie? Dlaczego?

– Walka z wiatrakami, jeśli jest tak źle, to niech pan zmieni, a jeśli pan nie zmienia, to może warto zaakceptować... panie Arku – mówi i się uśmiecha. – Dość o imionach, proszę mi coś opowiedzieć o sobie.

– Ja? – pytam zdezorientowany. – Ale co miałbym o sobie odpowiedzieć?

– Opowiedzieć, nie odpowiedzieć – patrzy mi prosto w oczy, przysuwa swoją twarz do mojej i mówi dalej: – Proszę pana, jestem złaźniona kontaktu z mężczyznami, intelektualnego, nie seksualnego. Mimo że zaczął pan znajomość od dupy, całkiem zgrabnej, co nie znowu takie częste, to jednak w moim wieku wolę rozmowę – zaciąga się, wydmuchuje dym ponad moją głowę i patrzy na mnie wyczekująco.

– Jestem dziennikarzem – mówię i czuję, jakbym zdawał test. – Mieszkam z kotką, którą bardzo lubię, ostatnio przeczytałem *Wielkiej burzy przerwę* i jestem zachwycony tą książką.

– Czy może mi ją pan pożyczyć? – pyta ona. – Najnowsza książka z tutejszej biblioteki pamięta drugą wojnę światową.

– Oczywiście, tylko że nie będzie mnie przez trzy dni, zatem...

– Proszę pana, ja będę tutaj przez najbliższe dni – odwraca wzrok i patrzy w bok, mruży oczy – co pan sobie myśli o tym miejscu?

– O palarni?

– O palarni, szpitalu, o toalecie bez zamknięcia, butach bez sznurowadeł. Gdy pan wchodzi i dzwoni dzwonkiem, i nie otwiera panu Justyna, tylko kobieta w białym fartuchu, i zagląda do reklamówki, czy nie przyniósł pan narzędzia zbrodni, jak pan się z tym czuje? – Kiedy mówi, przyglądam się jej, wygląda na pięćdziesiąt lat, ma zadbaną fryzurę, białe zęby, czystą bluzę, starannie pomalowane paznokcie.

– Z każdym dniem coraz lepiej – odpowiadam.

– Jak to? – czuję, że jest autentycznie zainteresowana, bardziej niż ktokolwiek, kto rozmawiał ze mną w ostatnich dniach.

– Uśmiecham się, gdy tutaj wchodzę, czuję się bardzo swobodnie, może nawet trochę...

– Zazdrości nam pan?

– Tak, czasami zazdroszczę, że nie musicie płacić rachunków, wstawać do pracy, stać w korkach, że możecie krzyczeć, płakać, robić to, co chcecie.

– Pan może robić to, co chce, tutaj nie ma na to miejsca – znowu spogląda w bok, mam wrażenie, że szklą jej się oczy, jednak po chwili patrzy na mnie i mówi: – To niebezpieczne, panie Arku.

– Co?

– Zazdrościć wariatom. Proszę mi uwierzyć, to niebezpieczne uczucie – uśmiecha się i mówi, żebyśmy wracali, bo ktoś jeszcze będzie zazdrosny. Wstaję z krzesła i idę za nią, otwiera drzwi, przechodzi pierwsza, odwraca się do mnie i podaje rękę.

– Do widzenia – mówi, po czym dodaje: – To bardzo wskazany zwrot, bo przecież pan tu wróci – puszcza do mnie oko.

– Mówiła pani, że ma jakąś pilną sprawę – nie chcę kończyć rozmowy.

– Tak, rozmowa jest dla mnie zawsze pilną sprawą.

– A czy mogę zapytać, dlaczego pani się tutaj znajduje?

– Może pan, ale proszę wybaczyć, nie będę odpowiadała.

Po jej odejściu stoję chwilę nieruchomo na korytarzu, po czym idę do Justy. Siedzi na łóżku i pisze, mówi, że jest pełna myśli i uczuć, i musi gdzieś je wylać, i że to miejsce jest do dupy. Opowiadam jej o Marioli.

– Kto to jest? – pytam.

– Trafiła dzień po mnie z półotwartego, na którym ponoć ląduje na kwartał co kwartał, kiedyś pracowała na uczelni, matematyka czy fizyka, nie pamiętam.

– A dlaczego na zamknięty z półotwartego?

– Próbowwała się powiesić na pidzianie – wyjaśnia Justa zupełnie spokojnie.

– Dlaczego?

– Nie wiem, nie chciała o tym rozmawiać, ale inne pacjentki gadały, że kilka lat temu coś się stało, skończyło się jej życie, jakaś śmierć czy coś. Dostyc o niej, chcę ci coś opowiedzieć. Byłam u tej psychiatry, mojej psychiatry, i ona mnie pyta, czy wiem, co to jest promiskuityzm. Mówię jej, że nie jestem dziwką, ona na to, że wie o tym, ale jest ciekawa, jak tłumaczę sobie zajście w toalecie. Cała zła pytam ją, czy chodzi o to, jak sikałam, srałam czy poszłam puścić bąka. Ona, oaza spokoju, wyjaśnia, że pyta o mnie i mojego chłopaka, z którym uprawiałam seks, więc tłumaczę jej, coraz bardziej zła, że nie uprawiałam seksu, bo Elżbieta mówiła właśnie, żeby Bóg jej dał chleba powszedniego, a pielęgniarka bez pukania otworzyła drzwi, gdy byliśmy w trakcie. I pytam ją jeszcze, czy mam jej opowiedzieć o tym, jak uprawiam seks, czy może jakiego fiuta ma mój facet, bo już jestem naprawdę zła.

– Jakiego fiuta ma twój facet? – pytam.

– Pięknego, który rośnie w ustach i dłoni – mówi pośpiesznie i daje mi buzi. – No, słuchaj, co dalej. Mówi, że uprawiając seks w toalecie, w której nie ma zamknięcia, do której często wchodzi pacjentki i pielęgniarki, należy brać pod uwagę możliwość przyłapania, i że być może chciałam w ten sposób coś powiedzieć. To pytam co, a ona, że to pytanie do mnie. Nic nie mówię, bo mnie wkurwia coraz bardziej. Stwierdzam w końcu, że nie chcę o tym

rozmawiać, mówi, że nie musimy, ale że jestem pod obserwacją i to, co robię, będzie analizowane, ponieważ zależy jej, tak mówi, że jej zależy, abym jak najszybciej stąd wyszła, zdrowa. Zrobisz kawy?

– Teraz?

– Teraz, zrobisz? – Kiwam głową i idę po kubki i kawę. Gdy wracam, Justa mówi, że do kawy będziemy palić, idziemy do palarni, gdzie podejmuje opowieść: – Dalej pyta mnie, czy wiem, co to jest borderline, żartuję sobie, że są psy border collie, ona mówi, że to coś innego, to pytam, czy chodzi o psy, które chodzą po linie, i śmieję się całym brzuchem, wiesz jak, ale ona patrzy swoim smutnym wzrokiem, takim wiesz, pełnym troski, której nie umiesz przyjąć i musisz się śmiać, zrobić coś głupiego, walnąć kogoś, uciec, upić się, bo dużo trudniej przyjmować dobre rzeczy. Tak nas przecież nauczono. I patrzy na mnie dalej, ze spokojem, po chwili przestaję się śmiać, patrzę w jej oczy i myślę, że może jej faktycznie zależy, zaczynam płakać i ryczę tak z dwadzieścia minut.

– Co to jest borderline? – pytam.

– Zaburzenie osobowości, inaczej osobowość z pogranicza czy na granicy. Podobno źle mnie wcześniej zdiagnozowali, czujesz? Nie mam afektywnej dwubiegunowej, a borderline.

– A jaka jest różnica?

– Taka jak między chorobą psychiczną a zaburzeniem osobowości. Nie wiem, co lepsze, mam to drugie.

– Seks w toalecie w wariatkowie to objaw tego zaburzenia?

– Pewnie tak, i jeszcze wiesz, różne niebezpieczne, destrukcyjne zachowania, nie wiem dokładnie. Zapytałam ją po tym, jak się wyrzyczałam, co mam zatem zrobić. Uśmiechnęła się i powiedziała, żebym przychodziła do niej rozmawiać, żebym płakała, gdy chcę i krzyczała, gdy chcę, żebym chodziła na zajęcia grupowe,

gimnastykę i muzykoterapię, żebym poczekała na przepustkę i kochała się tak długo, jak chcę i tam, gdzie są zamki w drzwiach.

– Fajna babka – stwierdzam.

– Też tak pomyślałam, ale zła jestem na siebie, że taka byłam dla niej nieprzyjemna, chcę się spotkać z nią i przeprosić, muszę to zrobić.

– Pewnie jest przyzwyczajona do różnych rzeczy, a kiedy ta przepustka?

– Nie wiadomo, najpierw ten oddział półotwarty, ponoć za kilka dni, jeśli nic się nie wydarzy, to pójdę.

– A co mogłoby się wydarzyć?

– Nic się nie wydarzy – mówi ona, a ja się niepokoję.

Przytulam ją mocno, czuję zapach jej włosów i szpitala. Jej ręce zaciskają się mocno na moich plecach, przez chwilę mam wrażenie, że i ona mnie trzyma, czuję się szczęśliwy. Patrzymy sobie w oczy.

– Jak zakochani – szepczę.

– Bo zakochani – odpowiada.

Przypominam jej, że jutro przyjdę tylko na chwilę, na godzinę, bo jadę do taty, kiwa głową i pyta, czy gdyby długo nie miała przepustki, to czy odwiedzę jej tatę, mówię, że oczywiście. Gdy wychodzę, tłumaczy, że rozumie, że mnie nie będzie, ale pewnie umrze z tęsknoty, robię srogą minę, więc poprawia się i mówi, że w takim razie oszaleje z tęsknoty, i śmieje się głośno, tak jak ja. Zagląda do nas pielęgniarka, patrzy uważnie, przestajemy śmiać się całą buzią, wracamy do tego momentu dopiero, gdy wychodzi.

– Jestem na obserwacji, cokolwiek zrobię ponad sen i jedzenie, może zostać ocenione, zapisane i przekazane psychiatrze.

– Jestem na obserwacji – mówię jej – cokolwiek zrobię w pracy, jest oceniane przez Magu lub naczelną, w sklepie ocenia mnie

sprzedawca, w domu kotka, ludzie na ulicy, urzędnicy za oknem, znajomi na przyjęciu, jedynie przyjaźń przetrwała w tych czasach.

– I miłość – dodaje – ale nie każda, nasza, ta nasza. – Uśmiecha się i całuje mnie. – Arek, mój dziennikarz.

– Ha! – mówię do niej, a ona śmieje się jeszcze bardziej i uderza mnie poduszką w brzuch, za co ponosi stosowną karę.

W tym momencie wraca Baśka wraz ze świtą pielęgniarek, proszę wyjść, mówią do mnie. Patrzę na twarz Baśki, która nic nie wyraża, nie patrzy na nic, chociaż oczy ma otwarte. Pytam Justę, o co chodzi, ona mówi, że elektrowstrząsy. Jak to, pytam przerażony, takie jak w *Locie nad kukułczym gniazdem*? Ona się śmieje i mówi, że nie, że teraz jest humanitarnie i inaczej, ale wciąż się to stosuje, legalnie i pod kontrolą. Ale jak to, dziwię się, to przecież prąd w mózg, ona mówi, że to restart, że następnego dnia Baśce zawsze jest lepiej. Pytam ją, czy ona będzie to miała, mówi, że dopóki żyje, nie ma szans.

Idę korytarzem i w ustach czuję smak kawy i papierosów, tak intensywny, że muszę zaraz znowu zapalić albo rzucić na zawsze. Na podłodze siedzi Niezła Kotka, uśmiecham się do niej, widzę, że płakała, pytam, co się stało, mówi, że nikt jej nie odwiedza, bo już prawie nie żyje, i pyta, czy będę ją odwiedzał, dawał papierosy albo całował, mówię, że możemy iść zapalić. Idziemy. Nic nie mówi, co mnie zadziwia, więc pytam, dlaczego płakała, stwierdza, że nie wie, bo nie zauważyła, i pyta mnie, dlaczego ja nie płakałem, i nie potrafię na to odpowiedzieć. Opowiada, że miała męża i dzieci, dwie dziewczynki, ale to było tak dawno i już nie wie, jak wyglądają, czy w ogóle wyglądają, od dawna nie przychodzą, mówi, że ona też by nie przychodziła i że ja też przestanę przychodzić, jeśli mój przyjaciel zostanie tu na zawsze, mówię, że nie zostanie, ona mi

mówi, że to dobrze, ale że nikt tego nie wie. Siadamy na chodniku i palimy papierosy. Niezła Kotka patrzy przed siebie, mówi, że dziś będzie obiad niedobry, bez przypraw, mdły, albo kompot, wyciąga po chwili pogniecioną kartonową kartkę i mi podaje. Pytam, czy to dla mnie, mówi, że robiła na zajęciach dla nikogo, więc może być dla mnie, że tamta była dla mnie, a ta jest dodatkiem. Na kartce kolor czarny i czerwony, postać z wielkimi oczami, pod spodem cytat z Morrisona „nie jestem szalony interesuje mnie wolność”. To o tobie?, pytam. Patrzy na mnie zdziwiona i wyjaśnia, że to raczej o mnie albo o moim przyjacielu, albo o tych, którzy się wspinają i jeżdżą w dalekie podróże, bo ona już tu jest. Morrison to bóg wariatów, nie ma w tej kartce niczego, czego byś nie przeczytał w jego wierszach albo piosenkach, dodaje i pyta, czy znam go, mówię, że tak, ona, że to chyba dobrze. W pewnym momencie mówi, że czuje obiad, a lubi być pierwsza, lubi dużo dostać, dobrze zjeść, odchodzi i pyta, co z tym pocałunkiem, mówię, że w policzek, ona na to, że zacznijmy od policzka, całuję ją, odwraca się i odchodzi.

Wracałem do domu tramwajem, podekscytowany wizją jutrzejszej podróży, ale również zaskoczony tym, że czułem się coraz lepiej w psychiatryku, swobodnie jak mało gdzie. Problemy Justy zawężyły się, konieczności zniknęły, istniała tylko ona, kilka osób i możliwość porzucenia niechcianych zajęć, zazdrościłem jej tego. Wracała do mnie rozmowa z Mariolą, słowa Niezłej Kotki. Patrzyłem na ludzi w tramwaju i porównywałem ich do tych ze szpitala. Ludzie z tramwaju patrzyli w okna, a nie na siebie nawzajem.

Zadzwoiła Gosia, mówiąc, że ma trzy wejściówki na The Cinematic Orchestra, bardzo się ucieszyłem. Powiedziała, że

Michał się zdecydował. Jechać sam. Jak i ona. I co ja decyduję? Powiedziałem, że po doświadczeniach z wyjazdem do Włoch również chętnie sam pojadę. To świetnie. Co słyhać. Zapytała.

– Myślę o tym, co jest normalne, o tym, co jest naprawdę.

– Byłeś na terapii?

– Czy ja mam przemyślenia tylko po terapii?

– Nie tylko, ale głównie.

– Dużo czasu spędzam u Justy, poznaję tam dziwnych ludzi, nie mniej czy bardziej nieszczęśliwych od tych tutaj, ale bardziej otwartych i gotowych mówić, co myślą, doskonale się tam czuję.

Myślę o tym teraz, że miejsca wpływają na ludzi.

– Hmmmm – ona na to. – Może dlatego moje walizki są zawsze spakowane. Pójdę z tobą w odwiedziny. Ale się boję.

– Czego?

– Szpitali. Tym bardziej psychiatrycznych. Nie wiem. Tego, że ktoś mnie zaatakuje.

– Nie bądź głupia – powiedziałem – spodoba ci się.

– Zobaczymy. Jutro wyjeżdżasz na spotkanie przeszłości?

– Tak.

– Uważaj na siebie. I dzwoń, gdyby coś się działo.

– Dobrze.

W domu zrobiłem sobie herbaty i usiadłem do komputera, by wyszukać informacje o elektrowstrząsach. Jako sposób leczenia zaburzeń psychicznych wprowadzono je w 1938 roku, głównie w leczeniu schizofrenii i depresji. Chodziło o to, by pacjenta wprowadzić w stan napadów drgawkowych, co z kolei zwiększało poziom substancji przekąźnikowych w mózgu. Czasami pacjent na chwilę tracił pamięć, czasami wymiotował, a czasami stawał się spokojnym warzywkiem na dobę. Oczywiście przepuszczało się

prąd bez znieczulenia. Baśka ma schizofrenię i depresję, więc przepuszczają przez nią prąd dwa razy w tygodniu, nie chce się już zabić, ale wciąż kocha księdza, który istnieje tylko w jej głowie. No i po zabiegu jest spokój na oddziale, tylko boli ją głowa. Całość trwa minimum dwadzieścia sekund, nie zawsze potrzebna jest zgoda pacjenta. Obecnie poza elektrodami na głowie i patyczkiem w ustach doszło jeszcze znieczulenie miejscowe i podanie leków zwiotczających mięśnie. Pomimo opisów zachwalających poprawę u ponad 70% przypadków nie wyobrażałem sobie, by moja Justa leżała na stole, z rękami w pasach, czekając na prąd przelatujący przez głowę.

Odchodząc od komputera, pokazałem Dicie gniazdko i powiedziałem, że jak następnym razem będzie niegrzeczna, to tatuś ją porazi kabelkiem. Nie zareagowała, ale patrzyła z zainteresowaniem. Ganiałiśmy się przez chwilę po kuchni, po czym weszła pod szafkę i ułożyła się do snu, kończąc dobrze rozpoczętą zabawę. Postanowiłem spakować się na jutro. W małą walizkę wsadziłem ciuchy, które powinny wystarczyć na trzy dni. Przyjadę do Jemotani wieczorem, prześpię się w motelu, bo nie chcę wieczorem ich odwiedzać, po śniadaniu następnego dnia pójdę na spotkanie z tatą. Rozwazałem ponownie, czy nie zadzwonić i nie uprzedzić o swoim przyjeździe, ale kompletnie nie wiedziałem, co miałbym powiedzieć, i postanowiłem, że na żywo będzie lepiej. Spakowałem książkę, muzykę, zdjęcie Justy, akt urodzenia. Patrząc na walizkę, wiedziałem, że przez długi czas nie będę mógł usnąć tej nocy.

Zadzwoniłem do Justy, cichym głosem wyznała, że jej smutno, że pusto, że nie rozumie, po co tu jest, ale nie mogłaby być nigdzie indziej i że jeśli jestem zmęczony tymi wizytami, to mogę przestać.

Powiedziałem, że to przejściowe, że kocham ją odwiedzać, bo ją kocham. Westchnęła i zamilkła, po czym dodała, że ma coś w rodzaju amnezji, że w każdym moim ruchu szuka zranienia i że pokłóciła się z Mariolą o mnie dziś, o to, że rozmawialiśmy. Byłam pewna, że cię nienawidzę i że odejdę od ciebie dziś, ale jak cię zobaczyłam, poczułam, jak bardzo cię kocham, powiedziała. Krzyczałam na Mariolę tak głośno, dodała. Nawet gdy nie dajesz mi pretekstów, bym czuła się odrzucona, to ja je znajduję. Rozumiesz coś z tego? – zapytała, odparłem, że tak, chociaż nie byłem pewien, czy jest to prawda. Zapewniała, że nie muszę być taki dobry, a zarazem marzy o tym, bym taki właśnie był, bo w środku wie i czuje, zawiesza głos, co czujesz i wiesz, zapytałem, że mógłbym ją uratować, odpowiedziała, ale wtedy zniszczyłabym cię, po czym szybko przeprosiła i uznała, że musi iść spać, i się rozłączyła.

Cały czas uczyłem nie bać się i nie cierpieć po takich rozmowach. Bez skutku. Znalazłem w Internecie forum osób z borderline i przeczytałem o głównych objawach tego zaburzenia: 1) niestabilne emocje i myśli, 2) lęk przed odrzuceniem i porzuceniem, 3) ryzykowne zachowania, 4) ucieczka przed bliskością, 5) uczucie pustki wewnętrznej, impulsywność. W takim razie wszyscy mamy pograniczne zaburzenie osobowości albo dziwnym zbiegiem okoliczności otaczają mnie ludzie, którzy w większości pasują do opisu: „frenetyczne wysiłki zmierzające do uniknięcia rzeczywistości”. A czym innym ma być zostawanie w pracy po godzinach, kino, alkohol, podróże? Nic z tego nie rozumiałem i nie pasował mi ten ogólny opis do Justy bardziej niż do Gosi, Michała czy mnie.

Poczułem się głodny, w lodówce znalazłem: jajka, jogurt, ser

i ugotowaną poprzedniego dnia kaszę gryczaną. Wszystko połączyłem z przyprawami, podsmażyłem, smakowało wybornie, do tego kubek zielonej herbaty. Położyłem się na łóżku, wyobrażając sobie, jak kocham się z Justą w szpitalu. Na łóżku z pasami. Prawie całą noc błąkałem się między jawą a snem. Śniła mi się kolejka górską, ustawioną nad ruchliwymi ulicami miast, na której jechałem z moją mamą i babką, za nami w wagonie Niezła Kotka z panią Mariolą. Gonił nas wielki niedźwiedź, więc podkurczyliśmy nogi i śmialiśmy się jak szaleni z udanej ucieczki.

30

Obudziłem się w poprzek łóżka już po piątej i poszedłem się wykąpać. Zrobiłem kawę, przeczytałem nowe wiadomości w Internecie. Odpowiedziałem na mejle, dołączyłem na Facebooku do grupy „Mam w dupie małe miasteczka”. Postanowiłem celebrować ten dzień i pójść do Juniora, snobistycznej restauracji, serwującej – już od siódmej rano – najlepsze śniadania w mieście. Wypełniłem miski Dity jedzeniem, Michał obiecał pojutrze sprawdzić, co u kotki, gdybym faktycznie nie wracał przez trzy dni. Kawa i głód krążyły we mnie, spakowana walizka ciążyła w dłoni, przekręciłem klucz w zamku, czując się wyśmienicie. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i poszedłem na rynek, wyobrażając sobie, że jestem turystą. Zająłem stolik przy oknie, poprosiłem o espresso, zapaliłem papierosa, długo przeglądałem menu. Obsługiwał mnie kelner starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat.

- Co pan poleca na śniadanie? – zapytałem.
- Omlet z mozzarellą i rukolą – odrzekł bez wahania.
- Dobrze, zatem poproszę.
- Przejazdem czy w biznesach? – zapytał.
- Dla przyjemności – odpowiedziałem – dziś wyjeżdżam, a pan?
- Ja?
- Długo pan tutaj pracuje?

- Od wiosny, okres letni pracuję jako kelner lub barman, na jesień zawsze wyjeżdżam.
- Dokąd? – byłem ciekawy.
- Do Indii albo do Afryki.
- A dlaczego tak?
- Poza podróżą, która kosztuje, to pracując tutaj jako kelner, mogę tam przez pół roku żyć na znośnym poziomie.
- Ale dlaczego...
- Coś się w moim życiu skończyło, a nie chcę, by coś się zaczęło – odpowiedział i zapytał, czy może mi jeszcze jakoś pomóc, podziękowałem speszony, rozumiejąc, że nie powinienem zadawać więcej pytań.

Miałem nadzwyczaj skuteczną tendencję do psucia relacji z kelnerami, dlatego postanowiłem poprzestać na tej krótkiej, sympatycznej wymianie, chociaż chciałem wiedzieć więcej. Omlet był pyszny, kazano mi czekać, ale nie za długo, tak jak lubię. Zostawiłem bardzo duży napiwek i pośpiesznie wyszedłem, by spotkać się z Justą.

W szpitalu zaczepia mnie Niezła Kotka, pytając, co jest w tej walizce, ciuchy, prezenty, rzeczy dla przyjaciela, albo sam tutaj pobędę chwilę, mówię jej, że wyjeżdżam dziś na kilka dni i że głównie są tam ciuchy, szkoda, wzdycha. Jak się czuje, pytam ją, mówi, że szkoda, że wyjeżdżam, bo lubi, jak ją odwiedzam bez zapowiedzi, i pyta, dokąd jadę. Wyjaśniam, że jadę odwiedzić tatę, którego nie widziałem, od kiedy skończyłem cztery lata, pyta mnie, czy to był zły tato, czy ja byłem zły, ani to, ani to, odpowiadam, rozstał się z mamą, założył nową rodzinę, czyli zły tato, ona na to, skoro zostawił dziecko, ale dobrze, że jadę, dodaje i pyta, czy będę na niego krzyczał, płakał albo chciał od niego coś, pieniądze albo

wybaczenie, czy on ma coś mi wybaczyć, pyta. Nie wiem, odpowiadam, chcę go zobaczyć, porozmawiać, nie chcę pieniędzy ani nic takiego, chcę trochę czasu. Ja mam dużo czasu, stwierdza ona, ale chcesz od niego czasu, bardzo dobrze, że tam jedziesz, ale czy wrócę, pyta. Tak, wrócę, mówię, na to ona, że chce się przytulić, więc rozkładam ręce i przytulamy się do siebie. Będę tutaj, gdy wrócisz, zapewnia ona, na korytarzu albo w swojej sali 3C, i idzie do toalety.

Zastaję Justę w pokoju, kłóci się z Baśką.

– Cześć – mówię.

– Cześć – rzuca i odwraca się ponownie w stronę Baśki: –

Ukradłaś mi długopis!

– Nie ukradłam – odpowiada rozbawiona Baśka.

– To co trzymasz w ręku? – pyta Justa.

– Długopis.

– Mój długopis!

– Nie twój, dał mi go ksiądz Bogdan.

– Srogdan! – krzyczy Justa. – Nie ma żadnego księdza, Baśka, on jest tylko w twojej głowie.

Baśka zaczyna płakać, Justa podchodzi do niej i ją przytula.

– Przepraszam – szepcze – przepraszam, jest ksiądz Bogdan, pewnie, że jest.

– Wiem, że jest – mówi oburzona Baśka – a ty jesteś komunistyczną, lewacką i zupełnie zwykłą dziwką.

– Nie mogę! – krzyczy Justa i wyrywa jej długopis z ręki. – Chodźmy stąd, proszę, chodźmy, zabierz mnie stąd! Zwariuję.

Idziemy do palarni. Mam nadzieję spotkać tam panią Mariolę, ale nie ma jej, później dowiaduję się, że wróciła na oddział półotwarty.

Justa się trzęsie, zapala papierosa.

– Co się dzieje? – pytam.

– Jak to co się dzieje? Nie widziałeś tabliczki, jak wchodziłeś? To psychiatryk, to wariatkowo, nie widziałeś?!

– Justa, popatrz na mnie – proszę, a ona faktycznie patrzy mi w oczy, zezłoszczona. – Przyszedłem do ciebie poprawić ci nastrój.

– Jesteś tutaj tak samo dla mnie, jak i dla siebie.

– Co masz na myśli?

– Niezła Kotka, Mariola, to, jak opowiadasz o tym miejscu, jesteś najczęstszym gościem tego wariatkowa, najdłużej tu bywasz, bo to bezpieczne bywać tu, ale nie być. Nie chciałbyś tu być, a ta kurwa ukradła mi długopis.

– Jesteś zazdrosna – stwierdzam.

– Arek, kurwa, nie analizuj mnie, to nie pomaga.

Nie mówię nic, Justa podchodzi do okna i pali papierosa. Patrzę na nią, czuję się bezradny i mam ochotę wyjść, wsiąść do pociągu, uciec. Patrzę na jej talię, ukrytą pod szeroką koszulą. Przypomina mi się, jak zaczepiła mnie, prosząc o zapalniczkę i papierosa. Jak wtargnęła w moje życie. Uśmiecham się do tej myśli. Do głowy napływają mi obrazy, w których widzę nas jako staruszków, zgarbiony i kaszlący odwiedzam Justę w szpitalu, a ona pełna złości, bo spóźniłem się dwie minuty, uderza mnie laską po głowie.

– Chcę się pozbyć swoich myśli – odzywa się nagle – tego, że rzuca mną jak na karuzeli. Góra i dół, góra i dół, euforia, smutek, radość, wkurzenie, życie, śmierć. Wyc mi się chce, wyc albo poszarpać sobie twarz, komuś twarz.

– Rozmawiasz o tym z lekarzami?

– Dzisiaj im powiedziałam, że te leki są za słabe, że mnie nosi, mam dostać valium. Jak się spotkam z tą psychiatrą, to jej powiem,

że leczenie jest gówniane, bo, kurwa, nie działa. Przytulisz mnie?

– Tak.

Podchodzę do niej, stoi nieruchomo. Gdy ją przytulam, odwraca się w moją stronę i płacze, dygocze przez chwilę, po czym się uspokaja. Stwierdza, że jest egocentryczką, widziała moją walizkę, ale nie chciała na nią zwracać uwagi, bo na początku pomyślała, że specjalnie ją wziąłem, by mówić tylko o sobie, potem pomyślała, że chcę się tu wprowadzić, dopiero po chwili przypomniała sobie o wyjeździe.

– Jak ci z tym? – pyta.

– Cudownie – odpowiadam. – Boję się, ale bardziej cieszę, czekam na to spotkanie, ale to dopiero jutro, dziś mam cały dzień na podróż, pociąg, nocleg w hotelu, sporo czasu, by wszystko przemyśleć.

– Miałam z tobą pojechać – mówi i dotyka mojej twarzy z ogromną czułością – miałam jechać, przepraszam, jesteś taki piękny, wiesz?

– Nie jest to akurat prawda, ale dziękuję bardzo.

– Ha! Głupolu kochany! Jesteś piękny! Zazdroszczą mi tu wszystkie ciebie, wiesz? Nikt nikogo tak nie odwiedza, mówią mi, że szybko wyjdę, bo ty jesteś życiem, które się mnie domaga, które o sobie przypomina. Ponoć te najczęściej odwiedzane najszybciej zdrowieją. Wrócisz do mnie?

– Jestem i nigdzie nie znikam, po prostu będę kilka kilometrów dalej.

– Kilkaset – poprawia. – Mamy nową zabawę z pacjentkami, w role życiowe. – Klaszcze w ręce, bardzo podekscytowana. – Ty też odpowiedz, gdybyś mógł wybrać sobie pięć żyć do przeżycia, co by to były za role?

– Role?

– No, masz pięć szans na życie, każde może być inne, ty o wszystkim decydujesz, kim będziesz, więc co wybierasz?

– Jedno to życie z tobą.

– Ha!

– Jedno i pierwsze – dodaję, robiąc przy tym dumną minę i patrzę wyczekująco na Justę, która odczytuje znak i kłania mi się.

– No – reaguję – drugie to życie bogacza, którego stać na wszystko, trzecie na wojnie.

– Na wojnie? – pyta zniesmaczona. – Dlaczego na wojnie?

– Nie wiem, przyszło mi to teraz do głowy, jestem ciekawy, jak to jest, gdy wszystko się wokół wali, a ty musisz walczyć, praca, szkoła traci znaczenie... mam uzasadniać czy po prostu wybrać?

– To zależy od wyboru – uśmiecha się.

– To jeszcze dwa. Chciałbym być człowiekiem rybą – Justa klaszcze w ręce – a ostatnie byłoby życiem samobójcy.

– W tej kolejności?

– Nie, ostatnie byłoby życiem człowieka ryby, a ty?

– Ja z tobą jedno też! Drugie jako najlepsza krawcowa na świecie, krawcowa od koszul, światowej sławy projektantka! Trzecie jako bardzo przystojnego czarnego mężczyzny, który posuwa modelki, czwarte jako Joanna D’Arc, a piąte nie wiem i wciąż myślę.

– Dlaczego jako czarny mężczyzna?

– Nie wiem – mówi i się czerwieni, po czym szybko dodaje: – Wiem, wiem, przemyślałam to sobie dokładnie, po prostu miałabym ochotę co rano budzić się, patrzeć na dół na swojego wielkiego, pięknego penisa i bawić się nim cały dzień.

– Znudziłoby ci się – powiedziałem, rozbawiony jej pomysłami.

– Niemożliwe – śmieje się i mówi, jak bardzo brakuje jej seksu i że oszaleje, bo masturbacja jest nudna mimo wszystko, tylko napięcie znika, ale w ogóle nie można się tym najeść.

Zgadzam się z nią i muszę już iść, by zdążyć na pociąg. Przytula mnie mocno i mówi, że nie podoba jej się wcale, że jadę i że mam na nikogo nie patrzeć w pociągu i myśleć tylko o niej, i żebym obiecał. Obiecuję i dodaję, że jeśli ma potrzebę, to może wydlubać mi oczy, mówi, że jedno wydlubie zaraz, a jedno zostawi, bo jednak powinienem zobaczyć, jak wygląda mój tato. Płacze, więc staram się ją pocieszyć, mówi, że to nic, że łyzy to nic, że uczą ją tutaj tego, żeby wyrażała wszystko, co nosi w środku, więc mam się nie przejmować. A za chwilę dodaje, że nie, że mam się przejmować właśnie i uśmiecha się z ustami mokrymi od łez, które całuję. Delikatnie i krótko, bo patrzy na nas pielęgniarka z miną gestapowca. Dopiero gdy wychodzę ze szpitala, orientuję się, że nie mam walizki, wracam. Justa mówi, że muszę usiąść na chwilę na krześle, chociaż na sekundę, i wtedy nic mi się złego nie stanie. W tym momencie pani Mariola wychyla głowę z pokoju i mówi, że to nieprawda, że inny przesąd jest prawdziwy. Pytam jaki. Podchodzi do mnie bardzo blisko, patrzy mi w oczy, czuję jej oddech na twarzy, to proste, stwierdza, każdy, kto przyszedł z walizką do psychiatryka, a wychodząc, zapomniał o niej, sam się tutaj znajdzie. Uśmiecham się, ale ona nie, więc i mój uśmiech gaśnie. Patrzymy na siebie z Justą, po czym to ona mnie przytula i szepcze na ucho, że to wariatka i żebym jej nie słuchał, a za chwilę dodaje, cała rozbawiona, że najwięksi prorocy to właśnie wariaci i puszcza do mnie oko.

Zamówiłem taksówkę, bo bałem się spóźnić. Przed sobą miałem siedem godzin podróży. Nie istnieje doskonalszy środek transportu

od pociągu. W każdej chwili można wstać i wybrać się na krótki spacer. Żadnych gwałtownych zmian ciśnienia. Swobodny – zazwyczaj – dostęp do okna i stabilna droga, która została wyznaczona na długo przed naszą podróżą. Pociąg i równo rozciągnięte tory to stałość i przewidywalność, nawet jeśli po raz pierwszy pokonuje się określoną trasę. Kurczowe przywiązanie do miejsca bezpośrednio wiąże się z jego tymczasowością oraz zupełnym brakiem wpływu na to, z kim odbędzie się podróż. Zmusza to do obserwacji lub jej unikania, przysłuchiwania się lub wycofania w muzykę, książkę, powidoki za oknem. Ta swoboda i możliwość pozwala opowiedzieć o wszystkim lub milczeć bez poczucia winy czy przymusu.

Zająłem miejsce przy oknie. Naprzeciwko mnie kobieta w szalu otworzyła książkę i rozpakowała kanapkę, przedział wypełnił się zapachem wędzonego sera. Zadzwoiła do mnie Siostra.

– Jak urlop? – zapytałem.

– Zakochuję się w Grzegorzku – brzmiała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy miała naście lat.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Przecież kochasz go od lat.

– A teraz znowu się w nim zakochuję – stwierdziła i kontynuowała: – Musisz tego spróbować.

– Jedziesz już?

– Tak – odpowiedziałem, patrząc przez okno na stary dom, który mijałem, otoczony rozwalonym płotem.

– Jak się czujesz?

– Podekscytowany, ciekawy i trochę niepewny tego, co będzie.

– Cały czas uważam, że to głupi pomysł, nie wiem, po co ci to, widać po coś, ale proszę, nie rób sobie krzywdy, jak będzie źle, od razu wracaj i zadzwoń do mnie.

– Dobrze.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, słyszałem szum morza i śmiech jej dziecka, wydawało mi się to takie nierealne. Rodzina, dzieci, dom i wakacje nad morzem. Nierealne, ale pociągające. Kobiecie z naprzeciwka wypadł kawałek sera z buzi, widziała, że ja widziałem, ale oboje udawaliśmy, że nic się nie stało. Po kilku sekundach kątem oka zauważyłem, jak wkłada kawałek sera z powrotem do buzi. Zrobiłbym tak samo. Wyciągnąłem gazetę, przeczytałem, że nowa rzeczniczka praw obywatelskich będzie konsultowała z kościołem przebieg lekcji etyki w szkołach. Odłożyłem gazetę, bo nie mogłem się skupić, za dużo myśli produkowała moja głowa, patrzyłem przez okno. Usłyszałem fragment rozmowy mężczyzny, który stał na korytarzu i krzyczał do telefonu: lubię to, że mam rację... no, wychodzi na to, że zawsze... może jesteś wyjątkowo głupi... nara. Wrócił do przedziału, z impetem wylądował na swoim miejscu, zerknąłem na niego, pośpiesznie i z pasją wyciągnął telefon i uderzał w klawiaturę, pisząc esemesa. Założyłem słuchawki, Archive, płyta *You All Look The Same To Me*, uwielbiam.

Przypomniał mi się testament Siostry. Byłem w podstawówce, grzebałem w jej rzeczach. Pod łóżkiem znalazłem zeszyt, pamiętnik. Zacząłem czytać, ale najbardziej zaintrygowała mnie ostatnia strona, sklezione dwie kartki, na których było napisane „otworzyć dopiero po mojej śmierci”. Ze strachu i wścibstwa otworzyłem i tak znalazłem testament Siostry. Zapisała w nim bardzo skrupulatnie, że wszystkie zabawki mają być moje, dla mamy ukochany obrazek ze ściany w kuchni, dla koleżanki dwie papugi maskotki, a wszystkie pamiętniki dla taty, babkę pominęła. Pamiętam, że na górze była data, miejscowość, na dole podpis.

Przeczytałem tę kartkę dwa razy, rozplakałem się i pobiegłem z nią do mamy. Przeczytała i również zaczęła płakać, dała kartkę babce, która rzuciła talerzem i powiedziała, że poczekamy na smarkulę i wszystko się wyjaśni. Gdy Siostra wróciła ze szkoły, spojrzała na nas, a my wszyscy na nią.

– Co się stało? – zapytała.

– Chodź tu – powiedziała babka i usiedliśmy przy wspólnym stole. – Co to jest? – Podała jej kartkę.

Spuściłem głowę, bo nie chciałem widzieć wzroku Siostry, która wysyczała, że mnie nienawidzi, mama płakała.

– Nie będę o tym rozmawiać – powiedziała Siostra i chciała wyrwać babce kartkę z ręki, ta jej nie puściła, testament się podarł.

– I dobrze, już go nie ma – skwitowała to babka. – Co ci chodzi po głowie?

– Nie twoja sprawa – Siostra wstała od stołu i poszła do siebie do pokoju. – Nienawidzę cię, Aureliuszu!

Zostaliśmy we troje, mama płakała, położyłem jej rękę na plecach, babka poszła zmywać naczynia i powiedziała, że Siostra wróci na kolację, żeby poczekać i nic nie robić. Stało się tak, jak mówiła. Bardziej od wyszukanej dumy Siostra ceniła możliwość zaspokojenia głodu. Gdy usiedliśmy do kolacji, milczenie przerwała babka.

– O co chodzi z tym testamentem?

Siostra, nic nie mówiąc i na nikogo nie patrząc, powoli jadła kanapkę.

– Chcesz się zabić? – zapytała mama łzawym głosem.

– Nie chcę – odparła Siostra, patrząc na nią. – To na wszelki wypadek, gdyby coś miało mi się stać.

– Co miałyby się stać? – zapytałem.

– Nie rozmawiam z tobą, gnoju!

– Kochanie – zaczęła mama i wszyscy na nią spojrzeliśmy, bo to, że mówiła i że użyła słowa, którego z jej ust nie słyszeliśmy od wielu lat, wprawiło nas w osłupienie. – Nic ci się nie stanie.

– Nie wiesz tego! – krzyknęła Siostra. – Oglądałam w telewizji program o ludziach, którzy zginęli w wypadkach, nie zrobili testamentu i potem wszyscy walczyli o to, co po nich zostało. Każdy myślący człowiek powinien napisać swój testament, każdy odpowiedzialny i myślący człowiek, więc to zrobiłam, poza tym będę żyła bardzo długo i szczęśliwie! – zabrzmiało to jak groźba.

Ucieszyłem się na te słowa, wieczorem poszedłem do jej pokoju z laurką i przeprosiłem ją. Powiedziała mi, biorąc laurkę, że jeśli jeszcze raz będę grzebał w jej rzeczach, to nigdy, ale to nigdy się do mnie nie odezwie, będę samotny do końca życia, a na to się najszybciej umiera. Uwierzyłem w te słowa (wciąż zresztą wierzę) i obiecałem już nigdy nie szperać w jej rzeczach. Zdzielila mnie po głowie i powiedziała, że mam jej zrobić herbatę. Gdy wróciłem, zapytałem jeszcze, dlaczego pamiętniki zapisała dla taty. Żeby wiedział, odparła. I dodała, że mam się zamknąć i nigdy więcej o tym z nią nie rozmawiać. Następnego dnia zacząłem pisać swój testament, ale stwierdziłem, że mam za mało rzeczy i za dużo ludzi, którym bym chciał coś dać, postanowiłem, że poczekam, aż będę miał więcej. Do dziś czekam.

Roześmiana konduktorka sprawdziła bilety. Napisałem do Justy esemesa: „dlaczego nic do mnie nie piszesz?”, odpisała „bo myślę o Tobie”. Po chwili przyszedł kolejny esemes: „jak mnie kochasz?”, napisałem, że „tak jak kot muchy latem”. Tęskniłem do niej i czułem miłość w brzuchu. To najlepszy sposób, by sprawdzić, czy kocha się naprawdę, jeśli myśl, tęsknota albo wyobrażenie tego, co

mogłoby się stać, wywołuje nagły skurcz, mrowienie w samym środku brzucha. Głęboko, tuż pod żołądkiem.

Pociąg sunął leniwie, sprawdziłem, czy mam kartkę z adresem mojego taty, wyobrażałem sobie, jak się przywitamy, jak powiem mu, kim jestem, jak spojrzę w jego oczy. Zaprosi mnie pewnie do środka, będziemy rozmawiać, aż wszyscy pójdą spać, jego żona da mi buzi w czoło i powie: „Rozmawiajcie tak długo, jak chcecie, macie trochę do nadrobienia”, uśmiechniemy się porozumiewawczo. Być może przed snem mocno mnie przytuli. Kto wie. Pociąg sunął powoli, zatrzymując się na stacjach o nieznanym mi nazwach, takich jak Mandra, Worth, Krępy, Dolna Myśl. Obserwowałem ludzi, którzy wsiadają, wysiadają i tych, którzy czekają na kogoś na stacji. Lubiłem ich skupienie, mogłem patrzeć swobodnie, jeśli zauważyli mnie, to tylko na chwilę, by stwierdzić, że to nie ja, nerwowo zaglądali w okna, uśmiechali się, gdy już zauważyli Kogoś. Podanie ręki, przytulenie albo całus, wpatrzone oczy albo niepewnie spuszczone, obojętność. Z różnych powodów się czeka, chociaż czeka się zawsze tak samo.

Głodny poszedłem do Warszawy, zjadłem fileta z kurczaka i sałatkę, nieźle. Wypiłem kawę i poszedłem do toalety zapalić zakazanego papierosa. Czytałem, drzemałem, spoglądałem za okno. Gdy dojeżdżałem do Jemotani, był już wieczór. Mały, zniszczony dworzec sprzed lat, oprócz mnie jeszcze tylko trójka ludzi wysiadła z pociągu. Poszedłem do punktu informacyjnego zapytać, gdzie jest mój motel, ale nikogo nie zastałem. Wziąłem taksówkę i po kilku minutach wysiadłem przed starym budynkiem z wielkim neonem „U Ady”. W recepcji dowiedziałem się, że najlepsza, a zarazem jedna z trzech knajp znajduje się na małym ryneczku, kilka minut od motelu, i nazywa się Próg Przedświadości. Jemotania

przypominała wiele innych małych, kilkutyśięcznych miast, które każdy kiedyś odwiedził. Najwyższe budynki to szare bloki, potem kościół. Zwyczajne domy, z nieśpiesznymi ludźmi spacerującymi po malutkim rynku. Wypatrywałem wśród mijanych twarzy mojego taty, wiem, że bym go rozpoznał, ze zdjęć, wspomnień albo wyrazu oczu. Nic takiego na szczęście się nie wydarzyło.

Nie mogłem znaleźć Progu, dopiero po tym, jak zapytałem o instrukcje w sklepie, dowiedziałem się, że muszę wejść w wąską uliczkę, przejść zniszczone podwórko śmierdzące moczem i udać się na pierwsze piętro kamienicy, na której będzie szyld. Znalazłem duży napis „Próg Przedświadomości”, wszedłem po schodach, minęła mnie uśmiechnięta kobieta w moim wieku. Do knajpy wchodziło się przez drzwi starej, ogromnej szafy, wewnątrz na wieszakach wisiały marynarki, koszule, stare płaszcze. Aby wejść do środka, musiałem je odgarnąć.

We wnęce po lewej stronie siedzi starszy mężczyzna w kapeluszu i pali papierosa, uśmiecha się.

– Czy życzy pan coś sobie pozostawić w szafie? – pyta.

– W szafie? – dziwię się, a on wskazuje ręką za siebie, wypuszcza smugę dymu i uśmiecha się jeszcze mocniej. – Ta szafa jest szatnią.

– Nie, dziękuję.

– Zapraszam do środka – odpowiada, a ja czuję przyjemny niepokój.

Zatrzymuję się, zawracam i pytam go, czy wie, dlaczego to miejsce nazywa się progiem przedświadomości, uśmiecha się ponownie i mówi, że nie ma pojęcia, ale tak jest od zawsze. Nie wierzę mu.

Wchodzę dalej, spodziewając się lokalnej, drobnomieszczańskiej speluny. W dużej drewnianej sali stoją okrągłe stoliki, większość

pusta, przy każdym ustawione są drewniane krzesła lub fotele, pod ścianami stoją kanapy, każdy mebel jest inny, każdy jest stary i wszystkie razem tworzą niepowtarzalny klimat. Na ścianach znajdują się obrazy albo stare ramy od obrazów, przy każdym oknie wiszą długie ciężkie kotary w zimnym, zielonym kolorze. Ze zniszczonych głośników wydobywa się dyskretna muzyka. Podchodzę do baru, patrzy na mnie młoda barmanka ze smutną, klasycznie piękną twarzą.

– Dzień dobry, pierwszy raz na Progu?

– Dzień dobry, pierwszy.

– Co podać?

– Chciałbym coś zjeść.

– Jest jedno danie – mówi ona spokojnym i pewnym głosem.

– Jedno danie?

– Każdego dnia jest jedno, inne danie.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj placki z soczewicy z gulaszem i nalewka kawowa z pomarańczą.

– Brzmi nieźle – mówię – poproszę zatem, ale bez nalewki.

– Bez nalewki nie można – mówi tonem tak łagodnym i zdecydowanym, że wydaje mi się, że gdybym chciał odmówić, stałoby się coś złego. – Zatem?

– Niech będzie – uśmiecham się, a ona odchodzi i znika za drzwiami, po chwili pojawia się w nich starszy mężczyzna, patrzy na mnie, kiwa głową na powitanie, kłaniam się również, mężczyzna znika i wraca dziewczyna.

– Kim był ten mężczyzna? – pytam ją.

– Kucharz, mój tato – odpowiada. – Zje pan przy barze czy przy stoliku?

– Przy stoliku – mówię i wstaję wyszukać sobie miejsce, tymczasem dziewczyna wychodzi zza baru i mówi, abym szedł za nią. Kieruje się do stolika z trzema krzesłami i jednym zielonym fotelem, wskazuje na niego rękę i zaprasza, abym usiadł, po czym pyta: – Czy przed posiłkiem napije się pan czegoś?

– A otrzymam jakąś kartę?

– To niepotrzebne – mówi ona – proszę powiedzieć, na co pan ma ochotę, jeśli nie będzie, coś panu polecę.

– Piwo pszeniczne.

– Zaraz przyniosę.

Dziewczyna odchodzi, fotel jest nadzwyczajnie wygodny, jakby dopasowany do moich pleców. Rozglądam się dookoła, nikt nie zwraca na mnie uwagi, światło padające z wysoko zawieszonych żyrandoli zniekształcone jest przez dużą ilość dymu. Oprócz mnie w lokalu przebywa około dwudziestu osób w różnym wieku. Większość pije, rozmawia, pali papierosy, kilka osób tak jak ja siedzi samotnie przy stoliku, z książką lub komputerem. Kelnerka przynosi mi piwo.

– Nie wiedziałem, że są jeszcze takie miejsca, w których wszędzie można palić.

– Tutaj można nieco więcej.

– Co to za miejsce?

– Próg przedświadomości – odpowiada, patrząc mi w oczy.

– Skąd ta nazwa?

– W czasie drugiej wojny światowej było tutaj laboratorium.

Niemcy eksperymentowali z psychiką więźniów, testowano wytrzymałość, odporność na ból, nowe leki, zabiegi.

– Żydzi? – pytam.

– Głównie Żydzi, ale również polityczni. Całe przedsięwzięcie

nazywało się właśnie Progiem Przedświadomości.

– Skąd o tym wiesz? – Siada na krześle przy moim stoliku, opiera głowę na ręce i patrzy mi w oczy. Czuję się speszony.

– Co tutaj robisz? – odzywa się w końcu.

– Przyjechałem spotkać się z kimś, kogo nie widziałem od lat.

– Dawna miłość? – dopytuje.

– Mój tato.

– Po co to spotkanie?

– Chcę go poznać, dowiedzieć się, dlaczego odszedł, odnowić relację. – Z jakichś powodów wydaje mi się zupełnie naturalne, że odpowiadam na pytania nieznajomej barmanki.

– Ale on tego nie chce.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Gdyby chciał, mógłby się odezwać, prawda? Miał na to wiele lat. Uważaj na siebie – dodaje i podnosi się z krzesła, po czym stwierdza: – Dobrze, że tutaj przyszedłeś.

– Nie powiedziałaś, skąd wiesz o tym eksperymencie, o tej nazwie.

– Mój tato tam był, przeszedł przez Próg – wyjaśnia.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

– Nie – mówi z uśmiechem.

Ktoś zmienia płytę, rozpoznaję Edith Piaf. Za barem pojawia się młody chłopak. Po chwili dziewczyna przynosi jedzenie oraz kieliszek z brązową ciecżą, mówi, żebym jeszcze nie zaczynał, że zaraz przyjdzie i zje ze mną. Przynosi taką samą porcję dla siebie i jeszcze dwa kieliszki nalewki. Na raz – wydaje polecenie i unosi kieliszek, wypijam. I jak, pyta, intrygujące, odpowiadam. Nalewka ma smak kawy, pomarańczy i korzennych przypraw, rozlewa się przyjemnym ciepłem w przelęku. Jak ją przygotowujecie, pytam, to

tajemnica, stwierdza i życzy mi smacznego. Placki smakują jak łyk wody po długiej wizycie w saunie, jemy i rozmawiamy. Opowiada mi, że po wojnie tato otrzymał spore odszkodowanie, wrócił do Jemotani i kupił to miejsce. Na pierwszym piętrze urządził mieszkanie, a tutaj lokal, z którego żyje cała rodzina. Okazało się, że szatniarzem jest brat taty, jej wujek. Z ojcem rozmawia, pisząc karteczki albo na migi, stracił język, przebywając w Progu jako więzień, podczas wojny. Co tam się działo, pytam, przypominało to szpital, tłumaczy, po wojnie znaleziono tutaj mnóstwo sprzętu medycznego, zapasy leków, i dodaje, żebym przeczytał stare artykuły albo książki, wszystko jest hipotezą, z więźniów przeżyły trzy osoby, w tym jej tato, ale nigdy nie zgodziły się na wywiad, nie opowiedziały publicznie o tym czasie. Ci, którzy prowadzili to miejsce, wojskowi, naukowcy i lekarze, albo umarli, albo zniknęli, albo zostali skazani dawno temu. Wie, że tato spędził tutaj dwa lata, że stracił język i jak to sam określił – całe dotychczasowe życie. Po wojnie zaczął gotować i dzięki temu knajpa się utrzymuje, bo ktoś, kto trafił tu raz, przychodzi po jakimś czasie znowu, ty też tu jeszcze wrócisz, powiedziała. Skończyliśmy jeść.

– A ten młody barman to kto – pytam – twój brat?

– Nie – uśmiecha się – niedawno go zatrudniliśmy do pomocy.

– Możesz pić w pracy?

– Tylko nalewkę, ona nie upija, poprawia myślenie – puszcza do mnie oko, podnosi kieliszki – za twoje spotkanie po latach.

– Za moje spotkanie.

– Wracam do baru, coś ci podać?

– Może jeszcze kieliszek.

– Wiedziałam.

Przynosi nalewkę, pytam ją, jak ma na imię, a jakie imię do mnie

pasuje, odpowiada, nazwałbym cię Ewelina, mam na imię Ewelina – uśmiecha się tak, że nie mogę rozpoznać, czy żartuje ze mnie, czy mówi prawdę.

– A nie chcesz wiedzieć, jak ja mam na imię?

– Aureliusz? – szepcze.

– Skąd wiesz?! – krzyczę.

– Zgadłam – uśmiecha się i odchodzi.

Wychodząc, mówię Ewelinie, że to bardzo dziwne miejsce, odpowiada, że dziwnie to jest na zewnątrz, a tutaj bardzo zwyczajnie. Stwierdzam, że na pewno tutaj wrócę, wiem, odpowiada. Żegnam się, zamawiam taksówkę i jadę do motelu. Kręci mi się w głowie.

31

Obudziłem się po ósmej, wykąpałem, poszedłem na rynek Jemotani, kupiłem gazetę i postanowiłem zjeść śniadanie w Progu, ale lokal był jeszcze zamknięty. Wróciłem do motelu, wypłem kawę i zjadłem niedosmażoną jajecznicę. Sprawdziłem jeszcze raz na mapie, gdzie jest zakład pogrzebowy mojego taty, i skierowałem się na ulicę Szymborskiej, numer 44.

Serce biło mi szybko, myśli galopowały, zastanawiałem się, co powiedzieć i jak. Zakład pogrzebowy znajdował się w odnowionym małym domu, przed którym stał szyld „Kic i synowie”, trawnik był dokładnie skoszony. Stałem przed brązowymi drzwiami i nacisnąłem dzwonek. Usłyszałem kroki. Po chwili otworzył mi drzwi młody mężczyzna, mógł mieć maksymalnie dwadzieścia pięć lat.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – zapytał z zatroskaną miną.

– Dzień dobry – odrzekłem i przypatrywałem się jego krótko przystrzyżonym włosom, które miały kolor moich włosów. Był wyższy ode mnie, lepiej zbudowany, nasze twarze różniły się prawie wszystkim, poza układem brwi.

– Proszę wejść – powiedział mężczyzna, wciąż stałem nieruchomo, otworzył szerzej drzwi i ruchem ręki zaprosił mnie do

środku. Wszedłem za nim do małego pomieszczenia, usiadł za małym drewnianym biurkiem, a mnie wskazał kanapę. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie z czułością.

– Czy jest pana tato, Eugeniusz Kic?

– Obecnie jest zajęty, służę wszelką pomocą – odparł.

– To sprawa osobista – powiedziałem. Kiwnął ze zrozumieniem głową, wstał i wychodząc, powiedział, że poprosi tatę, żebym poczekał.

Wrócili razem, mój tato wszedł pierwszy, wstałem, a on podszedł do mnie. Zauważyłem jego siwe, wciąż gęste włosy, zmarszczki wokół oczu, mój prosty nos, moje oczy. Nie rozpoznawał mnie.

– Dzień dobry, Eugeniusz Kic, syn mówił, że to sprawa osobista?

– Dzień dobry, tak, to sprawa osobista, nazywam się Aureliusz Kic.

Tato znieruchomiał, patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, jego syn, mój brat wychylił się zza pleców ojca i również przyglądał mi się z niedowierzaniem, po czym zapytał:

– To pan dzwonił jakiś czas temu, taki dziwny telefon?

– Tak. – Patrzyłem cały czas na tatę, który popatrzył na swojego syna, potem znowu popatrzył na mnie, otworzył usta, po czym je zamknął.

– Mama nie żyje – powiedział – wiem o tym, co się stało?

– Umarła dawno, tak – nie wiedziałem, jak mam odpowiedzieć na pytanie.

– Tak, wiem, nie mogłem być na pogrzebie, miałem ważną sprawę tutaj, coś się stało z pana siostrą?

Tak powiedział: pana Siostrą, nie twoją siostrą, nie moją córką, a pana Siostrą.

– Nie, wszystko w porządku, przyjechałem poznać... – nie

chciałem powiedzieć ciębie, nie umiałem powiedzieć tato, nie znajdowałem odpowiedniej formy – zobaczyć, bez powodu – dokończyłem.

– Wszystko ma powód – odpowiedział i usiadł za biurkiem, ja wciąż stałem, za mną stał mój brat – jestem obecnie bardzo zajęty, nie spodziewałem się takiej wizyty.

– Zatrzymałem się w motelu U Ady.

– Aha – zakomunikował ojciec.

– To straszna dziura – dodał mój brat.

– Do kiedy pan zostaje?

– Do jutra, tak myślę, do jutra albo dzisiaj – wytłumaczyłem.

– Aha – tato wstał, uścisnął mi rękę i dodał: – To nie jest najlepszy moment, proszę mi wybaczyć, obecnie mamy bardzo dużo pracy, za chwilę będzie pogrzeb, wizyta księgowej.

– Ja mogę... – zaczął mój brat.

– Nie możesz – przerwał mu ojciec. – Musisz jechać do pani Walewskiej – rzucił do brata, wciąż trzymając moją rękę w powitalnym czy pożegnalnym uścisku, nie czułem nic. To zdziwiło mnie najbardziej: że nie czułem nic – może przy następnej wizycie – dodał – po prostu proszę wcześniej zadzwonić, wraz z małżonką zaprosimy na kawę, obecnie, proszę mi wybaczyć, to nie jest najlepszy moment – wstał i wskazał mi drogę do drzwi.

– Rozumiem – powiedziałem – nie chciałem przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan, nie o to chodzi, to zajęty okres, nie najlepszy moment – powtarzał te słowa jak mantrę – to nie najlepszy moment, do widzenia.

– Do widzenia.

Usłyszałem, jak zamykają się za mną drzwi, szedłem przed siebie. Mijali mnie ludzie, patrzyłem na nich tak samo jak na

drzewa, samochody, trawnik i wciąż nic nie czułem. Dotarłem do motelu, wszedłem do swojego pokoju, włączyłem telewizor i po chwili go wyłączyłem. Zadzwoiłem do Siostry, ale nie odebrała. Poszedłem do łazienki, wysikałem się, spojrzałem na siebie w lustrze, zobaczyłem nos mojego ojca i zacząłem płakać. Usiadłem na podłodze i płakałem dalej. Chciałem znaleźć się w domu z Ditą, pomyślałem, że muszę stąd dzisiaj wyjechać, uciec. Oddzwoniła Siostra, opowiedziałem jej o przebiegu spotkania.

– Przykro mi – powiedziała.

– Nie rozumiem, nie dociera do mnie, że nie był ciekawy, kim jestem.

– Przykro mi, że ci źle, ale czego się spodziewałeś? To on, dokładnie taki sam jak czterdzieści lat temu.

– Mogłem zadzwonić wcześniej, głupi jestem.

– Głupi jesteś z innych powodów, nic by to nie zmieniło. Musiałeś to sprawdzić, nikt nie mógł cię odwieść od tego pomysłu, musiałeś coś sobie udowodnić, zrobiłeś to, a teraz zabieraj się z tej dziury.

– Ładnie tu, słyszałaś o Progu Przedświadości?

– Tak, byłam tam kilka razy, wytrawne jedzenie, ale dziwne miejsce, zabieraj się stamtąd, wracaj do przyjaciół, do Justy.

– Tak zrobię, dzięki.

– Kocham cię, smutasie, wiesz?

– Wiem.

Płakałem jeszcze chwilę, siedząc na podłodze, i analizowałem przebieg spotkania, które miało trwać wiele godzin, a zamknęło się w trakcie kilku minut. Poszedłem się wykąpać, zacząłem pakować swoje rzeczy, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem ojca.

– Słuchaj, głupio tak wyszło, ale to naprawdę kiepski czas,

przyjechałem, bo muszę o coś zapytać – mówił, stojąc na progu, zaprosiłem go do środka, ale nie chciał wejść, serce waliło mi jak oszalałe.

– Proszę pytać.

– Czy chodzi o pieniądze? – Spojrzał na mnie, a ja nie potrafiłem nic powiedzieć, więc mówił dalej: – Bo wiesz, zakład nie przynosi wielkich zysków, mam na utrzymaniu rodzinę, jakoś to ciągniemy, ale korporacje odbierają nam chleb, więc nie mogę ci w tym pomóc.

– Nie chodzi o pieniądze – wyjaśniłem i pomyślałem, że chciałbym, żeby już poszedł.

– Przepraszam, rozumiem, tak zapytałem, to naprawdę...

– Tak, to nie najlepszy moment – dokończyłem za niego.

– Tak – stał dalej na progu i wykrzywił swoje palce. – Jeśli będziesz chciał nas odwiedzić, za kilka tygodni czy kiedyś tam, zadzwoń.

– Dobrze.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

– Ach, Mariusz chce do ciebie przyjechać, mówił, że wieczorem, jeśli jeszcze tu będziesz.

– Mariusz? – zapytałem.

– Mój syn, poznaliście się.

– A, tak, będę tu, tak, będę. – Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem.

– To powiem mu, ja mam pracę, więc sam rozumiesz, on przyjdzie, tak mówił – patrzył na mnie, na podłogę, ścisnął swoje ręce i dodał: – Do widzenia.

– Do widzenia.

I poszedł. W miejsce smutku pojawił się niesmak, a zaraz za nim

irracjonalne poczucie siły. Usiadłem na łóżku, spojrzałem na spakowaną do połowy walizkę i stwierdziłem, że zostanę do jutra. Byłem ciekawy, kim jest mój brat. Wyszedłem do miasta, wstąpiłem do księgarni, kupiłem dwie książki, gazetę, usiadłem w jakiejś kawiarni i zamówiłem kawę. Zadzwoiłem do Justy.

– Kocham cię bardzo, bardzo mocno – powiedziałem.

– Ha! Ale coś ci muszę powiedzieć...

– Powiedz – zacząłem się martwić.

– Ale czy jesteś gotowy to usłyszeć?

– Jestem, Justa, jestem.

– Bardzo, bardzo mocno mnie kochaj – i zaczęła się śmiać, ja również.

Długo rozmawialiśmy, opowiedziałem jej o spotkaniu z ojcem i o tym, że po drugiej wizycie czuję się silniejszy, że nie rozumiem tego, ale czuję się silniejszy. Justa powiedziała, że czasami tak jest, i dodała, że dobrze tracić coś, co wyglądało jak prawda, a było tylko iluzją. Zapytałem, co ma na myśli, odparła, że dziś na sesji doszło do niej, że woli prawdziwą bliskość od iluzji bliskości i że na razie to słowa, ale chce się tego uczyć. Jeszcze nie wie, czy tak potrafi, ale musi przekopać się przez całe dzieciństwo, i dodała jeszcze, że wybrałem sobie bardzo trudny przypadek.

– Tylko takie mnie interesują – zareagowałem.

– Chyba taka, a nie takie.

– Taka! – potwierdziłem. – Taka tylko jedna.

Opowiedziała mi, że Baškę zabrali do innej placówki, ponoć dla ciężkich przypadków, poza tym leki zaczynają działać, czuje się spokojniejsza, myśli zwolniły, chociaż wciąż powracają wizje śmierci i tego, jak by to zrobiła. Pocieszają ją te wizje, bo traktuje je jak koło ratunkowe, co prawda ostateczne wyjście, ale takie, które

oznacza, że ma wpływ, że żyje, że może coś zrobić, wybrać.

– Jeszcze muszę cię o coś zapytać, Arku.

– Pytaj.

– Kochasz mnie?

– Kocham.

– No to dlaczego nic nie mówisz?

Śmialiśmy się, powiedziałem, że jutro przyjadę późną nocą, więc odwiedzę ją dopiero pojutrze. Zaczęła nagle płakać i prosiła, bym jej pozwolił i nie pocieszał. Gdy się uspokoiła, podziękowała.

Poszedłem do Progu. Szatniarz rozpoznaje mnie, pytam, czy jest Ewelina, mówi, że jak zawsze. A zatem naprawdę ma tak na imię. Znajduję ją przy barze.

– Wiedziałam, że przyjdiesz, ale nie myślałam, że tak szybko – uśmiecha się.

– Masz na imię Ewelina. – Patrzy na mnie zdziwiona i dodaje, że wczoraj już to odgadliśmy.

Opowiadam jej o przebiegu spotkania, słucha, patrzy na mnie, zadaje pytania, niczego nie oceniła i nie komentuje. Gdy nie mam już nic do powiedzenia, dotyka mojej ręki i wstaje. Odprowadzam ją wzrokiem, wchodzi za bar obsłużyć jakiegoś klienta, patrzy na mnie z uśmiechem, z daleka. Daniem dnia jest zapiekanka pomidorowa z bakłażanem, pikantna, bardzo wytrawna. Ewelina przynosi mi nalewkę i kawę, mówi, że to na koszt firmy i jeśli poczekam pół godziny, to zje ze mną, bo nienawidzi samotnych posiłków.

– Zawsze jadasz z kimś? – pytam, gdy w końcu przynosi obiad.

– Zawsze. Zazwyczaj z klientami, stałymi klientami, a jak nie ma człowieka, wychodzę na wewnętrzne podwórko i jem z kotami. Co teraz będzie z twoim życiem?

– Co masz na myśli?

– Przyjechałeś, żeby znaleźć coś, czego nie ma, tyle lat nadziei, czekania...

– Tak – zamyślam się i czuję, jak właśnie w tym momencie gdzieś spod żołądka spływa do mnie szczęście, siedzę w nieznanym mieście, z intrygującą kobietą, którą być może widzę po raz ostatni, czuję, że mogę jej opowiedzieć o wszystkim, bo nie jest częścią mojej codzienności, mojego świata. – Myślę, że znalazłem, na pewno nie to, po co przyjechałem, ale coś znalazłem i dowiem się, co to jest, myślę, że... – urywam, żeby spojrzeć na nią i sprawdzić, czy nie ośmieszam się tym, co mówię, patrzy na mnie z zainteresowaniem – myślę, że właśnie zaczynam swoje życie.

– Na progu przedświadości – dodaje z uśmiechem.

– Na progu – zaczynam się śmiać, coraz głośniej i głośniej, ona również.

Rozmawiamy jak natchnieni, o planach z młodości i tych, które właśnie teraz powstają. Opowiadam jej o sobie, takim jakim zawsze chciałem być. Oboje wierzymy w to, co mówię. Muszę dla niej być kimś w rodzaju kota, z którym zjada posiłek, tak by nie nazywać go samotnym. Z chęcią staję się chwilową atrakcją, przybyszem bez historii, z którym można spędzić chwilę i wrócić do życia. Patrzę na jej usta, oczy i mam ochotę na pocałunek, na jeden pocałunek, który zostałby w tym miejscu, o którym zapomniałbym, wsiadając do pociągu powrotnego.

– O czym teraz myślisz? – pyta, widząc mój wzrok utkwiony w swoich ustach.

– O tym, że chcę cię pocałować.

– I mnie przeszło to przez głowę – uśmiecha się.

– Ale muszę ci coś powiedzieć...

– Nie musisz – przerywa i zbliża się do mnie tak, że czuję jej oddech na swoich ustach, patrzymy na siebie długo, nasze usta oddziela przestrzeń wielkości małego palca, nie pamiętam, kiedy ostatnio odczuwałem tak podniecające napięcie. I żadne z nas nie robi nic. Powoli i boleśnie oddalamy się od siebie.

– Za to, czego nie ma – mówi, wznosząc toast.

Nie potrafiłbym opowiedzieć o tym, co się stało, tak by opowiedzieć o tym, co się stało. Myślę, że czułbym się mniej winny i bardziej bezpieczny, gdybyśmy się pocałowali, nie porzucili siebie głodnych.

Wychodząc, mówię, że wrócę tutaj, że wrócę na pewno, nic nie odpowiada, ale jestem przekonany, że wie, że kłamię. Pytam, czy mógłbym kupić butelkę nalewki, tłumaczy mi, że to niemożliwe, że nikt nie wynosi nalewki z lokalu, chyba że ukradnie wypełniony kieliszek, a zdarza się to nad wyraz często, i dodaje, żebym tego nie robił, bo ma mnie na oku.

– Dobrego życia, nieznajomy – mówi, stojąc obok mnie, palce naszych dłoni przez chwilę się dotykają.

– Dobrego, Ewelino.

Wracałem do motelu pełen myśli o Juście, Magdzie, Ewelinie. Zabijałem poczucie winy, tłumacząc sobie, że nie zrobiłem przecież nic, a skoro tego, co się stało, nie umiem nazwać, przyporządkować do znanej definicji grzechu, to odpuszczę sobie proces samooskarżania.

Napisałem esemesa do Justy, że ją kocham. Chciałem zadzwonić do Michała, aby opowiedzieć o Ewelinie, ale zrezygnowałem, bo nie wiedziałem, jak miałbym to zrobić. Przez chwilę miałem wielką ochotę zawrócić, złapać barmankę za rękę i zabrać ją gdzieś bardzo daleko, i przegrać tam całe swoje dotychczasowe życie. Wiedziałem

jednak, że mógłbym to zrobić jako bohater książki, a nie jako Aureliusz Kic.

W motelu, w drzwiach znalazłem kartkę „Hej! Chętnie się spotkam, pogadać. Zadzwoń, a będę po dwudziestu minutach. Mariusz” i numer telefonu. Zadzwoniłem.

– Cześć, tu Arek, dostałem...

– Cześć! Świetnie, że dzwonisz, zaraz będę.

Nie zdążyłem nic więcej powiedzieć, bo mój przyrodni brat się rozłączył. Pościeliłem łóżko i zacząłem sprzątać porozrzucane ciuchy. Mariusz zjawił się po kilkunastu minutach, stanął w drzwiach, uśmiechnął się i podał mi whisky.

– Przejmujesz się ojcem? – zapytał, stojąc pomiędzy łóżkiem a małym stolikiem z lampką.

– Na początku się przejmowałem, ale po tym, jak tu przyjechał, dotarło do mnie, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, że tak to po prostu wygląda, nie mieliśmy kontaktu i dalej go nie mamy, bo on nie chce, on nawalił.

– Popieprzone – powiedział – nie brzmi dobrze.

– Ale dzięki temu jakoś mi lepiej, ze sobą mi lepiej, zrobiłem, co mogłem, pozbyłem się jakiegoś ciężaru, który od dawna mnie męczył.

– Gadał o kasie, co? W domu nawijał, że pewnie o to ci chodzi, pokłóciliśmy się, zachował się jak dupek, jak Edek Kicek.

– Edek Kicek – uśmiechnąłem się pod nosem.

– Jak byłem w szkole średniej, non stop się kłóciliśmy i tak go wtedy nazywałem, Edek Kicek, wiesz, taki typ małego, przerażonego kundla, który cały czas ujada, z lęku staje się agresywny i gryzie cię po kostce albo rzuca się na pięć razy większego od siebie psa, popieprzone.

– A teraz jak jest?

– Dobrze, interes jakoś się kręci, każdy robi swoje. O życiu nie gadamy, a o kasę przestaliśmy się kłócić.

– Może siądziemy? – zaproponowałem, bo cały czas staliśmy, on za łóżkiem, ja w drodze do łazienki, by przynieść szklanki do whisky. – Nie mam nic do popicia, może zrobię herbatę.

– Może być.

Usiedliśmy na łóżku, między sobą postawiliśmy stolik, na nim butelkę i dwie herbaty w szklankach bez uchwytów.

– Za Kiców mimo wszystko – powiedział Mariusz.

– Mimo wszystko – powtórzyłem i zawstydzeni, każdy obecnością tego drugiego, unieśliśmy szklanki do góry. – Palisz?

– Nie, ale daj.

– To nie, ale tak?

– Palę raz na rok, jak jest okazja.

– Teraz jest okazja?

– No raczej, brachu – i zaśmiał się, a we mnie rozlała się wdzięczność i wzruszenie.

Opowiadaliśmy sobie o sobie. Mówiliśmy w wielkim pośpiechu, wiedząc, że nie wystarczy nam czasu, by jednego wieczoru, jednej nocy opowiedzieć kilka lat. Mariusz urodził się w Jemotani i tutaj, jak mówił, umrze. Wyprowadził się z domu, gdy wyjechał na studia, ale przerwał je po pierwszym semestrze, bo nie chciało mu się podchodzić do egzaminów. Od początku pomagał ojcu w biznesie, ożenił się trzy lata temu, ma dwuletniego Szymonka, którego bardzo kocha, żonę również kocha, ale coraz mniej lubi, i to go trochę niepokoi. Twierdzi, że zmieniła się po urodzeniu dziecka, on przestał być dla niej taki ważny. Planują kolejne dziecko, dziewczynkę. Nie lubi swojej pracy, ale wie, że innej nie będzie

miał, a zakład będzie kiedyś należał do niego i Szymona.

Wydarzeniem roku są wakacje nad morzem oraz festiwal motorowy w Jemotani.

– Nie chcesz tego zmienić? – zapytałem, słuchając o życiu, które wydawało mi się tak proste, nieciekawe.

– Ale czego?

– Swojego życia.

– Po co, stary? Ja je bardzo lubię, czasami mi się wydaje, że w czepku się urodziłem, dobrze mi.

– Nie jest nudno?

– Z Szymkiem nie ma na to szans – odparł i zaśmiał się. – Też pewnie chcesz dziecko?

– Chyba tak – przyznałem, nie wiedząc tak naprawdę, czego chcę.

Opowiedziałem mu o Juście i Magdzie.

– Popieprzone na maksa – skwitował i klepnął mnie w plecy. – Współczuję, brachu, wypijmy.

– Dzięki – poczułem przez chwilę, że zazdroszczę mu życia, które jeszcze przed chwilą oceniłem jako nudne.

Upijaliśmy się coraz bardziej, Mariusz opowiadał o piłce nożnej, narodzinach syna, pracy w zakładzie pogrzebowym i znowu o piłce, ja mówiłem o szpitalu psychiatrycznym, moich przyjaciółach, Siostrze, pisaniu artykułów i Ewelinie barmance. Okazało się, że wzdychają do niej wszyscy w Jemotani. Pożegnaliśmy się pijani i zadowoleni, zaprosił mnie na śniadanie jutro rano, bym poznał jego żonę i synka. Zasypiałem upojony i szczęśliwy.

Obserwowałem szybko zmieniający się widok zza okna pociągu. Wracalem. Nie mogłem się skupić na czytaniu, muzyce. Moje nieruchome ciało w pędzącym pociągu, stukot kół oraz myśli, które swobodnie płynęły w głowie, odpowiadały mi. Na śniadanie zjadłem genialną jajecznicę u Mariusza i jego żony, rozmawialiśmy o mało istotnych sprawach, obserwowałem z zazdrością, jak wygląda spokojne, rodzinne życie. Czułem się jak u Siostry podczas świąt. Zaprosiłem ich do siebie, powiedzieli, że przyjadą, że będziemy w kontakcie. Z pociągu wysłałem esemesy do Siostry, Gosi i Michała, że zyskałem brata, chociaż spotkanie z ojcem okazało się porażką i że to był bardzo ważny wyjazd, ale cieszę się, że już do nich wracam. Siostra napisała mi, że mnie kocha i chce poznać Mariusza. Michał, że ojcowie są zazwyczaj do dupy. Gosia, że bym wracał. Szybciej. Zadzwoiłem do Justy, była smutna i rozdrażniona.

- Co się dzieje? – zapytałem.
- Arek, kurwa, jestem w psychiatryku.
- Wiem, kochanie.
- A ciebie nie ma.
- Już wracam, będę jutro.
- Mówiłeś, że dziś.

– Dziś przyjeżdżam, ale późno wieczorem, jutro wciąż mam wolne i przyjdę do ciebie na cały dzień.

– Dni bez ciebie zmieniają mnie w te kobiety.

– Będę jutro – powtórzyłem.

Opowiedziała mi bez radości o tym, że jest już na półotwartym, że dużo nowych pacjentek przyjechało na zamknięty i przenieśli trzy pacjentki, w tym ją. Nie cieszyła się tak, jak się spodziewałem, mówiła, że może chodzić do ogrodu z pielęgniarką, chodzić po korytarzu, że poznała Niezłą Kotkę i rozmawiały o mnie długo. Nie pytała, ale opowiedziałem jej o Mariuszu i moim ojcu. Wysłuchała i powiedziała, że to wspaniale zyskać brata i że bardzo smutne nie mieć ojca. Na koniec zapytała, czy ją Kocham, gdy powiedziałem, że tak, zapytała, dlaczego nic nie mówię i po raz pierwszy lekko się uśmiechnęła.

Zmęczony przespałem prawie całą drogę. W domu przywitała mnie Dita, która zamachała ogonem i położyła się z teatralnym lekceważeniem na parapecie, cały czas patrząc, co robię. Na stole w kuchni znalazłem kartkę od Michała: „Byłem, dałem wody i jeść, a ta niewdzięczna kurwa mnie podrapała. Do szybkiego! Michał”.

Zasypiałem, myśląc o przypadkowości spotkań, o Ewelinie i Mariuszu, o moim ojcu i o tym, że naprawdę go nie ma, że nie istnieje żadna tajemnica, powód, dla którego odszedł. Pomyślałem, że im bardziej nie ma czegoś, czego pragnę, tym bardziej to idealizuję. Śniła mi się ogromna wiolonczela, w której zamieszkałem. Gdy przewracałem się z boku na bok, zahaczałem ręką o strunę, którą zrywałem, struna pozostawała w mojej ręce i zamieniała się w puchową, grubą i przyjemną tkaninę, którą kładłem sobie pod głowę lub na brzuch. Struny nie kończyły się, a ja z przyjemnością przewracałem się z boku na bok. Obudziłem

się po siódmej. Wypoczęty i stęskniony za Justą. Zjadłem śniadanie, nakarmiłem Dite i poszedłem kupić kawę, jabłka, papierosy, pluszowego misia i kwiaty dla Justy.

Gdy idę korytarzem, widzę Niezłą Kotkę, siedzi z Justą pod ścianą. Trzymają się za ręce i rozmawiają, płaczą, zwalням kroku i przyglądam się Juście, jej wpatrzonym oczom pełnym łez, i czuję miłość, troskę. Justa zauważa mnie, patrzy przez chwilę, po czym podnosi się nagle, puszcza ręce Niezłej Kotki i podbiega do mnie. Wskakuje na mnie, czuję jej mokry policzek na swojej szyi.

– Przyszedłeś!

– Pewnie, że przyszedłem, tak jak mówiłem.

– Przyszedłeś, tak jak mówiłeś.

Patrzy na mnie i całuje. Daję jej kwiaty i pokazuję, co mam w reklamówce. Podchodzi do nas Niezła Kotka i mówi do Justy, że rozumie, że to Arek, bo go zna, i to powód, by przerwać ważną rozmowę, nawet jeśli płakała, ale już przestaje i widzi, że są tu kwiaty, ale pewnie nie dla niej, ale może potrzymać chociaż albo wziąć na noc do sali, albo dostać jednego. Patrzymy z Justą na siebie, znajdując w tym spojrzeniu czułość dla siebie i dla niej, Justa wyciąga trzy kwiatki z bukietu i daje Niezłej Kotce. Ta mówi, że to niepotrzebne, że nie może tego przyjąć, ale chce i bierze kwiatki, dodając, że gdybyśmy chcieli z nią porozmawiać, to ona będzie tutaj, gdzie jest, bo gdzie ma być. Justa łapie ją za rękę i przytula, na co Niezła Kotka mówi, no tak, dobrze, w sumie no tak, to dobrze, czyli ma zostać. Nie, mówi Justa, chcę być sama z moim ukochanym, ale potem porozmawiamy. No tak, mówi Niezła Kotka i odchodzi, trzymając kwiaty w wyprostowanej ręce, wystają ponad jej głowę.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Mam ochotę cię uderzyć albo wziąć na ręce.

– Jestem – powtarzam.

– Teraz się czuje – mówi ona, chwyta mnie za rękę i prowadzi do swojego pokoju, przechodzimy obok pielęgniarek, którym Justa mnie przedstawia, sprawdzają zawartość reklamówki i idę dalej.

Ten pokój Justy jest większy, oprócz niej mieszkają tu jeszcze trzy pacjentki, mówi, że same depresyjne, przez co jest spokojniej, na jednym łóżku siedzi pani Mariola.

– Dzień dobry panu – mówi.

– Dzień dobry pani – odpowiadam i podchodzę uścisnąć jej dłoń. Zamyka zeszyt, w którym coś pisała.

– Wrócił pan, widzisz, Justynko, wrócił, brakuje nam tutaj widoku prawdziwych mężczyzn, pan tak o sobie myśli jako o prawdziwym mężczyźnie?

– Ja tak o nim myślę – mówi Justa i całuje mnie.

– Kochana, skończ z tą zazdrością, już rozmawialiśmy, jestem stara i wyjałowiona, pozostają mi tylko słowa, których nie wolno mi odbierać, podziel się nim.

– Ale tylko na chwilę, idę sikać – mówi Justa, posyła mi buziaka i odchodząc, krzyczy: – Mój ci on, mój!

– Obiecał mi pan *Wielkiej burzy przerwę* – mówi ona i patrzy na mnie uważnie.

– Nie wiedziałem, że pani tutaj będzie...

– Zapomniał pan, proszę nie mieć wyrzutów, nie jestem na tyle ważna, ale bardzo proszę ją przynieść jutro, czy to możliwe?

– Tak, przyniosę.

– Było tu przez pana nieznośnie.

– Przeze mnie? – pytam zdziwiony.

– Przez pana. Justyna co jakiś czas nabierała przekonania, że

pan nie przyjdzie, że ją pan opuścił. Ja i inne wariatki musiałyśmy ją pocieszać.

– Pani nie jest...

– Jestem. Wciąż zazdrości pan wariatom? – nie pozwoliła mi dokończyć.

– Ma pani świetną pamięć – mówię do niej.

– Staram się dokładnie zapamiętać wszystko, co dzieje się teraz, ułatwia to niepamiętanie tego, co wcześniej. To pamięć mnie tutaj trzyma, ta zła i dobra, ale nie będziemy o tym rozmawiać, proszę mi powiedzieć, jak minęły panu ostatnie dni?

– Byłem poznać mojego ojca, który z kolei nie chciał mnie poznać, ale dzięki temu zjadłem najlepsze śniadanie w swoim życiu i poznałem brata.

– Ciekawe. Może dlatego powinno się chcieć, ale nie wiedzieć dokładnie czego, po prostu chcieć. Pan chce, prawda?

– Chcę.

– Czego chcesz, Arku? – pyta Justa, która właśnie wchodzi do pokoju, po czym szczypie mnie w pośladek.

– Ciebie, kochanie.

– Ha! – Całuje mnie.

– Dwadzieścia lat temu walczyłabym o pana, prawdopodobnie również uwiodła i porzuciła.

– Tylko wiek cię powstrzymuje, babciu? – pyta Justa.

– Oczywiście, że nie, przede wszystkim to, że cię polubiłam, kochana, a ty wszystko tym popsułaś – mówi pani Mariola i pierwszy raz delikatnie się uśmiecha. – Idźcie do ogrodu, tam najintymniej.

– Dziękuję za miłą rozmowę – mówię do pani Marioli.

– Proszę już nie kokietować – ona na to i nie patrząc na mnie,

otwiera swój zeszyt. – Za bardzo niech się pan również nie stara, to nie jest podniecające.

– A co jest?

– Niedostępność – mówi smutnym głosem – kiedyś podniecała mnie troska, obecnie tylko niedostępność, bo troski mam po uszy, do widzenia.

– Do widzenia.

Możemy wyjść na ogród, usiąść na ławce, tak żebyśmy byli widziani z okna pokoju pielęgniarek. Podoba mi się to miejsce, wielka przestrzeń, nieskoszona trawa, drzewa, małe krzaki, ławki, spacerujący ludzie. Idziemy się przejść.

– Normalniej mi bez pidżamy – mówi Justa. – Widzisz, że umalowałam się dla ciebie? Po raz pierwszy tutaj.

– Widzę – mówię – jesteś piękna.

– Piękniejsza od wszystkich, bo tak jest, czy dlatego, że jesteś zakochany?

– Piękniejsza od wszystkich, bo tak jest, bo jestem zakochany!

Patrzy mi czujnie w oczy i uśmiecha się, po czym dodaje, że bym się nie popisował, bo nie ma już pani Marioli.

– Zazdrośnica – kwituję. Justa robi poważną minę, patrzy na mnie, po czym się uśmiecha.

– A tak, zabiję każdą, która się zbliży, uduszę i zgwałcę albo będę dusiła, gwałcąc – śmieje się Justa i dodaje: – To niesamowicie inteligentna babka, dużo się od niej uczę, zarazem jej smutek, gdy pozwala mu na małą chwilkę wypłynąć, jest tak ogromny, że odbiera siły, ale nie mówi o tym prawie nic. Uczy mnie dystansu.

– Byle nie do mnie.

– Nie do ciebie.

Siadamy na ławce, palimy papierosy, potem Justa idzie zrobić

kawę. Co chwilę ktoś przechodzi i patrzy na mnie uważnie, często z uśmiechem, zawsze z ciekawością, nikt nie udaje, że mnie nie widzi. Kilka osób pyta, kim jestem, do kogo przyszedłem, po udzieleniu odpowiedzi okazuje się, że większość mnie kojarzy. Zazwyczaj słyszę coś w stylu „o, wrócił pan”, albo „a jednak przyszedłeś”. Gdy Justa przynosi kawę, pytam, skąd wszyscy wiedzą, kim jestem. Mówi, że tu wszyscy o wszystkim wiedzą.

– Myślałam, że może tam zostaniesz, że znajdziesz coś, czego szukasz, bo nie ma tego we mnie, że jesteś zmęczony moim szpitalem, że przestajesz mnie kochać i chcesz odejść, wiedziałam, że to nieprawda, ale nie mogłam uwierzyć, że to nieprawda.

– Nie ufasz mi? – zapytałem.

– Ufam ci nie bardziej niż sobie.

Nie wiem, co powiedzieć, wraca do mnie strach, którego coraz bardziej mam dosyć.

– Popatrz na mnie – dotyka mojej twarzy – gdy zaczynam o tym mówić, zaczynam ci ufać, i sobie, i nam, ale jak mogę ufać, gdy jestem tutaj, w szpitalu?

– To zaklęty krąg, który może wszystko wytłumaczyć. Jestem tutaj i nie mam więcej dowodów niż to, że jestem.

– Wiem – odpowiada ona.

Rozmawiamy o przyszłości, o planach. Justa wypytuje o mojego ojca, o Mariusza. Mówi, że mnie kocha, a słuchanie o miłości, którą się czuje, jest tak potrzebne jak niedopowiedzenie i niepewność przy zakochaniu. Justa mówi, że nie chodzi o mnie, a o nią, że boi się żyć na zewnątrz, że coraz lepiej jej tu, że oswaja się ze śmiercią i mówieniem o niej, a im więcej mówi o śmierci, tym bardziej chce żyć. W porze obiadu prowadzi mnie do pokoju, w którym odbywa się muzykoterapia i zajęcia ruchowe, pokazuje stary adapter

i płyty, mówi, abym poczekał i słuchał, czego chcę. Znajduję starą płytę Mireille Mathieu z utworem *Ne me quitte pas*, który brzmi idealnie z trzeszczącej płyty winylowej. Gdy Justa wraca, pytam ją o koszule, czy nie ma ochoty ich zszywać, zaprzecza, był taki dzień, gdy zaczęła, ale zupełnie jej przeszło i już nie chce. Nie wie dlaczego, może dlatego, że teraz buduje coś w środku, koszule były łatwiejsze.

W drodze ze szpitala zadzwoniłem do Michała.

- Wróciłem.
- No wiem, chcesz fanfary?
- Jakies małe by się przydały, co u ciebie?
- Weronika – odpowiedział.
- Jak jest?
- Stary, zajebicie, to bardzo mądra i seksowna kobieta. – Nie laska, nie materac, nie babka, nie facetka, nie dziewczyna, Michał powiedział „kobieta”, zakochał się.
- Zakochałeś się.
- Gównu, daj spokój, dobrze jest, całowaliśmy się.
- I?
- Całowaliśmy się, idealnie było i nic więcej, wyobraź sobie.
- Jakoś mam problem, ale cieszę się bardzo, dobrze to brzmi, jak z wyjazdem na The Cinematic?
- No sorry, ale wypisuję się, chcemy z Weroniką pojechać gdzieś razem, nad jezioro, sami. Nie chcę tego spieprzyć, a jak będziemy we trójkę, ty, ja i Gośka, a do tego Weronika, dostanę jak zawsze na łeb i będzie jazda.
- Będzie, no to nie spieprz, pogadam z Goską zatem, co i jak.
- A jak wam?
- Rozmawiamy, ale wiesz, to trudne, jak jesteśmy razem, jest

świetnie, ale jak tylko się oddalam, to ona urządza mi awantury, zmęczony trochę jestem. Może niedługo dostanie przepustkę.

– Kochasz?

– No, kocham.

– To będzie git!

Po powrocie do domu sprawdziłem skrzynkę służbową. Znalazłem mejla od Anny Dymnej, serce biło mi szybciej, gdy przeczytałem pierwsze zdanie „Drogi Panie Aureliuszu”. Organizowała wyprawę w góry wraz z Jasiem Melą oraz zbiórkę pieniędzy dla osób z zespołem Downa i pytała, czy napiszę o tym tak dobrze jak zwykle. Odpowiedziałem, że z ogromną przyjemnością, chociaż wiem, że nigdy nie wypowiadam się z tego kłamstwa. Gosia odezwała się esemesem, w którym napisała: „kryzys miłosny. zaprosz mnie na wino. z kolacją. wino przyniosę”. Odpisałem jej, żeby przyszła i kupiła po drodze makaron, zrobię sos szparagowy ze szpinakiem.

Przyniosła dwie butelki wina i trzy różne opakowania makaronu. Nie wiedziałam. Nie mogłam się zdecydować. Tak powiedziała. Dodała, że najpierw chce posłuchać wszystkiego z detalami, żebym gotował i mówił, ona będzie piła i paliła, i słuchała. Tak zrobiliśmy. Opowiedziałem jej o minionych dniach, o Juście, gdy kolacja była gotowa, usiedliśmy przy stole i spytałem ją, co się stało.

– Zakochał się – rzuciła.

– Adam, ten nowy?

– Nowy. Zakochał się. Wyznał to trzy razy. Za każdym razem patrząc mi w oczy. Z miną tak uroczą, ufną i kochaną, że miałam ochotę krzyknąć. Albo uciec. Albo dać mu w mordę i powiedzieć, że lepiej, żeby mnie pieprzył. Mocno. Porąbana jestem?

– Jesteś – nie powiedziałem nic nowego. – No ale co było dalej?

– Powiedziałam mu, że też jestem. Zakochana.

– A nie jesteś?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ty jesteś zakochany, skąd to wiesz?

– Po prostu wiem, to się czuje.

– To rozumiem, ale po czym to rozpoznajesz?

– Jak widzę coś, co mi się podoba, to muszę jej szybko o tym opowiedzieć, chcę dla niej gotować potrawy, których jeszcze nie jadła, potrzebuję wiedzieć, jak się ma, potrzebuję jej dotykać, no nie wiem, myślę o niej non stop, patrzę na nią i wiem, że to To, a jak jesteśmy razem...

– Dobra. Zamknij się już – powiedziała z uśmiechem. – Znowu jest tak samo. Facet się zakochuje. Nadaje tempo, w którym ja się nie odnajduję.

– A jak zareagował, jak mu powiedziałaś, że jesteś zakochana?

– Rzucił się na mnie. Ale nie żeby wiesz. Pieprzyć. Znaczący kochać. Rzucił się na mnie przytulać. Ścisnął mnie, trzymał. Głaskał. Przez chwilę było miło. Po chwili zaczęłam się dusić. Potem się narębałam i jakoś tak nerwowo chodziłam po mieszkaniu. Co chwilę zmieniałam muzykę. Robiłam herbaty. Wszystko, by nie dotykać się zbyt często. Seks natomiast był oszalamiający.

– Powiedziałaś mu o tym?

– Powiedziałam mu, że lubię, jak bydlę z niego wychodzi.

– Czy mu powiedziałaś, że tempo dla ciebie za szybkie?

– Nie, ja nie umiem.

– Potrafisz rozmawiać z Bono, a nie potrafisz powiedzieć facetowi, który jest w tobie zakochany, że się dusisz?

– Nigdy nie rozmawiałam z Bono.

– Ale potrafiłabyś.

– I jak niby ma mi to pomóc?

– Bo niepotrzebnie wytrzymujesz coś, na co nie masz ochoty, moja terapeutka mówi mi, że jak się w związku nie stawia granic i nie wyraża uczuć, to potem następuje albo atak, albo ucieczka.

– Ucieczka – stwierdziła Gosia i skończyła makaron. – Bo widzisz, ja go lubię. Może porozmawiam faktycznie. Pyszny makaron. Nalej mi wina. Opowiem ci, jaką idiotkę z siebie zrobiłam.

Otóż Gosia miała spotkanie zawodowe dotyczące najnowszych procedur zapewniających bezpieczeństwo widzów podczas koncertów na stadionach. W spotkaniu uczestniczyło kilka osób z jej agencji i prawnicy, w tym jej Eks Adam. Postanowiła utrzyć mu nosa i pokazać, że jest adorowana, i zamówiła sobie przez pocztę kwiatową kosz czerwonych róż. Kwiaty miały zostać dostarczone dokładnie w trakcie spotkania. Kurier wszedł, Gosia udawała wielce zaskoczoną, wszystkich przeprosiła, odebrała kwiaty i karmiła się zazdrosnym spojrzeniem Eks Adama. Gdy usiadła z powrotem na swoje miejsce, kurier wciąż stał i patrzył na nią oczekująco. Gosia zapytała o co chodzi, kurier poprosił o pieniądze. Gosia udawała, że nie rozumie, jakie pieniądze, kurier wyjaśnił, że za kwiaty, wszyscy przerwali dyskusję i przysłuchiwali się rozmowie. Gosia zaśmiała się głośno i stwierdziła, że to dosyć nienormalne, by płaciła za prezent od nieznajomego. Kurier uznał, że musiała nastąpić jakaś pomyłka, i przeprosił. Odszedł i wykonał telefon do firmy, po czym wrócił i powiedział, że kwiaty zostały zamówione przez Gosię P. i że za bukiet trzeba zapłacić, i że on nie pójdzie bez pieniędzy, bo go wyrzucą z pracy. Bardzo upokorzona i czerwona na twarzy Gosia zapłaciła za kwiaty, nikt nic nie mówił, ale wiele osób idiotycznie uśmiechało się pod nosem. Gosia unikała

spojrzenia Eks Adama, jednak gdy na siebie spojrzeli, widziała po jego oczach, że triumfuje. Cała historia rozbawiła mnie szalenie i nie mogłem przestać się śmiać. Gosia powiedziała, że rozumie, że tak reaguję, chociaż mógłbym być bardziej wspierający i że nie chce na to patrzeć, i idzie sikać, a jak wróci, mam być smutny.

– Rozmawialiście po spotkaniu? – spytałem, gdy wróciła.

– Uciekłam do biura, ale przyszedł. Stał i patrzył. Powiedział, że myślał, że nic już do niego nie czuję, ale skoro jest inaczej, to zaprasza mnie na ślub.

– Na ślub? – zdziwiłem się.

– Tak. Na ślub. Pobiera się z tępą Marią.

– A co, w ciąży jest?

– Właśnie nie. Zapytałam. Kochają się. Jakie to wstrętne. Mogę zabrać przyjaciela, powiedział mi, bo Maria i tak chce zaprosić Justę.

– A tak, ponoć była u niej w szpitalu i nawet się lubią.

– To źle świadczy o twojej Juście.

– Przeciwnie, ona pochyła się nad każdym nieszczęściem – odpowiedziałem, co rozbawiło Gosię.

– Myślę, że pójdę, wiesz. Lubię takie historie. Wystroję się jak dziwka. Zabiorę Adama. Pogadam z Michałem i namówię go, by poszedł razem z nami.

– Ale ja się jeszcze nie zdecydowałem.

– Chodź. Justa będzie, ja będę. Przeszłość będzie. Warto czasami z czymś się mierzyć.

– Czasami nie warto.

– E tam – stwierdziła Gosia i otworzyła drugą butelkę wina.

Cały wieczór rozmawialiśmy o miłości, znowu. Jaka jest, jaka mogłaby być. Co oznacza. Gdy coś w życiu nie jest dostępne, często

zamienia się w obsesję, uznała Gosia, ponieważ my, ludzie, lubimy cele dalekie i nieosiągalne. Po drugiej butelce wina Gosia powiedziała, że nic nie wie o miłości, że jej nie umie, a bardzo chce, potem stwierdziła, że właśnie poczuła się zakochana w Adamie, zadzwoniła po niego i poprosiła, by po nią przyjechał, co nastąpiło po kilku minutach. Położyłem się spać.

W nocy obudził mnie śmiech pijanych, upalonych nastolatków, którzy długo rozprawiali pod moimi oknami o tym, czy lepsze są buty na rzepy czy sznurowane. Spór trwał ponad godzinę, pełen śmiechów i okrzyków. W pewnym momencie jakaś dziewczyna mówi: „O nie, coś mi w duszy gra, słuchajcie”, po czym puściła bardzo głośnego bąka, co wywołało wielominutową salwę śmiechu. Rozeszli się po chwili, zastanawiając się, gdzie naprawdę mieszka dusza, skoro jej nie ma.

W pracy Magu z pretensją w głosie zapytała, czy wycząłem, powiedziałem, że bardzo. Przekazała mi informację, że Krzak jest niezadowolona, bo program do wyszukiwania informacji nie został skończony, bo Nowy odszedł. Nie podał powodu, na odchodne cały uśmiechnięty skubał się po brodzie, kontynuowała Magu i dodała, że musiał dostać ofertę pracy u konkurencji. Gdy usiadłem do swojego komputera, znalazłem mejla od Łukasza. Napisał: „Będę pisarzem. Dziękuję za inspirację”. Uśmiechnąłem się pod nosem. Poranek spędziłem przy kawie i Internecie, dołączyłem na Facebooku do grupy „NIE dla myśliwych” i napisałem mejla do Mariusza. Wszedłem wcześniej, nie zrobiwszy nic konkretnego, pierwszy dzień po urlopie tak właśnie powinien wyglądać. Poszedłem po zakupy. Gdy stałem w kolejce do kasy, usłyszałem znajomy głos.

– O, Aureliusz, dzień dobry – rozpoznałem Agnieszkę, moją sześciotygodniową dziewczynę.

– Dzień dobry – odpowiedziałem i zauważyłem, że wcale nie jest tak ładna i wysoka, jak myślałem. Speszony płaciłem kartą za zakupy.

– Co słyhać? – spytała cała uśmiechnięta, flirtująca.

– Robię zakupy dla swojej dziewczyny – odpowiedziałem jej

spokojnie.

– Aha – rzekła i chciała coś jeszcze dodać, ale zamilkła, a ja poczułem się okrutnie zadowolony. I pomyślałem, że wystarczy przestać chcieć, by druga strona, która chciała mniej, zaczęła chcieć więcej.

Zastaję Justę w ogrodzie, przytulamy się na dzień dobry.

– Mam wielką ochotę na seks, nie mogę się opamiętać, wiesz? Wczoraj onanizowałam się dwa razy, myślałam o tobie, chciałabym cię wymłócić.

– Jak?

– Jak kombajn – odpowiada, co bardzo mnie bawi. – Po prostu musiałbyś leżeć, przywiązałabym ci ręce, zawiązała oczy i dosiadła, i nie wypuściła przez dwie doby, karmiła, poila i wykorzystywała.

– Twardnieję.

– Pokaż – mówi i łapie mnie za krocze. – Czy nie uważasz, że to oznaka zdrowienia, że obudził się we mnie spermojadek?

– Zdecydowanie, mam iść porozmawiać z twoją psychiatrą?

– Zamiast tego zadzwoń do mnie wieczorem i zsynchronizujmy nasze ręczne orgazmy, dobrze?

– Dobrze, tylko nie uśnij przedwcześnie.

– No właśnie, przytul mnie.

Przychodzi pani Mariola, wręczam jej *Wielkiej burzy prze rwę*, dziękuje za pamięć i obiecuje porozmawiać o książce, gdy ją przeczyta, nawet jeśli nie będę tego chciał. Mówię, że będę chciał i słyszę, że takiej odpowiedzi się spodziewała. Pytam Justę, o co chodzi ze ślubem Marii.

– Wiesz, ona jest szczęśliwa, a ja mam ochotę na szczęśliwych ludzi – mówi. – Idźmy na to wesele, będę miała przepustkę, a może już wyjdę, wystroimy się, zabawimy.

– Pogadam jeszcze z Michałem, jeśli nie będzie miał nic przeciwko, to dobrze, dobrze?

– Dobrze, mój ty Panie Dobrze.

Przytulałam ją mocno, prosi, bym odwiedził jutro jej ojca i później opowiedział o wizycie. Muszę się zbierać, by po dwutygodniowej przerwie pójść w końcu na swoją terapię.

Opowiedziałem pani Ewie o spotkaniu z ojcem, Ewelina, Mariuszem.

– Co pan czuje? – zapytała standardowo.

– Wciąż mi się pani podoba, ale po raz pierwszy wiem, że nie ma szans, by coś z tego było, czy to jest dla pani przykre?

– Nie jest, ale zwraca moją uwagę, że zadając to pytanie, martwi się pan o mnie, zarazem zastanawiam się, co się zmieniło w pana postrzeganiu naszej relacji.

– Kocham Justę i jest to miłość, jakiej nigdy nie miałem, trudna, ale w pewien sposób pierwotna.

– Pierwotna? – Sztuczka czasami polega na powtórzeniu ostatniego słowa, niekoniecznie całego zdania, pacjenci się na to łapią.

– Ona mówi o wszystkim, co myśli i czuje, przestraszało mnie to, a teraz buduje poczucie bezpieczeństwa, dzięki temu ja też odważam się nazywać rzeczy po imieniu.

– Również teraz odważył się pan powiedzieć o naszej relacji wprost, bez żartowania – to kolejna sprawa, którą terapeuci są zafascynowani: relacja, którą budują z pacjentem i do której powracają bardzo chętnie przy każdej nadarzającej się okazji.

– Chcę być wierny Justynie, również w myśleniu. Wydaje mi się, że zbliżyłem się z Ewelina do granicy lub ją przekroczyłem, ale to wystarczyło, bym wiedział, że nie chcę więcej tego robić, czyli nie

mam również ochoty na mój wymyślony, nierealny flirt z panią – gdy wypowiedziałem te słowa, nagle dodałem: – Chcę zakończyć terapię.

– Chce pan zakończyć terapię – parafraza. – Dlaczego? – Pytanie.

– Poczułem to dopiero teraz, bardzo silnie i mocno, nie planowałem tego, idąc na spotkanie.

– Co pan poczuł?

– Że jestem szczęśliwy w swoim życiu, że chcę się zatrzymać na tym, co mam, nie grzebać dalej.

– Ma pan prawo przerwać terapię w każdym momencie, ale ważne jest, żebyśmy domknęli sprawy, które mogłyby pana niepokoić, gdyby terapii już nie było, żebyśmy dokończyli niezamknięte tematy.

– Jakie tematy ma pani na myśli?

– Pańską złość.

Rozmawialiśmy zatem o złości, znowu miałem poczucie, że w taki sposób, który miałby ją u mnie wywołać, ale tak się nie stało. Umówiliśmy się, że za kilka tygodni przyjdę na jeszcze jedno spotkanie, by sprawdzić, czy podtrzymuję swoją decyzję o zakończeniu terapii i jeśli tak, to aby się pożegnać.

– Nie możemy sobie teraz powiedzieć do widzenia? – zapytałem.

– Nie uważa pan, że byłaby to ucieczka z relacji?

– Od razu ucieczka, no nie, znaczy się nie wiem, no może, w sumie tak, byłaby to ucieczka, dobrze – mimo plątaniny słów poczułem dumę, że potrafię się do tego przyznać.

– Świadome przeżycie rozstania i uczuć, które się z nim wiążą, jest ważne w procesie terapii, a zarazem może przełożyć się na inne relacje w pańskim życiu, w którym było dużo nagłych rozstań.

– Jakich uczuć?

– Czasami przy rozstaniu pojawia się smutek, nadzieja, ulga, złość, radość, rozczarowanie, będzie miejsce, abyśmy mogli porozmawiać o wszystkich emocjach, które się w panu pojawiają.

– No dobrze – zgodziłem się niechętnie, ale nie dlatego, że nie miała racji, a dlatego, że czułem, że może to być trudne.

Wyszedłem z terapii z poczuciem lekkości. Postanowiłem pójść do kina, sam, nie robiłem tego od studiów. W starym kinie Cleo puszczała właśnie retrospektywę Godarda, o dwudziestej pierwszej grali *Pochwałę miłości*. Wybrałem ten film, bo uwiódł mnie tytuł.

O umówionej godzinie zadzwoniłem do Justy.

– Jak to zrobimy? – zapytałem.

– Będziemy mówić o tym, co robimy i na co mamy ochotę.

– I wyobrażać sobie – dodałem.

– I wyobrażać sobie siebie, tak.

Słowa padały nieśpiesznie, ściszony głos, szybszy oddech, śmiech, a później zatrzymanie i wspólny orgazm. Ciekawsze od masturbacji, zdecydowanie mniej intensywne od seksu. Justa poprosiła, bym odprowadził ją do snu, była bardzo zmęczona i chciała słyszeć mój oddech, położyła głowę na telefonie przykrytym prześcieradłem. Po kilku minutach, gdy nie odpowiadała na moje szeptki, rozłączyłem się i wybiegłem, by zdążyć na film.

W kinie oprócz mnie były jeszcze trzy osoby, z filmu dowiedziałem się, że nie można myśleć o czymś, nie myśląc równocześnie o czymś innym. Co znaczyłoby tyle, że każdy most, na który patrzę, przypomina mi o innym moście, który widziałem. A każda miłość jest odbiciem poprzednich. Godard uważa, że czysta myśl nie

istnieje, że nie sposób myśleć tylko o TYM moście lub czuć tylko TĘ miłość. Możliwe, że się nie mylił.

Wracałem spacerem do domu, wzdłuż rzeki, później przez rynek i park z platanami, które rozsypały korę. Znalazłem nagranie na poczcie głosowej. Justa, zaczęła od tego, że dzwoni, ponieważ z pewnością chciałem ją usłyszeć. Słuchałem, jak się śmieje, opowiada o tym, jak wygląda jej papieros, którego pali, że stopy ma bose i siedzi tylko w koszuli nocnej, a cały szpital śpi, poza tymi, którzy krzyczą gdzieś daleko. Mówiła, że tęskni i byłaby najsmutniejsza, gdyby musiała tutaj siedzieć beze mnie, a tak ma mnie pod palcami, za uchem, pod powieką. Wymieniała przez kilka minut, gdzie jeszcze jestem, a byłem wszędzie. Chciałem pobiec do niej albo zadzwonić, ale na pewno już spała. Zaszedłem na stację benzynową, kupiłem kwiaty i paczkę papierosów. Postanowiłem pójść do szpitala i zostawić Juście niespodziankę na śniadanie. Miasto spało. Szpitalny portier nie chciał mnie wpuścić, powiedział, że to niemożliwe, że czas odwiedzin się skończył i dobranoc, proszę przyjść rano.

– To kwestia życia i śmierci – powiedziałem, ale może zbyt mało dramatycznie.

– Co za kwestia?

– Zakochałem się – wyznałem.

– A pan jesteś pacjent czy odwiedzasz? – on nie żartował, a ja śmiałem się w głos.

Rozmawialiśmy chwilę, powiedziałem, że nie ruszę się stąd do rana, w związku z czym on nie będzie mógł spać. Zgodził się zadzwonić na oddział i porozmawiać z pielęgniarką, która zdecyduje, co zrobić z moją niemożliwą, jak stwierdził, prośbą. Jakiś namolny człowiek przyszedł w odwiedziny, tak powiedział do

telefonu, poprosiłem, by dał mi słuchawkę, machnął ręką i się zgodził.

– Aureliusz Kic, dzień dobry, to bardzo ważne... tak, do Justyny... nie stało się nic, ale... nie, to może jej bardzo pomóc... to prezent po prostu jest, lekki, chcę, by rano się obudziła i go dostała... bardzo proszę... bardzo ważne... nigdy więcej, nie... proszę... nie wie, nie umawialiśmy, to ja... bardzo, bardzo proszę... dziękuję! Kocham panią!

Nie zostałem wpuszczony do środka, ale pielęgniarka zgodziła się przyjść i odebrać prezent. Na bilecie z kina napisałem „Kocham Cię”, podałem wszystko pielęgniarce. Pokręciła głową i lekko się uśmiechnęła.

– Wie pan, że każde szaleństwo może doprowadzić tutaj? – zapytała.

– Teraz już tak – śmiałem się – dziękuję.

– Jest za co, proszę – i poszła, widziałem jeszcze, że powąchała bukiet kwiatów.

Zakochani mają łatwiej. Nie dlatego, że świat im sprzyja, przeciwnie, albo zazdrości, albo ostentacyjnie pokazuje, jak bardzo jest znudzony szczęściem, jak mało jest ono twórcze, jakie nudne. Mają łatwiej, przez energię, która zamienia słowo „chciałbym” na „chcę”. Wracalem do domu i nuciłem *I'm ready for love*. Usnąłem szybko, z głową Dity na mojej dłoni. Ot, miłość.

34

Im dłużej nie pracuję, tym mniej chcę pracować – ta myśl mnie obudziła. Zniechęcony usiadłem do komputera, wykonałem kilka telefonów do redakcji i pośpiesznie napisałem artykuł.

Zadzwoiłem do Justy, bo chciałem zapytać, co zanieść jej ojcu, ale nie odebrała. Kupiłem dwa kilo moreli na rynku. W domu pomocy społecznej wyjaśniłem, że jestem z rodziny.

– Kim pan jest? – zapytał mnie ojciec Justy.

– Mam na imię Arek, jestem narzeczoną Justyny. – Nie wiedziałem, dlaczego tak powiedziałem, ale poczułem się bezpiecznie z jego brakiem pamięci.

– Co u mamy? – zapytał, a ja podałem mu morele. – To z działki, prawda?

– Ze straganu – wyjaśniłem. – Mama nie żyje – długo patrzył na mnie smutnymi oczyma, po czym zaczął wpatrywać się w telewizor.

– A tak, tak, pamiętam ten pogrzeb, bardzo padało.

– Justyna chciała sprawdzić, co u pana, jak się pan czuje, ale nie mogła przyjść, bo jest w szpitalu.

– A co się stało? – zapytał nagle z zainteresowaniem, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

– Stwierdzono u niej zaburzenie osobowości o nazwie borderline. To oznacza, że ma silne wahania nastroju, napady złości,

chroniczne uczucie pustki.

– To musi być trudne, nie bardzo rozumiem, czy mogę ją odwiedzić? – spytał, po czym dodał: – Moja biedna córeczka, po śmierci mamy stała się taka słaba i silna zarazem, nie byłem dobrym ojcem. – Miałem poczucie, że spotykam się z nim w tej krótkiej chwili. – Pan jest jej narzeczoną, tak? Tak pan mówił?

– Tak.

– Proszę być dla niej dobrym. – Zaczął jeść morelę. – Ja nie byłem, i ona nie jest dla siebie dobra.

– Uczy się teraz tego.

– A co u mamy? – spytał nagle innym głosem, czułem, że go tracę.

– Umarła.

– A tak, tak, pamiętam ten pogrzeb.

Rozmawialiśmy przez chwilę, ale każdy rozpoczęty temat porzucał, co chwilę zadawał pytania, na które otrzymał już wcześniej odpowiedzi. Zrobiło mi się smutno, bo miałem poczucie, że jest jeszcze bardziej martwy od mojej mamy i babki. Wyszedłem z pragnieniem, by nie wracać tu zbyt często, i chęcią odwiedzenia w najbliższych dniach cmentarza.

W szpitalu spotykam Niezłą Kotkę, podchodzi do mnie szybko i pyta, czy jestem silny, czy bardzo silny, kiwam głową, na co ona, że to dobrze, bo źle się dzieje, oj źle, ale tutaj czasami źle się dzieje i nie powinienem krzyczeć ani uciekać, ani płakać, tylko przytulać albo coś mówić. Co się stało, pytam ją, ona mówi, że źle się dzieje i łapie mnie za rękaw koszuli, i prowadzi do pokoju Justy, która leży na łóżku z zamkniętymi oczyma.

– Co się dzieje, kochanie? – pytam, a Justa patrzy mi w oczy smutnym wzrokiem i nic nie mówi, zaczyna płakać.

Siadam na łóżku i łapię ją za rękę, która leży w mojej zupełnie bez siły. Niezła Kotka stoi w drzwiach i patrzy na nas, gdy spoglądam na nią, kiwa głową, potwierdzając tym ruchem moją obecność tutaj. Odwracam się do Justy, mówi, że chce usiąść i prosi, by jej pomóc, opiera się na mnie, kładzie głowę na ramieniu i płacze. Chwyta mnie za rękę i przez chwilę ją przytrzymuje. Boję się.

– Byłem u twojego taty – mówię – przez chwilę złapał ze mną kontakt i powiedział, żebym był dla ciebie dobry. – Justa patrzy na mnie.

– Jak do ciebie zadzwoniłam, nie mogłam usnąć, położyłam się, ale zaczęły mnie atakować myśli, że jestem tu sama, a tam jest prawdziwe życie, pewnie ciekawsze dla ciebie, zaczęłam myśleć o mamie, że jej nie ma, że dziś jest rocznica jej śmierci, a ja nie mogę być na grobie tak jak co roku, i pomyślałam – przerywa i płacze, przytulam ją, zmęczona opiera się o poduszkę i mówi dalej – pomyślałam, że to źle i że chcę do niej, nie myślałam o śmierci, to nie to. Miałaś wyłączony telefon, zostawiłam wiadomość. Poszłam zapalić, potem zrobiłam sobie herbatę. W łazience rozbiłam kubek i zrobiłam to – podnosi koszulę i widzę bandaże i plastry na jej brzuchu, patrzę przestraszony, Justa zrywa plaster.

– Nie odrywaj, nie trzeba – mówię. Ale ona zrywa bandaże, bo chce mi pokazać, wycięła okrąg wokół pępka, pocięła sobie cały brzuch drobnymi czerwonymi liniami. Patrzę jej w oczy, a ona patrzy na mnie, boi się. – Przejdziemy przez to, nie wiedziałem o tej rocznicy, nic nie mówiłaś, nie wiem, dlaczego to... – urywam zdanie w połowie, bo nie wiem, co powiedzieć, boję się, chciałbym ją wziąć na ręce i zabrać z tego miejsca, ukryć przed nią samą.

– Nie chciałam się zabić, wiesz? – pyta, a gdy nie reaguję, mówi

dalej: – Ale te wszystkie myśli mnie dobijały, musiałam coś zrobić, nie chciałam się zabić, to nie to, zwyczajnie jak boli pocięta skóra, to w środku boli mniej, nie bój się.

– Nie boję – mówię.

– Boisz.

– Nie chcę, żebyś robiła sobie krzywdę.

– Ja też nie chcę, to było takie automatyczne, żałosne, co?

– Nie żałosne, smutne.

– Smutne – mówi i uśmiecha się – przepraszam, chciałam narysować serce.

– Serce?

– Dla mamy serce.

– Wokół pępka?

– Wokół pępka – mówi i płacze, przyciska rękę do bandażu na brzuchu, które robią się coraz bardziej czerwone, zabieram jej rękę, trzymam w dłoniach, oddycha powoli i płacze powoli.

Zostaję przy łóżku, dopóki nie zaśnie. Idę zapytać pielęgniarkę, czy mogę porozmawiać z psychiatrą, mam poczekać. Siedzę zmęczony na fotelu, dzwonię do naczelniej i proszę o dodatkowe trzy dni urlopu. Zgadza się pod warunkiem, że w razie czego będę dostępny pod telefonem. W razie czego, pytam, w razie czego, Aureliusz Kic, odpowiada, więc się zgadzam. Obserwuję pacjentki, które przechodzą obok mnie. Czekaając na rozmowę z psychiatrą, analizuję, jakie zadać jej pytania, co powiedzieć, nagle dociera do mnie, że zaczynam się zastanawiać, jak wypadnę i czy jeśli rozpozna we mnie jakąś chorobę, da mi skierowanie do szpitala. Po pewnym czasie sympatyczna starsza kobieta w białym fartuchu zaprasza mnie do pokoju. Siada za biurkiem, wskazując mi krzesło. Pytam, czy może mi coś podpowiedzieć, co mogę zrobić, żeby pomóc

Juście. Pana obecność jest ważna, mówi, świetnie, że pan tak często przychodzi, proszę przychodzić, ale nie okłamywać rzeczywistości, nie składać obietnic, których nie da się dotrzymać, nie pocieszać, ale również nie pogrążyć się w smutku, uznawać go, towarzyszyć, ale nie pozwalać na niego, to znaczy nie zachęcać.

– Nie rozumiem – mówię.

– Proszę wspierać zdrową część Justy, a nie chorą, tę, która jest smutna, destrukcyjna, ale i bardzo egocentryczna. Ma pan prawo od niej wymagać tego wszystkiego, czego pan potrzebuje.

– Czyli czego? – pytam zupełnie zagubiony.

– Uwagi, zainteresowania, pamięci, dotyku – uśmiecha się i dodaje: – Pan przecież wie najlepiej. Prawdziwa siła nie polega na byciu oparciem przez cały czas, ale na tym, by pomóc tej drugiej osobie znaleźć oparcie w samej sobie.

– Jak to zrobić? – Czuję się jak czterolatek, który nic nie wie o świecie dorosłych i ma ochotę dotknąć rozgrzanego piekarnika.

– Panie mężczyzno – uśmiecha się tym razem jak zmęczona nauczycielka do prymusa z pierwszej ławki, który chociaż irytuje, da się lubić. – Najczęstszy błąd, jaki popełniają bliscy chorych, to chronienie ich przed swoimi emocjami, myślami, oczekiwaniami. A to tylko wzmacnia w nich postawę roszczeniową, ich przekonanie, że tylko oni cierpią, że ich problemy są najważniejsze. Proszę pamiętać, że ma pan prawo oczekiwać tego wszystkiego, czego zechce, od Justy, nawet jeśli ona nie potrafi czy nie może tego panu dać. Ale proszę o tym głośno mówić, wtedy daje jej pan szansę zmierzyć się nie tylko ze sobą, swoją chorobą. Szpital nie może być wymówką, usprawiedliwieniem każdego wybryku, a już z pewnością nie może być wymówką dla pana, proszę przy niej przeżywać, nie chronić przed uczuciami, również tymi trudnymi.

– Przeżywać – powtarzam. – A co z nią teraz będzie?

– Będziemy obserwować, zostanie na półotwartym. To nie była próba samobójcza, lecz okaleczenie. Nie wolno jej natomiast samej wychodzić do ogrodu i nocą do palarni. Zwiększymy nadzór, dostała silne leki na uspokojenie i teraz będzie spała.

– Dziękuję.

– Proszę – odwraca się do komputera, po czym ponownie zwraca się do mnie: – Justyna ma chęć życia, nie mówię, że będzie łatwo, ale to nie jest jej dom.

– Dziękuję.

– Już proszę przestać dziękować, wolę biżuterię – uśmiecha się do mnie i wraca do pracy.

Wychodzę przed budynek szpitala i myślę, że chciałbym na tydzień położyć się na którymś łóżku w oknie z kratami. Nic nie musieć, czekać na odwiedziny, przekroczyć kilka granic z tym poczuciem, że za ścianą obok jest ktoś, kto mnie uratuje. Siadam na chodniku i czuję, że w tym momencie nigdzie nie mogę pójść, mogę tylko siedzieć na chodniku. Nie mam siły. Żadnej nawet namiastki siły. Ktoś podchodzi i siada obok, Niezła Kotka. Patrzy na mnie, siada bliżej i kładzie mi rękę na ramieniu. Podaje mi kubek z kawą, biorę łyka, jest zimna, gorzka i bardzo mocna. Czy zapalę papierosa, pyta, mówię, że tak. Zapala dwa i podaje mi jednego. Wszyscy palący byli karmieni złą pierśią i wciąż są nienajedzeni, i dlatego palą, ja to wiem, bo sama palę, tak mówi. Patrzę na nią i nie rozumiem, ale nie mam ochoty reagować. Widzisz, ja będę paliła zawsze, a ty rzucisz. Jesteś tutaj, bo musisz tu być, mówi ona, mógłbyś przecież teraz być wszędzie, ale jesteś tutaj, to znaczy, że musisz tutaj być, albo jesteś chory. Czy jesteś chory, pyta mnie, nie wiem, odpowiadam. Nie szkodzi, możesz nie wiedzieć, ja wiem,

kochasz Justę, siebie kochasz, mnie nie kochasz, możesz być wszędzie, po co tu jesteś, idź, jeśli musisz. Podaje mi jeszcze kawę i mówi, żebym się napił kawy, bo dobrze łączy się z papierosem, chociaż zupełnie ma inny kolor niż mleko naszych matek, ale tak już jest. Siedzimy obok siebie w milczeniu, czuję kwaśny smak kawy w ustach. Dziękuję, mówię do niej, a ona na to, że nie wie, za co dziękuję, ale jeśli chcę, to znaczy, że muszę podziękować i ona bardzo prosi, że nieczęsto ktoś dziękuje wariatom, a dobrze to usłyszeć, tym bardziej, jak się jest w zakładzie. Dobrze usłyszeć dziękuję, mówi i macha do mnie, gdy odchodzę. Myślę o tym, co by się stało, gdybym już nigdy tutaj nie wrócił.

Poszedłem ze szpitala prosto na cmentarz. Nie wiedziałem, dlaczego właśnie teraz, ale czułem, że chcę zobaczyć, czy moja mama i babka faktycznie tam są, czy przeczytam ich imiona na nagrobku i co poczuję, gdy je przeczytam. Pierwszy raz nie kupiłem kwiatów ani zniczy, poszedłem z samym sobą. Minąłem tłum ludzi stojący nad świeżo rozkopaną ziemią. Triumf śmierci. Długo przyglądałem się zebranym nad trumną, zawsze interesował mnie ten spektakl. Nad samym grobem stali najbliżsi, przytrzymywani przez innych, dotykani. Trochę dalej – grupa dalszych znajomych, większość z miną tą samą, poważną, nie smutną. Najdalej matki z dziećmi, młodzież szepcząca sobie coś na ucho i pojedyncze osoby. Wśród nich prawie zawsze znajduje się jedna lub dwie najbardziej samotne, najbardziej smutne. Widać to po ich twarzy. Cierpią i chcą to cierpienie ukryć, nie mają prawa lub nie dali sobie prawa, by być blisko. Podobnie musiało być za życia, może kochali w ukryciu, może zostali odrzuceni, ale nie potrafili odejść, tak naprawdę odejść. Najbardziej poruszają mnie właśnie oni.

Znalazłem się przy grobach. Po mojej prawej stronie usiadła matka, spojrzała na mnie bez uśmiechu, spuściła głowę i zapatrzyła się w ziemię. Powiedziałem dzień dobry i zapytałem, jak się czuje. Pokręciła tylko głową, rozpięła bluzkę i wyciągnęła swoją pierś. Po lewej stronie stanęła moja babka i stwierdziła, żebym jadł, bo jestem mimo wszystko szczeniakiem, który wciąż pisze nędzne wypracowania. Jak tak dalej pójdzie, zmienisz się w swego ojca, ostrzegła i dodała, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. No jedz, krzyknęła. Odwróciłem się do mojej matki i zauważyłem, że jej pierś zrobiła się szara, marmurowa jak nagrobek. Jak mam jeść z zimnej piersi, spytałem babkę. Ależ ty jesteś głupi, odpowiedziała i odeszła. Matka wsiąknęła w trawę, a ja poczułem, że muszę zrobić kupę. To nagłe odczucie wręcz mnie sparaliżowało, było bardzo silne. Wstałem, by pójść na przystanek, ale poczułem, że w obecnym stanie podróż ta zakończyłaby się katastrofą. Rozglądnąłem się wokół siebie, poczekałem, aż minie mnie jakaś starsza para. Kucnąłem za nagrobkiem mamy i babki, ściągnąłem spodnie i zrobiłem najdłuższą kupę w swoim życiu. Nie znalazłem chusteczek higienicznych, ściągnąłem więc koszulkę, a na ciało założyłem bluzę. Podtarłem się białym, bawełnianym T-shirtem i śmiałem pod nosem. Nie mogłem się opamiętać i śmiałem się coraz głośniej i głośniej. Zauważyłem, że przygląda mi się jakieś dziecko, do którego podeszła mama, złapała je za rękę, popatrzyła na mnie i otworzyła szeroko buzię. Stali tak przez chwilę, w tym czasie rzuciłem obok siebie koszulkę, podciągnąłem spodnie.

– Musiałem, naprawdę musiałem – wytłumaczyłem się uśmiechnięty, a kobieta pośpiesznie się odwróciła i pociągnęła za sobą dziecko, które rozbawione patrzyło cały czas na mnie.

– Też tak chcę – powiedziało do mamy.

– Nie wolno, ten pan źle się czuje – stwierdziła ona.

– Nieprawda! – krzyknąłem za odchodzącymi. – Czuję się świetnie!

Dziecko śmiało się coraz głośniej, ja również, przerażona matka przyśpieszyła kroku. Moja babka by powiedziała, że to koniec świata, ale myślę, że to gówno prawda. Początek, jeśli już. W drodze do domu nie mogłem przestać się śmiać, miałem przed oczami rozbawioną twarz dzieciaka oraz świadomość, że idę do domu umyć tyłek, podtarty koszulką. Zadzwoiłem do Michała i opowiedziałem mu, co zrobiłem.

– To jakaś terapeutyczna akcja? – zapytał zdziwiony.

– Nie, no co ty.

– Po prostu srać ci się chciało, tak? Za grobem mamy i babki?

– Dokładnie, nie wyobrażasz sobie tego ciśnienia.

– I zostaw mnie z tym brakiem wyobraźni. Weronika jest na szkoleniu, przyjdź do garażu wieczorem, Gosia też będzie.

– Jakaś okazja?

– Zobaczysz – dodał.

– Dobrze.

W domu kąpałem się prawie godzinę, starannie myłem gąbką każdy kawałek ciała, przyglądałem się sobie, zainteresowany. Potem zadzwoniłem do Justy. Stwierdziła, że gorzej już nie będzie i to ją pociesza, bo wie, że nie zrobi sobie nic złego, nic gorszego. Gdybym umarła rok temu, nie poznałabym ciebie, powiedziała, a skoro w moim życiu zdarzają się tacy ludzie, takie historie, to chociaż nie wiem, co się wydarzy w przyszłości, to chcę wpływać na tę przyszłość, dodała sennie. Będzie tak, jak chcesz, skomentowałem i opowiedziałem jej, jak załatwiłem się na cmentarzu. Była zachwycona tą historią i głośno się śmiała. Na

końcu wyszeptała mi, że czuje, że wyjdzie ze szpitala, jak zagoją jej się blizny na brzuchu.

Wracała do mnie siła. Włączyłem sobie Queenów i głośno krzychałem *I want to break free!* Dita wydała się zgorzozona i weszła do pralki, wrzuciłem za nią ręcznik, miauczała obrażona. Próbowałem się z nią bawić, ale boleśnie podrapała mnie w rękę, w związku z czym ostrzegłem ją, że zaraz włączę wirowanie. Dita zamknęła oczy i najwyraźniej szykowała się do snu. Jak czegoś nie przestawisz w swojej osobowości, skończysz jako stara panna, wyznałem jej, wracając do pokoju i tańcząc w rytmie *Radio Gaga*.

Po drodze do Michała spotkałem Gosię, opowiedziałem jej o akcji na cmentarzu – miałem ochotę wykrzyknąć to całemu światu.

– Jestem z ciebie dumna – stwierdziła bez przekonania – ale nie opowiadaj tego na terapii.

– Kończę terapię.

– Dlaczego?

– Bo jestem szczęśliwy.

– Dlaczego?

– Bo jestem zakochany, bo mam ciebie, Michała, Siostkę, bo potrafiłem się wysrać za grobem mamy.

– Myślę, że to jest akurat powód, abyś terapię kontynuował. Jakąś długoterminową.

– Przeciwnie – śmiałem się – chcesz, żebym gdzieś zrobił jakąś widowiskową kupę?

– Może w garażu u Michała. Ale jeśli mam czas, to jeszcze to przemyślę – wyjaśniła Gosia z ogromnym spokojem.

– Dobrze.

Michał cały podekscytowany czekał na nas przed garażem. Gdy do

niego podeszliśmy, zapytał, czy jesteśmy gotowi. Ja zapewniłem, że tak, Gosia stwierdziła, że nie i nigdy nie będzie. Michał otworzył drzwi od garażu.

– Samochód – zauważyła Gosia.

– Tak, kurwa, tak! – krzyczał Michał.

– Twój? – zapytałem.

– Mój!

– Gratuluję – skomentowała Gosia. – Dużo kosztował?

– Nie o to chodzi – wyjaśniłem – to samochód.

– Tak! – Michał cały czas krzyczał.

– A! Zrozumiałam. Nie motocykl!

– Nie motocykl!

– Nie krzycz, kochany – powiedziała Gosia i pocałowała go w policzek.

Michał był bardzo szczęśliwy, opowiedział o tym, że Weronika pomogła mu wybrać samochód, że nigdy o nikim nie myślał poważniej. A przynajmniej od lat, od Miłości, i dodał, że to może być miłość, że bardzo tego chce i ona też, i że, kurwa, będzie się starał. A mimo wszystko dlaczego samochód, dopytałem. Bo ma cztery koła, odpowiedziała Gosia, tak stabilniej. I więcej przestrzeni, dodał Michał, i można się w nim kochać. Opowiedziałem im jeszcze raz o mojej wizycie na cmentarzu, nie bardzo chcieli słuchać, mimo wszystko opowiedziałem z najdrobniejszymi detalami. Gdy skończyłem, miałem potrzebę streścić im wszystko jeszcze raz, od samego początku, ale nie zgodzili się. Gosia spytała Michała, czy pójdzie na ślub Marii i Adama.

– A na wesele też jesteście zaproszeni?

– Justyna jest, więc i ja – uznałem.

– Ja również, zabiorę Adama, wydam całą pensję na ciuchy

i fryzjera – stwierdziła Gosia.

– To ci, Gosia, nie pomoże, daj na Dymną – radził Michał.

– Na siebie dam. Będę boginią.

– Ty idziesz dla Justyny, Adam dla Gośki, mnie nikt nie zapraszał – powiedział Michał.

– Ty – rzekła Gosia – pójdziesz dla nas.

– Bez zaproszenia? – spytał Michał.

– O proszę, a to nagle jest problem – bardziej stwierdziła, niż zapytała Gosia. – Bo masz auto? Bo czujesz się lepszy? Ustawiony w związku? Bo nie chędożysz jak ordynarna dziwka, którą koniec końców jesteś?

Michał przewrócił ją na trawę i śmiejąc się, zagroził, że wyleje jej piwo na włosy, jeśli wszystkiego nie odszczeka. Gosia, leżąc przygnieciona przez Michała, wszystko odszczekała. Jednak gdy stanęła na własnych nogach, uznała, że to, co zrobił, tylko potwierdza, jak bardzo ordynarną dziwkę w sobie hoduje. Ganiłi się przez chwilę, a ja wyobrażałem sobie, że pracuję w zoo. W końcu Michał powiedział, że jeśli Weronika się zgodzi, to pójda z nami, przekonała go darmowa zabawa, jedzenie oraz nasze towarzystwo. Będziemy ładnie ubrani, w tłumie kulturalnych ludzi, więc Weronika nie powinna się nas przestraszyć, wyjaśnił Michał. Gosia dodała, że tylko ordynarne dziwki wstydzą się swoich przyjaciół. Wieczór już do samego końca był bardzo przyjemny.

35

Kolejne dni były podobne. Wstawałem wcześnie, tak jak lubię, piłem kawę, pracowałem. Po południu gotowałem coś dla siebie i Justy i kilka godzin prawie każdego dnia spędzałem w szpitalu. I chociaż wciąż czułem się tam swobodnie, to miałem poczucie tymczasowości. Dwa razy zdarzyło nam się pośpiesznie kochać podczas spaceru w ogrodzie. Raz był to stosunek przerywany nie na nasze życzenie, za drugim razem okazało się, że Niezła Kotka obserwowała nas bardzo uważnie. Gdy skończyliśmy, zaczęła bić brawo. Tak nie wolno, powiedziała do niej Justa, na co Niezła Kotka cała uśmiechnięta stwierdziła, że wolno, a jeśli nie wolno, to nie ma to sensu, bo ładnie nam szło i wcale nie udawaliśmy, tylko szybko dosyć, albo może tak miało być, dodała i zapytała, czy następnym razem też będzie mogła popatrzeć. Powiedziałem jej, że w żadnym wypadku, na co ona, że nie jest tego wcale taka pewna i bardzo uśmiechnięta chciała odejść opowiedzieć wszystkim pacjentkom, co widziała. Justa zatrzymała ją obietnicą paczki papierosów, którą dostanie, jak nie rozgada. Niezła Kotka cała szczęśliwa wyznała, że to bardzo świetnie, że poprosi, ale nie może obiecać, że nie rozgada, bo Justa ją zna przecież.

Gdy wybrałem się do Siostry oddać jej klucze, zauważyłem, że po powrocie z urlopu jest nie tylko bardzo opalona, ale też intrygująco

szczęśliwa.

- Jesteś w ciąży! – stwierdziłem.
- Skąd wiesz?
- Jesteś jakaś taka pełna.
- Gruba?
- Pełna w oczach, na twarzy. Metaforycznie pełna, szczęśliwa?
- Szczęśliwa i w ciąży – przytulamy się bardzo długo, delikatnie.
- Gratuluję!

Michał spotykał się cały czas Weroniką i z każdym dniem coraz bardziej się w niej zakochiwał, ale miałem milczeć, gdy o tym z nim rozmawiałem. Ostatecznie na koncert The Cinematic Gosia pojechała sama z Adamem. Na miejscu całowała się z obłądnym, łysym i niepokojąco młodym gitarzystą, do niczego więcej jednak nie doszło, ale to może lepiej, zwierzyła się Gosia. Może lepiej. Ze względu na Adama, którego być może niebawem pokocham, tak powiedziała. Mijały kolejne dni, Justa regularnie chodziła na terapię grupową, muzykoterapię, gimnastykę i spotkania z psychiatrą. Każdego dnia połykała wybraną dla niej, optymalną dawkę leków. Czasami płakała, czasami mówiła „Ha”, ale coraz więcej w niej było spokoju i spokoju między nami.

– Staję się nudną krową, prawda? – zapytała mnie pewnego razu.

– Oj, bardzo – odpowiedziałem.

– Arek, ja nie żartuję, naprawdę, czuję to, robię się coraz bardziej opanowana, poukładana, przewidywalna.

– A wiesz, że to jest bardzo miła odmiana?

– Ale ty zakochałeś się w szalonej Juście, która teraz marzy o tym, by włożyć wieczorową suknię i iść na wesele, a takimi imprezami zawsze pogardzałam.

– Chętnie zobaczę, jak się żyje ze spokojną Justą, jak to jest nie martwić się, nie niepokoić, jak to jest, gdy wraca się z pracy, je obiad, kocha, ogląda wieczorem film i idzie spać przed północą.

– Chyba boję się po prostu, że tak jak zawsze do tej pory znudzę się tym spokojem i odstawię leki, z tęsknoty za euforią, za manią.

– Ja będę twoją manią.

– Ha!

Mój ojciec nie odezwał się do mnie słowem, tak jak nigdy się nie odzywał. A ja po raz pierwszy przestałem czekać na to, by uratował mnie ktoś, kogo nie ma. Pani Ewa uznała, że ten temat nie jest przepracowany, użyła takiego słowa, przepracowany. Ale nie miałem ochoty go przepracowywać, a jeszcze bardziej nie wiedziałem, czy ma rację. Przyszedł w końcu dzień ostatniej terapii, w nocy co chwilę się budziłem i śniły mi się gadające psy. Wyszedłem dużo wcześniej, bo chciałem coś kupić pani Ewie, kwiaty wydały mi się pretensjonalne, podobnie czekoladki, na żadną książkę nie mogłem się zdecydować. Kupiłem płytę Keitha Jarretta, koncert z Paryża z 1988 roku, bo to zawsze jest dobry wybór. Zapytałem, czy wolno jej przyjąć prezent.

– Wolno – odpowiedziała – ale zastawiam się, co to dla pana oznacza, że chce mi pan dać prezent?

– A dla pani? – Pozwoliłem sobie odbić piłeczkę, bo to było nasze ostatnie spotkanie.

– Ucieszyłam się – uśmiechnęła się, chwilę milczała i kontynuowała: – Zrobiło mi się bardzo miło, a potem zaczęłam się zastanawiać, co oznacza ten podarunek.

– Bo pani jest tu w pracy – skomentowałem, a ona z uśmiechem kiwnęła głową i gdy tak na nią patrzyłem, poczułem, że ją lubię i że nie ma w tej sympatii jak zazwyczaj podziwu i lęku – chciałem

w ten sposób podziękować.

– A co pan czuje? – Są rzeczy niezmiennie.

– Będzie mi brakowało tego pytania – uśmiechnąłem się – czuję trochę smutku, że to koniec, ale cieszę się, bo chcę spróbować, jak się żyje bez tych spotkań, tylko ja i moja głowa, i Justa, przyjaciele, praca. Mam życie.

– Ma pan życie – powtórzyła ona i dodała: – Zachęcam pana, by pytanie o emocje zadawał pan sobie czasami sam.

Przez chwilę miałem ochotę podbiec i ją uścisnąć. Ostatni raz zdecydowałem się poruszyć temat naszej relacji.

– Jestem szczęśliwie zakochany, ale chcę zapytać, czy zupełnie szczerze uważa pani, że nie było żadnych szans, by między nami, na początku naszej znajomości, coś się wydarzyło?

– Zna pan odpowiedź na to pytanie – odparła ona z uśmiechem, więc przez bardzo krótką chwilę pomyślałem, że może w ten sposób puściła do mnie jednak swe terapeutyczne oko.

Rozmawialiśmy o tym, co dalej, o korzyściach z terapii, planach na najbliższy rok. Jeśli zechcę, mogę w każdej chwili wrócić na terapię, wyjaśniła pani Ewa i dodała, że gdybym podjął taką decyzję, powinienem odczekać trzy miesiące od teraz, bo czas zazwyczaj najskuteczniej weryfikuje pośpieszne decyzje. Nie planowałem powrotu, ale świadomość, że mam taką możliwość, uspokajała mnie. Podałem jej na koniec rękę, popatrzyłem w oczy, uśmiechnąłem się ze spokojem.

– Do widzenia, pani Ewo.

– Do widzenia, panie Arku.

I po terapii. Wyszedłem bardzo spokojny i... gotowy. Przedłużyłem sobie urlop o kolejne dwa tygodnie, na co naczelna wyraziła niechętną zgodę i zapytała, czy mam świadomość, że jak

wszyscy pojedą na wakacje, to ja nie dostanę wolnego. Miałem świadomość, wszak nie wiadomo, jak będzie, odpowiedziałem jej, akcentując słowo „wszak”. Magu zapytała mnie, co kombinuję, odparłem, że nic, że bardzo mi dobrze i chcę to zatrzymać. Spytała, czy dalej jestem z tą całą Justą, odpowiedziałem jej, że tak, zapytała, czy coś jeszcze chcę, bo musi wracać do pracy i nie ma czasu na czcze pogaduszki. Nic nie chciałem.

Justa wyszła na weekendową przepustkę. W małej tekturowej kopercie, którą sama zrobiła podczas zajęć plastycznych, otrzymała zestaw leków na każdy dzień. Przepustka miała być próbą tego, jak poradzi sobie z rzeczywistością, jeśli wszystko pójdzie dobrze, niebawem wyjdzie na dobre, taką informację dostała od swojej psychiatry. Przez pierwsze dwa dni praktycznie nie wychodziliśmy z łóżka, ewentualnie po jedzenie, do toalety lub nakarmić Ditę. W niedzielę wybraliśmy się do najlepszej restauracji w mieście, stolik zarezerwowałem wiele dni wcześniej. Ubraliśmy się elegancko, Justa pomalowała sobie usta na mój ulubiony krwisty kolor i poszliśmy zjeść wykwintną kolację.

– Nie mogę patrzeć na te wszystkie sztuczne gęby i słuchać tych sztywnych rozmów – wyrzuciła z siebie, rozglądając się po sali, w której siedzieliśmy.

– Mogłem cię zabrać do budki z kebabem – odparłem, za co rzuciła we mnie wykałaczką.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie wiem, w szpitalu jest niby bardziej prawdziwie? – dopytałem.

– Na początku myślałam, że tak, ale tam po prostu łatwiej mówić, łatwiej przeżywać, ale jesteś na smyczy, karmiony, doglądany, faszzerowany, wtedy łatwo.

– Co łatwo?

– Zachwycić się – zamyśliła się na chwilę – podnieca mnie ból, zagłębianie się w sobie, to szarpanie właśnie, ale od kiedy jesteś, my jesteśmy, czuję się podniecona również rzeczywistością, równie mocno, lub mocniej – mówiła jakby zawstydzona tym wyzwaniem i po chwili dodała: – Patrz na mnie i słuchaj.

Połykała powietrze, w pewnej chwili chwyciła się za brzuch i zaczęła go masować, kręciłem nerwowo głową i wysyłałem jej błagalne spojrzenia. Dookoła nas siedzieli ludzie w strojach wieczorowych, w większości pary. Nagle bardzo głośno beknęła, po czym z dumą rozejrzała się po sali, łowiąc spojrzenia pozostałych gości. Większość udawała, że nie usłyszała, niektórzy spoglądali na nią i albo odwracali pośpiesznie wzrok, albo reagowali sztucznym uśmiechem w odpowiedzi na zadowoloną twarz mojej dziewczyny, która wytrzymała każde spojrzenie. Ja patrzyłem na Justę zawstydzony i zachwycony zarazem.

– Widzisz, nikt tego nie zauważył, chociaż każdy słyszał, myślę, że gdybym się tutaj wyrzygała, po prostu włączyliby głośniejszą muzykę i z uśmiechem zapalili świeczki zapachowe.

– Niezła Kotka byłaby z ciebie dumna – mówię.

– Ha! Pewnie próbowałaby mnie przebić.

Rozmawialiśmy o normach, o tym, kto je ustanawia, jak bezpiecznie odnaleźć się w już skonstruowanym świecie, tak by mu nie ulec. Mieliśmy kilka pomysłów. Po zjedzonej kolacji, gdy byliśmy w drodze do wyjścia, Justa odwróciła się w kierunku sali.

– Proszę Państwa! – krzyknęła. – Dziękuję za wspaniałą wieczór!
– Ukłoniła się nisko, podniosła głowę, wszyscy na nią patrzyli w milczeniu. Justa ponownie beknęła, klasnęła kilka razy w dłonie powtarzając brawo, brawo, brawo, i wyszła. Wybiegłem

z restauracji i czekałem na nią na zewnątrz. Wyszła bardzo zadowolona, uśmiechnęła się, dygnęła i powiedziała: – Poradzę sobie tu na zewnątrz, ze światem sobie poradzę, czuję to bardzo mocno.

- Gorzej ze światem – stwierdziłem.
- Gorzej.

Po powrocie do domu długo się przytulaliśmy, w pewnym momencie Justa zaczęła płakać. Stwierdziła, że nie chce wracać, i zaproponowała, żebyśmy uciekli gdzieś razem. Bawiliśmy się tą wizją, wymyślaliśmy miejsca, do których moglibyśmy pojechać. Ostatecznie nie mogliśmy się zdecydować, czy będzie to Ameryka Południowa czy Australia, więc nigdzie nie uciekliśmy i zasnęliśmy. Następnego dnia z samego rana odprowadziłem ją do szpitala.

– Kiedy przyjdiesz? – pyta.

- Myślę, że pojutrze – odpowiadam – Krzak prosiła o jakiś tekst.
- Na urlopie?! – Justa prawie krzyczy.
- Tak się umówiliśmy, że dostaję wolne pod warunkiem, że jak będę potrzebny, to da mi znać.
- I jesteś jej potrzebny, swojej pani naczelnej?
- Justa, przecież...
- Co Justa? – przerywa mi i dalej krzyczy. – Ja cię potrzebuję! Jestem w szpitalu, Arek!

Patrzę na nią, jak się złości, jak siada na łóżku, opuszcza głowę i wiem, że za chwilę zacznę płakać. Ból w szczękach staje się nieznośny, zdaję sobie sprawę z tego, że powinienem ją przytulić, pocałować, a wszystko byłoby dobrze. Mam ochotę uciec albo ją uderzyć, wyobrażam sobie, jak zakrywam jej usta dłonią i rzucam

na łóżko. Nagle przypomina mi się to, co mówiła psychiatra, widzę jej twarz oraz pani Ewy i mojej Siostry, które patrzą na mnie wyczekująco.

– O nie! – krzyczę. Justa patrzy na mnie zdziwiona. – Nie będziesz teraz płakała, jestem wykończony, wiesz?

– O co ci chodzi? – wstaje i również mówi podniesionym głosem.

– Nie przerywaj mi. Spędziliśmy cudowny weekend i tak, teraz się rozstajemy, ale nie tylko ty zostajesz sama, ja, kurwa, też! Nie tylko ja jestem tobie potrzebny, też tutaj jestem, a ty jesteś za mnie odpowiedzialna!

Justa nic nie mówi, patrzy na mnie, słucha. Siada na łóżku. Chodzę po pokoju i rozcieram dłonią szczękę.

– Jesteś za mnie odpowiedzialna – kontynuuję i czuję, że zaczyna mi się łamać głos, ale udaje mi się nad nim zapanować. – Tak jak ja za ciebie, tak ty za mnie. Przestraszyłaś mnie, Justa, kurewsko mnie przestraszyłaś, tak się nie robi, gdy się kocha, tak się nie robi!

– Jak? – pyta ona cichym głosem.

– Pocięłaś sobie brzuch, odrywałaś bandaż, abym na pewno to zobaczył, chociaż mówiłem ci, że nie chcę. Przestraszyłaś mnie, siedziałem pod tym jebanym szpitalem i płakałem. Wiesz, ile razy płakałem przez ciebie?

– Nie wiem – odpowiada ona i widzę, że jej oczy stają się coraz większe.

– Nie wolno tak robić, nie wolno mnie straszyć, jesteśmy przecież razem.

– Nie kochasz mnie?

– Jezu, Justa! Kocham cię! Będę pojutrze, nie mam już siły.

Zabieram swoją torbę i wychodzę ze szpitala. Czuję, że trzęsą mi się ręce, ale zniknęło napięcie w szczękach. Poczucie winy miesza

się z ulgą. Mam ochotę zawrócić i przeprosić Justę, ale zupełnie nie mam na to siły, potrzebna mi bezpieczna przestrzeń, w której znajdę sobie miejsce.

Zadzwoń do Siostry, opowiedziałem jej o rozmowie i zapytałem, co mam robić dalej.

– Niech działa czas – poradziła – tak się niekiedy dzieje, zaznaczyłeś swoje granice i bardzo dobrze.

– Ale ona jest w szpitalu, potrzebuje mnie.

– A ty potrzebujesz jej, spokojnie, nic się nie stanie, jest tam pod opieką, pozwól emocjom opaść, później porozmawiacie.

Cały dzień walczyłem ze sobą, by nie pójść do Justy, by nie zacząć jej ratować. Za namową Siostry odpuściłem. Siadłem do komputera i napisałem bardzo dobry, w mojej ocenie, artykuł, a następnie dołączyłem na Facebooku do grupy „Kurwa mać”. Wieczorem zadzwoniła Justa, powiedziała, że na początku była bardzo rozdrażniona, czuła się skrzywdzona i niekochana. Nienawidziłam cię, jak wyszedłeś, wyznała, a potem zrozumiałam, co ci robię przez cały ten czas, jaką egoistką byłam. Chciałem ją przeprosić za to, że krzyczałem, ale powstrzymała mnie i prosiła, żebym tego nie psuł, że to dla niej bardzo ważne i jeśli mam w sobie wciąż siłę i chęć, to ona będzie nad sobą intensywnie pracowała i się zmieni. Stwierdziła, że dzięki nam ma większą motywację. I dobrze, że nie uciekłam do Ameryki, dodała, bo gdyby w przyszłości coś złego mi się stało, to oni tutaj by mnie nie przyjęli, a to bardzo dobry oddział. Rozmawialiśmy ponad godzinę, w trakcie której Justa po raz pierwszy od dawna zapytała mnie, jak się czuję, co słyhać w pracy, co z moim tatą i jak tam Dita. Gdy odłożyłem słuchawkę, czułem, że jestem zakochany bardziej niż kiedykolwiek.

W końcu przyszedł ostatni wieczór w szpitalu. Justa poprosiła, żebym przyniósł wódkę, obiecała, że będzie pilnowała siebie i pozostałych, by nikomu nic się nie stało. Wyjaśniła, że wypiją pół butelki w siedem osób, więc nikt tak naprawdę się nie upije. Namawiała mnie ponad pół godziny, więc w końcu się zgodziłem. Przyniosłem butelkę, z której zgodnie z instrukcją ściągnąłem wszelkie nalepki, po opróżnieniu Niezła Kotka rozłukła ją w toalecie, hałas przywołał pielęgniarkę, która dowiedziała się, że Niezłej Kotce wpadła do środka szklanka.

Odbieram Justę następnego dnia rano, przytula jeszcze raz wszystkich. Niezła Kotka mówi mi, żebym ją odwiedził albo przyszedł z czymś, albo coś wysłał może na adres szpitala, mówię, że przyjdę na pewno z papierosami, to dobrze, mówi ona i daje mi kartkę, którą zrobiła. Pytam, czy specjalnie na tę okazję, mówi, że nie na tę okazję, ale specjalnie dla mnie zrobiła i czy mi się podoba. Na kartce narysowane są dwie postaci, to ja, mówi Niezła Kotka, trochę chudsza ja i ty obok, stoimy na kuli ziemskiej i trzymamy transparent, na którym jest napisane „Można!”. Pytam ją, co można, ona mówi, że to zależy, ale generalnie wszystko. Przytulamy się długo. Podaję rękę pani Marioli, ta oddaje mi książkę.

- Proszę ją zatrzymać – mówię.
- Dziękuję.
- To była przyjemność rozmawiać z panią.
- Nie znoszę ckliwych pożegnań – odpowiada – za komplement dziękuję, wracam czytać.
- Proszę jak najszybciej stąd wychodzić.
- Przemyślę to – uśmiecha się i patrzy na mnie, po czym dodaje:
- A pan, panie Arku, niech się pan postara niczego nie przeoczyć.

– Dobrze.

Prosto ze szpitala wróciliśmy piechotą do mnie. Kochaliśmy się, słuchaliśmy muzyki, przygotowaliśmy makaron z sosem pomidorowym według najprostszego przepisu. Za trzy dni miał być ślub Marii i Adama, więc wybraliśmy się na zakupy po sukienkę dla Justy. Chciała czerwoną, do tego czerwone szpilki, małą, nieprzydatną czarną torebkę i czarny kapelusz z czerwoną wstążką. Zamknięci w przymierzalni słyszeliśmy, jak w kabinie obok rozmawiają dwie dziewczyny.

– No wszyscy w szkole już mają, też musisz!

– Wiem, może margaret?

– Za długo, musi się przyjąć, tak jak wiesz, dzejlo, maja.

– To może dzenifer.

– Nie no, za długo, tak jak wiesz, wika, emkej, nel.

– No to selin?

– Jak ta dijon? Nie no, brzydka jest, pomyśl o tym, Kaśka, coś wymyśl, bo sobie nie znajdziesz żadnego.

– Wiem, krystal, przecież myślę!

Gdy wróciliśmy do domu, Justa chciała, bym mówił na nią Hiczkok, dla mnie wybrała imię Dzejn, jednak się nie zgodziłem i zostaje Istłudem. Wieczorem przyszedł Michał z Gosią i ustaliliśmy, że pojedziemy na ślub razem, dostaną od nas w prezencie tygodniową wycieczkę do Jerozolimy, przelot, hotel, jedzenie oraz wejściówkę na koncert Björk, którą załatwiła Gosia.

– A co jeśli mają już plany w tym czasie? – zapytała Justa.

– Nic – odparła Gosia – będą musieli wybrać.

– Tak bywa w życiu – dodał Michał.

– Może im być przykro – stwierdziła Justa.

– Zawsze jest taka nadzieja – to znowu Gosia.

36

Przed ślubem spotykamy się u Gosi w mieszkaniu, zamawiamy pizzę, kobiety poprawiają fryzury i szykują stroje. Michał i ja rozmawiamy z Adamem Numer Dwa, chcemy poznać nowego wybranka Gosi. Z zaciekawieniem przysłuchuję się Michałowi, który – pewnie ze względu na obecność Weroniki w drugim pokoju – nie przeklina, nie wyśmiewa, nie ocenia, a zadaje pytania i wypowiada zdania w stylu „to doprawdy interesujące”. Do kościoła wchodzimy już po rozpoczęciu ceremonii, piękni i speszeni, wszyscy odwracają się w naszą stronę.

Maria i Eks Adam wyglądają tak ślicznie, jak ślicznie może wyglądać tort weselny, zdjęcie zachodu słońca z kolonii i mała panda jedząca pędy bambusa.

- Kiedyś też tak zrobimy, prawda? – Justa szepcze mi na ucho.
- Czy to są oświadczenia?
- Na razie badam teren – śmieje się.
- I jak?
- Czyściutko – całuje mnie w ucho.

Po ślubie ustawiamy się na samym końcu kolejki czekającej na spotkanie z młodą parą. Podchodzimy wszyscy razem, wręczamy kopertę z biletami do Jerozolimy, przytulamy i składamy miłosne życzenia.

– Największym prezentem... – zaczyna Gosia.

– Jest nasza obecność – kończy Michał.

– Nie – przerywa mu Gosia – jest to, że dzięki nam – patrzy na Michała i wskazuje na niego palcem, a potem na siebie – jest to, że dzięki nam się poznaliście.

Eks Adam i Maria uśmiechają się z przesadną wylewnością.

– Zapraszamy na wesele – mówi Eks Adam.

– No raczej – odpowiada Michał i szczypie go w policzek.

W drodze na przyjęcie, odbywające się w małym pensjonacie nad jeziorem, Michał wyciera puder z palców i mówi, że to dosyć obrzydliwe, miał ochotę wytargać pana młodego za włosy, ale bał się tej ilości żelu. Dostajemy miejsce przy okrągłym stoliku na uboczu, przysiada się do nas jakaś para, przedstawiają się jako Monia i Kris, tak zwani luzacy. Patrzymy na siebie porozumiewawczo z Gosią i Michałem. Adam Numer Dwa nalewa wszystkim, poza sobą, wódki, wznosimy toast za młodą parę.

– Nic mnie tak nie wzrusza jak śluby – zaczyna Gosia.

– Za dwa miesiące i na nas czas – mówi Monia i chwyta Krisa za rękę.

– Och, wspaniale – podchwytyję, po czym zwracam się do Gosi: – Mówisz, że nic tak jak śluby cię nie wzrusza, a narodziny, nowe życie?

– Tak, tak. Narodziny. Tak bym chciała.

– Ile masz lat? – pyta Kris, a Gosia pokazuje na palcach.

– Zegar tyka, kochaniutka – Monia kiwa przed jej twarzą palcem wskazującym.

– Powtarzam to sobie codziennie. Przed snem. I po obudzeniu – odpowiada Gosia i uśmiecha się całą buzią.

Monia, nie odczytując ironii, kiwa ze zrozumieniem głową. Adam

Numer Dwa wstaje i mówi, że idzie się przejść nad jezioro.

– Wszystko w porządku, mój mężu? – pyta Gosia, a ja wraz z Michałem patrzymy na niego, czy podejmie grę.

– Tak, moja żono – mówi do Gosi i całuje ją w głowę. – Wiesz po prostu, jak trudne są dla mnie takie rozmowy, ze względu na moją... przypadłość – odwraca teatralnie głowę i odchodzi.

Monia patrzy na Gosię oczami pełnymi wyczekiwania, a ja, widząc oddalające się plecy Adama Numer Dwa, myślę sobie, że tym razem Gosia trafiła na godnego siebie przeciwnika, a może nawet partnera.

– Och, co mi tam. Czuję cię jak siostrę – mówi Gosia do Moni i nachylając się w jej stronę, puszcza do nas oko – człowieka od razu poznać. Jakoś ci ufam. Mój mąż stracił spermę.

– Jak to? – pyta ona. W tym momencie również Kris wpatruje się z zainteresowaniem w Gosię.

– Rębał jakiś rok temu drewno – zaczyna Gosia ściszone głosem, co chwilę spuszczać wzrok.

– Na opał – dodaję.

– Na opał – powtarza Gosia, a my wszyscy powstrzymujemy śmiech. – Taki jest kochany.

– Pozwól – wtrąca Michał – to takie bolesne, ja skończę. Siekiera wypadła mu z ręki i uderzyła w jądra, jedno stracił, drugie nie działa.

– To straszne, bardzo straszne – mówi Monia i głaszcze Gosię po ręce, ta wytrzymuje to przez chwilę, po czym wysmarkuje nos.

– Dość już o tym – stwierdzam. – Kris, czym się zajmujesz?

– Ubezpieczenia – rzuca on od niechcienia – zatrudniam kilku agentów, sprawdzam, nadzoruję, no wiesz, takie sprawy.

– Mnie ubezpieczył jako pierwszą – zaśmiewa się na całe gardło

Monia.

– To fantastyczne – mówi Michał. – Jesteś szefem.

– No, jestem – Kris się uśmiecha. – Ale wiesz, ile z tym zachodu, co chwilę jakieś pytania, problemy, ta chce iść na urlop, tamten chce podwyżki, otacza mnie banda idiotów.

Pijemy wódkę, Kris zaczyna opowiadać o swojej pracy, o tym, jak zaczął jako agent ubezpieczeniowy i z jakimi idiotami, jak twierdził, musiał pracować, a że był najlepszy w swoim zespole, a możliwe, że w całej firmie, to szybko awansował i teraz, dodaje, idiotami musi zarządzać. Monia czasami próbuje się włączyć, by opowiedzieć, jak urządzają dom, który dostali na zaręczyny od teściów, ale Kris za każdym razem ją ucisza i powraca do opowieści o sobie, o tym, co myśli o współczesnej polityce, kuchni, nowym BMW, którym jeździ i o tym, jak radzi sobie w świecie zaludnionym przez idiotów. Trwa to bardzo długo, a kiedy odwracamy od Krisa swoje niezainteresowane nim twarze, ten, być może zdając sobie sprawę, że nikt poza nim nie mówił od dłuższego czasu, postanawia zrobić coś, by to zmienić, a przy okazji po raz kolejny zyskać widownię, i pyta Michała, czym on się zajmuje.

– Co masz na myśli? – reaguje mój przyjaciel nerwowo.

– Co robisz, zawodowo?

– Ale o co ci chodzi, że jestem idiotą, tak? – Weronika, Kris i Monia przestają jeść i patrzą zdziwieni na Michała.

– Nie, no co ty, stary – pada uspokajająca odpowiedź.

– No ale co miałeś na myśli, Kris? – postanawiam włączyć się do gry. – Chodzi ci o to, że Michał żyje ze sprzątaniam, że jeździ śmieciarką, żadna praca, wiesz, nie hańbi, dlaczego go obrażasz?

– He he – śmieje się Kris. – Rozumiem, taki głupi żart?

– Wiesz, jak zaczął się holocaust? – pyta Gosia bardzo poważnie,

przysuwając swoją twarz do jego twarzy.

– Żydów Hitler zabijał – odpowiada Monia równie poważnie i rozgląda się po wszystkich.

– Ale zanim zabijał, wiesz, co się działo?

– Co? – pyta ona.

– Były komiksy. Rysunki. Najpierw wyszydzano i śmiano się z innych. Tak jak twój...

– Narzeczony? – dodaje osłupiała Monia.

– Tak jak twój narzeczony – powtarza Gosia i dodaje: – Pewnie lesbijek, takich jak ja, też nie lubi.

– Przecież masz męża – odzywa się Kris.

– Jesteś uprzedzony do homoseksualistów? – pytam go, starając się za wszelką cenę utrzymać powagę, co o dziwo mi się udaje. – To smutne, nie uważasz? Dlaczego obrażasz moją les przyjaciółkę, po co to robisz, po co ta agresja? – pytam bardzo łagodnie.

– Nikogo nie obrażam, a ona ma męża, nie jest lesbijką – mówi Kris.

– Dlaczego mówisz o jej mężu? – pytam Krisa. – To lesbijka nie może mieć męża?

W tym momencie Weronika nie wytrzymuje i śmieje się, co rozładowuje atmosferę. Jednak Kris i Monia patrzą na nią z przerażeniem w oczach, ewidentnie nie rozumiejąc gry, do której ich zaprosiliśmy, co zachęca nas jeszcze bardziej, by pozostać w wybranych rolach.

– Nie świrujcie – odzywa się Monia, zachęcona śmiechem Weroniki.

– Nie świrujcie – powtarza cicho Justa. – Wiesz co, ja byłam w szpitalu psychiatrycznym – mówi bardzo spokojnym, smutnym głosem. Patrzą na nią, tak jak wszyscy przy stoliku, siedzi ze

spuszczoną głową. Zaczynam się zastanawiać, czy nie przesadziliśmy. Nagle Justa podnosi wzrok i mówi do Moni: – Wyszłam trzy dni temu – i pokazuje jej stare blizny na dłoni. – Masz coś do chorych psychicznie? Mam nie świrować, tak? – pyta Justa i kilka razy szczeka. Z trudem powstrzymuję śmiech.

– No właśnie, Monia, po co to robisz? – pytam. – Dlaczego obrażasz moją dziewczynę, nie rozumiem, o co ci chodzi, przecież miło rozmawiamy, a jedzicie po wszystkich.

– Nikogo nie obrażam – mówi Monia – a jeśli tak, to przepraszam, nigdy nie poznałam żadnej lesbijki.

– Ale rozmawiamy teraz o chorych psychicznie – wtrąca Gosia. – Dlaczego obraziłaś Justynę, która jest wariatką?

Justa nie wytrzymuje i wybucha głośnym śmiechem, Monia przez chwilę przygląda jej się w skupieniu, po czym również zaczyna się śmiać, bardzo nerwowo.

– Widzisz, jaka jest rozchwiana? Raz łzy, raz śmiech. Dlaczego się z niej teraz śmiejesz? – mówi Gosia spokojnym tonem, na co Monia przestaje się śmiać i z otwartą buzią spogląda to na Justę, to na Gosię. Justa nie przestaje się śmiać.

– Chodźmy stąd – mówi Michał – rano muszę umyć śmieciarkę.

– Pomogę ci – Weronika wraz z nim wstaje od stołu, ja z rozbawioną Justą również odchodzimy, kłaniamy się naszym gościom.

– Czy tych, którzy są inni... Odmieni... Należy od razu obrażać? – mówi na koniec Gosia, ważąc słowa. – To bardzo przykre.

Dobranoc państwu.

– Dobranoc – mówi Monia z wystraszonymi oczyma, Kris patrzy na Monię i nic nie mówi.

Odchodzimy, łapiąc się za ręce, dołączamy do Adama Numer Dwa,

który siedzi na pomoście nad jeziorem.

– Dlaczego poszedłeś? – pyta Gosia. – Była piękna zabawa.

– Właśnie dlatego – odpowiada i całuje ją.

– To ci przeszkadza? – pyta Michał.

– Rozumiem klucz, według którego wybieracie ofiary, ale nie miałem ochoty w tym uczestniczyć.

– One wybierają się same – mówi Gosia.

– Zastawiacie sidła, ciężko w nie nie wpaść.

– Ty byś nie wpadł – mówi Gosia.

– Dlaczego ją obrażasz? – pytam Adama Numer Dwa. – No po co to robisz, ja nie rozumiem.

Śmiejemy się wszyscy. Siadamy na pomoście. Weronika tańczy z Michałem, słyszę, jak mówi do niego, że myślała, że jest sztywny, on odpowiada jej, że bardzo dobrze myślała. Pytam Justę, czy nie uważa, że to, co zrobiliśmy, było okrutne.

– Uważam – mówi.

– Dlaczego zatem dołączyłaś? – pytam.

– Przez alkohol – chwilę się waha – poza tym miałam ochotę, okrucieństwo wobec głupoty przestaje być okrucieństwem.

– Jesteś zła, Justa, zła. – Wytrzeszczam do niej oczy.

– I dobra – odpowiada mi – jak ty, jak wszyscy.

W pewnym momencie przychodzi do nas para młoda, wznosimy za nich toast.

– O co poszło z moim kuzynem? – pyta Maria.

– Kris to Twój kuzyn?

– Tak, co się stało?

– Ale w jakim sensie? – pyta Justa.

– Ponoć się obraziliście, Moni było bardzo przykro.

– Nie obraziliśmy się wcale – mówi zdziwiona Weronika –

rozmawialiśmy chwilę, to bardzo przyjemni ludzie.

– Powiedziałbym nawet, że fajni – dodaje Michał, na którego Maria patrzy z niedowierzaniem.

– Rozmawialiśmy tak jakby o polityce i religii – dodaje Justa – różnie oglądamy świat, ale nie obraziliśmy się.

– Nie muszą nas przepraszać i nic w tym stylu – rzuca rozbawiony Michał.

– Oni nie, ale może wy ich? – pyta Eks Adam.

– Pójdziemy z nimi porozmawiać – proponuje Gosia. – Nie, no poważnie. Arek i ja pójdziemy, dobra?

– Dobra – odpowiadam.

– Nic się nie stało, macie wesele, bawmy się – mówi Justa, chwyta ich za ręce i prowadzi na parkiet.

Gosia zamawia u didżeja piosenkę *Mydełko Fa*, wychodzi na scenę wraz z Justą i Weroniką. Królują, śpiewając zalotnie „chciałbym cię mydlić mydełkiem Fa”. Podczas oczepin Justa odchyła się w taki sposób, by bukiet mogła złapać Monia, która zaraz potem przychodzi ją przytulić i powiedzieć, że kompletnie nic nie ma do chorych psychicznie, że u niej w rodzinie wujek ma „dałna” i ona nie ma nic przeciwko temu. Justa uśmiecha się do niej i mówi, że w takim razie życzy jej bardzo wielu bardzo normalnych dzieci.

Nad ranem stwierdzamy, że czas wracać. Bardzo długo się żegnamy, a ponieważ nie potrafimy się rozstać, zapraszam wszystkich do siebie, by dokończyć imprezę wraz z Ditą. Adam Numer Dwa, który nie pił cały wieczór, zabiera Gosię i Michała z Weroniką, po mnie i Justę przyjeżdża Siostra.

– Kochana jesteś, że przyjechałaś – wyznaję jej z tylnego siedzenia i wtulam się w Justę.

– Jestem, jestem – odpowiada Siostra – jak było?

- Ha! – Śmieje się Justa. – Było! – I głaszcze mnie po głowie.
- Mam wszystko – mówię do nikogo, bo czuję się szczęśliwy.
- To nieprawda – ktoś mi odpowiada.
- To nic.

Chcę podziękować:

Ewelince – za życie, przyjaźń, zaufanie, granice i ich brak. Za dom, śmiech i wypożyczanie strojów na czas pisania książki. Za wakacyjny rytuał. Za uwagi i nieustanne poczucie, że jestem ważniejszy od wszystkiego, co robię, cokolwiek to jest. Za Czarnego Misia też.

Ince – za inspirację i szaleństwo, za rozbicie głową muru. Za wspólne mieszkanie, wrażliwość, wzruszenia, kawę w starym łóżku z Brandonem, za przyjaźń i mądrość.

Joannie i Ryszardowi – za to, że to wszystko rozpoczęli, za miłość i pracowitość, mądre siwe włosy i głębokie poczucie, że zawsze są, za wsparcie.

Eli K. – za piękno, bycie, śmiech, wieczory filmowe i niezwykle toast, który rozbił nie tylko szklanki.

Eli Sz. – za neurozy i neuroz zrozumienie, za wsparcie i radość, za wyreżyserowanie tak wielu dobrych chwil.

Kasi P. – za stałość, wielkie łóżko, braterstwo i niezwykle udaną dekadę.

Martynie – za bezpieczeństwo, obecność, czułość w słowach, sąsiedztwo w dwóch miastach i jednej pracy.

Magdzie – za wytrwałość, guziki na plecach i kobietę z okładki, za zdjęcia i moc.

Agacie – za niedzielne spacery i rozmowy o sensie.

Anicie – za wrażliwość, dylematy i ich pokonywanie.

Maćkowi – za więź, debaty i dystans.

Sławkowi – za światło, czas i pójście w nieznane.

Athinie – za przestrzeń, ale bardziej tę nieuchwytną.

Cynkowi – za przyjaźń, obrazy, bose spacerowanie nad Rusałką i te z aparatem w dłoni ulicami Wrocławia, i jeszcze za światełko znalezione w zlewie.

Kasi J. – za śmiech bliski śmierci na podłodze w Chorwacji i pierwsze uwagi, i jeszcze za Zamilszczyków.

Justynie – za szpiegowanie w tramwajach, wspólną pracę i słuszną dozę szaleństwa.

Percy i Loce, bez których Dita nie byłaby sobą – kłaniam się.

Tomaszowi R. – za dobre słowa.

Aniołowi – gdziekolwiek teraz jest, za to że był.

Soni Dradze – za zaufanie, otwartość i wiarę.

Agnieszce Jedlińskiej – za uśmiech po drugiej stronie słuchawki i zrozumienie.

Ewie Penksyk-Kluczkowskiej – za martwego kota, który jednak żyje i się uśmiecha. Czas terazniejszy i spojrzenie wprost przez zamknięte powieki.

Chodziło o miłość

Spis treści

[Okładka](#)

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Chcę podziękować:

Karta redakcyjna

Chodziło o miłość

Copyright © 2012 by Robert Rient

Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Magdalena Kuc

Zdjęcie autora: © Czesław Czapliński

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Aneta Iwan, Magdalena Bargłowska

Świat przedstawiony w książce jest fikcją literacką

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

ISBN: 978-83-7508-743-7

E-wydanie 2013



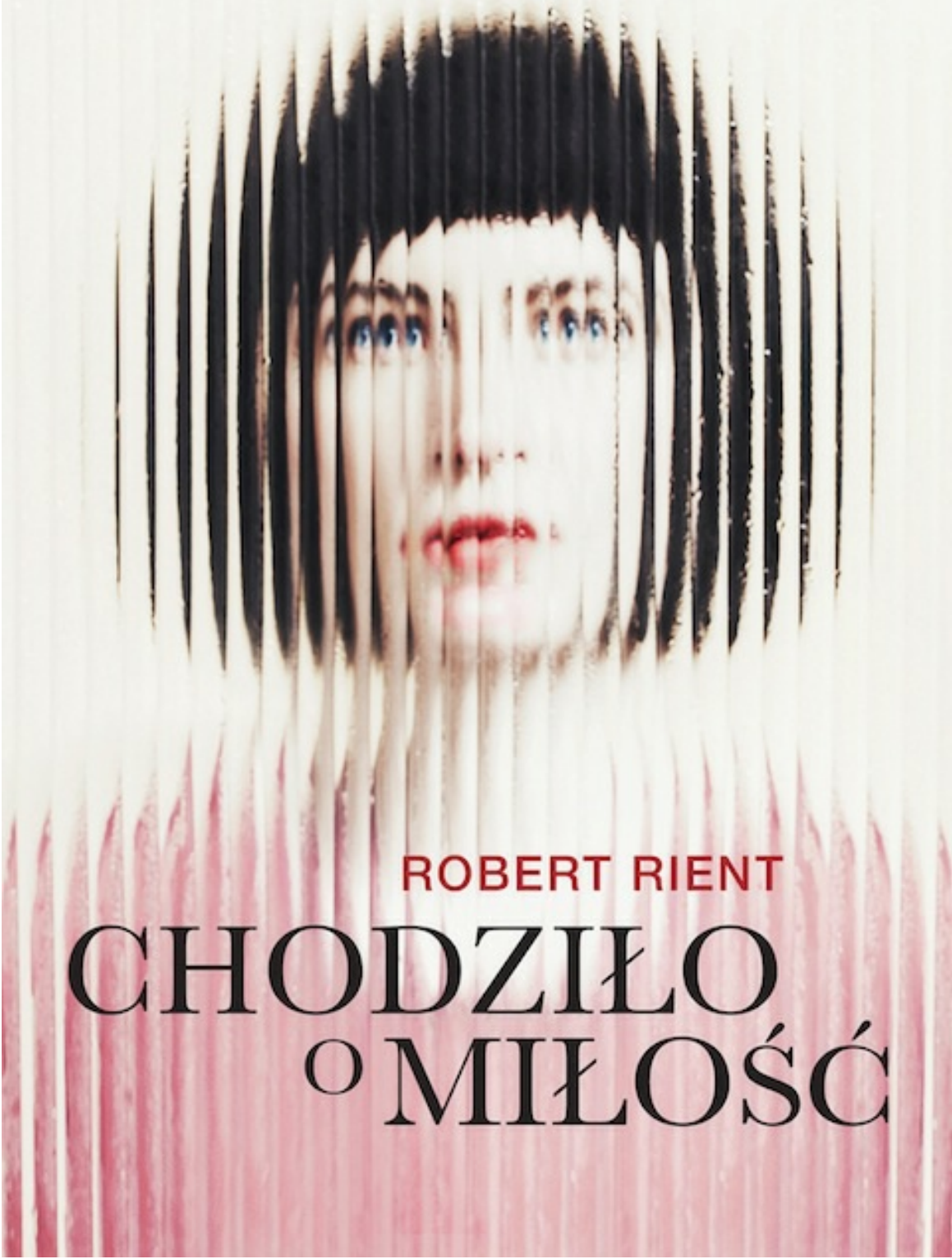
Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Dzisiaj się zakochałem. W napastliwie pięknej i ujmująco
szalonej pacjentce własnej terapeutki.

A woman's face is seen through vertical blinds, with her eyes looking upwards. The blinds are partially open, creating a grid of light and shadow over her features. She has dark hair and blue eyes. The background is a light, neutral color.

ROBERT RIENT

CHODZIŁO
O MIŁOŚĆ